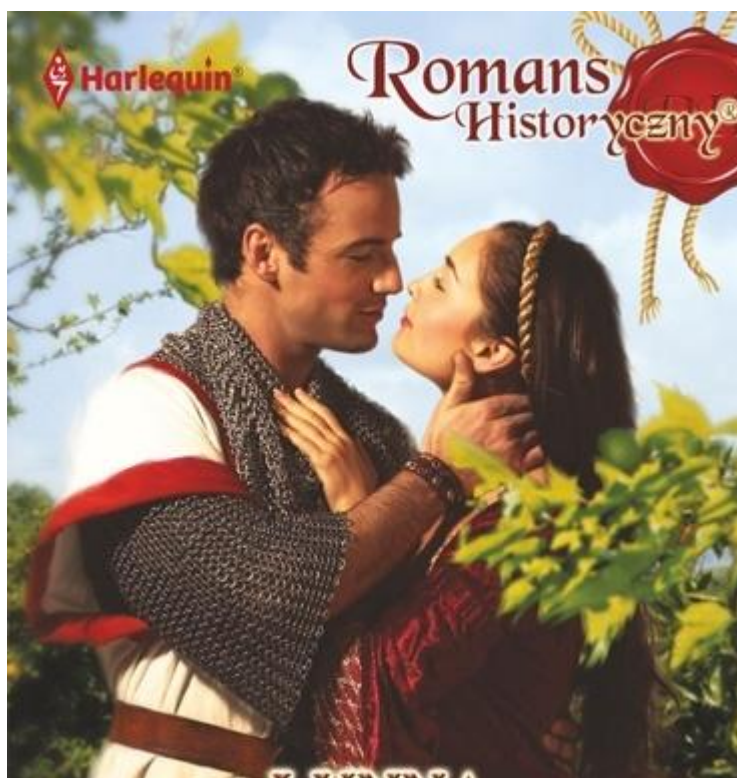




***Lynna Banning***



***Wybranka templariusza***

# Rozdział pierwszy

## *Emirat Grenady, 1167*

Reynaud zatrzymał wierzchowca i wychylił zmęczone ciało do przodu, omiatając wzrokiem skaliste urwisko na przeciwległym brzegu rzeki Darro. Tuż pod nim przyciągała wzrok chaotyczna gmatwanina pokrytych płaskimi dachami domów i dziedzińców mauretańskiej dzielnicy miasta. Po dwudziestu latach nieobecności wszystko wydawało się mniejsze, niż zapamiętał. Po zewnętrznej stronie otaczającego miasto wysokiego kamiennego muru rozciągały się gaje pomarańczowe i migdałowe. Blask pomalowanych na biało domów z niewypalanej, suszonej cegły, skąpanych w jaskrawym popołudniowym słońcu, po prostu oślepiał.

Reynaud poczuł wzruszenie.

Znów był w domu.

Czy wróciłby, gdyby nie przywiodła go tu sekretna misja do emira\* Yusefa? Być może Grenada była jedynym domem, jaki kiedykolwiek miał. Jednakże długo go tu nie było i Bóg jeden wie, jak bardzo się przez ten czas zmienił. Jak przyjmie go arabska rodzina, która go wychowała? Czy w ogóle go rozpoznają po tych wszystkich latach?

\* Emir - do VII wieku tytuł arabskiego dowódcy wojskowego, później władcy muzułmańskiego, sprawującego władzę wojskową i cywilną (przyp. red.).

W oddali zabrzmiał śpiew muezzina\* wzywającego na wieczorną modlitwę. Słońce przybrało kształt wielkiej, krwistej pomarańczy i zaczynało się chować za łańcuchem wzgórz na zachodzie. Jego ostatnie promienie ozłociły dachy domostw.

\* Muezzin (arab.) - niższy duchowny w meczecie, zwołujący z minaretu muzułmanów do wspólnej modlitwy (przyp. red.).

Reynaud patrzył ze ściśniętym sercem. Tak bardzo kochał to miasto, gdy był chłopcem. Kochał zapach egzotycznych przypraw dobywający się z pomieszczeń ku-

chennych, widok zatłoczonych żydowskich kramów z książkami, kochał cały ten ruch i gwar pulsującego życiem mauretańskiego miasta. Pokochał nawet śpiew muezzina.

Skierował siwego ogiera na schodzącą w dół ścieżkę, odchylając się do tyłu w siodle na stromiźnie. Zapadał mrok, gdy wjeżdżał w słabo strzeżoną północną bramę miejską.

Samotny strażnik wskazał gestem dłoni, że może wjechać. Po przejeździe przez bramę Reynaud zatrzymał konia. Z pobliskiego dziedzińca dobiegały dźwięki lutni i głosu ludzkiego. Ktoś śpiewał. Kobieta. Niskim, piersiowym altem. Po katalońsku i po arabsku. Reynaud odwrócił w tamtą stronę głowę. Słuchał i upajał się odurzającym, słodkim zapachem kwiatów pomarańczy.

Serce przeszył ból, jakby ugodziło go ostrze lancy. Chociaż złożył śluby zakonne, wciąż był nieobojętny na głos kobiety, nadal pragnął ukojenia płynącego z bliskości miękkiego kobiecego ciała. Myślał, że przywykł do samotności, ale biały płaszcz zakonny przecież krył mężczyznę.

Poczuł się niewygodnie w wysokim podróznym siodle. Coś utracił w ciągu długich lat wojaczki, coś, czego nie potrafił nazwać. Po czasie przestało dla niego mieć znaczenie, kto odpowiada za stosy okaleczonych ciał za bramami każdego miasta. Śmierć chrześcijan i Saracenów miała taki sam zapach.

Na pobielonej ścianie domu zatańczył cień. Reynaud położył dłoń na rękojeści miecza. Ktoś go śledził. Trudno przewidzieć, jakie powitanie zgotują Arabowie z Grenady chrześcijańskiemu rycerzowi z zakonu templariuszy. Równie dobrze ktoś mógł chcieć okraść go ze złota, które wiozł w przytroczonych do siodła jukach. Niech tylko spróbuje! On nie zawaha się go zabić. A może temu komuś nie chodzi o złoto? Czy możliwe, by wiedział o sekretnej przesłaniu, które wiozł Reynaud?

Uspokoił spłoszonego obecnością intruza wierzchowca i ruszył wolno w kierunku najbliższej bocznej uliczki. Na jej rozwidleniu wybrał szerszą odnogę, która zawracała w stronę, z której przyjechał. Przesuwał się wąskimi, krętymi ulicami, zdając się na wyczuwanie, bo drogi nie pamiętał zbyt dokładnie.

Gdzieś z tyłu szczęknął zamek. Reynaud zauważył kątem oka, jak na dobrze noliwionych zawiasach bezgłośnie otwiera się okuta żelazną blachą brama, miga w niej

coś jaskrawo czerwonego, po czym brama powoli się zamyka. Reynaud poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

Rozejrzał się po wybrukowanej kocimi łbami uliczce. Panowała w niej niezmacona cisza, nawet cykady umilkły. Nieprzyjemne wrażenie, że jest śledzony, spotęgowało się. Zaostrzył czujność. Ścisnął łydkami konia i ruszył do przodu.

W pewnym momencie zauważył w mroku postać ludzką, wyłaniającą się z bocznej alejki. Automatycznie skierował ogiera w bok, by zajechać tamtemu drogę. Z dłonią na rękojeści miecza pochylił się do przodu.

Nie był to mężczyzna, lecz młoda kobieta. Z wysokości siodła widział, jak spod kaptura płaszcza nieznajoma rzuca mu prowokujące spojrzenie.

- Co robisz po nocy poza domem? - zapytał.

- To moja sprawa - odpowiedziała ze spokojem. - Nic ci do tego. - Z tymi słowami odwróciła się, by odejść.

Owionął go zapach jej perfum, mieszanina słodkich róż i czegoś ostrzejszego, może piżmu. Wyciągnął z pochwy miecz, zagradzając jej drogę.

- Nie powinnaś wychodzić sama, tylko siedzieć w domu.

To było zgodne z ideałami, o które walczył przez długie lata. Nie chodziło tylko o wyzwolenie Jerozolimy z rąk niewiernych, lecz także o ochronę cywilizowanego świata, o ochronę kobiet przed okrucieństwami, których był świadkiem, przed gwałtami ze strony zdeprawowanych mężczyzn.

- Robię, co mi się podoba - odparła. - Nie jest tak, jak myślisz. Nie masz prawa mnie zatrzymywać.

Zauważył, że nosi dobre ubranie. Nie była zatem dziewczką uliczną.

- Odprowadzę cię do domu.

- Nie zgadzam się. Kim jesteś, że chcesz mi rozkazywać?

- Jestem rycerzem zakonu Świątyni Salomona.

Spojrzała na czerwony ośmiokątny krzyż wyszyty na białym zakonnym płaszczu.

- Przybywasz z daleka?

- Z Antiochii w Ziemi Świętej.

- Musiałeś widzieć po drodze wiele wspaniałych miejsc - powiedziała, patrząc na niego z zaciekawieniem.

- To prawda - przyznał. - Widziałem wielkie miasta i nasiąknięte krwią pola bitewne. Nauczyłem się nie ufać nikomu.

- I teraz przyjechałeś do Grenady, by napastować kobiety?

- Nie obrażaj mnie!

- To mnie nie zatrzymuj! - Odepchnęła zwiniętą pięścią jego miecz, aby odejść.

- Zaczekaj!

- Co to ma znaczyć „zaczekaj”? Jakim prawem?

Była zuchwałą, ale on też zachował się nie po rycersku.

- Wybacz. Zbyt długo przebywałem na polach bitew.

- Przynajmniej mogłeś być tam, gdzie chciałeś. Zazdroszczę ci.

- Mówisz jak głupia kobieta.

- Nie jestem głupia.

- Gdzie twój ojciec? Gdzie mąż?

- Nie mam męża, a o tej porze ojciec śpi.

- Wie, co robi jego córka?

- Nie wie.

- Oćwicz cię, jak się dowie.

- Nie zrobi tego. Jesteśmy w Grenadzie. Tutaj kobiety mają swobodę, jakiej nie spotyka się gdzie indziej.

- Swobodę? O czym ty mówisz? Przeznaczeniem kobiet jest rodzenie dzieci.

- Mylisz się.

Nie spuszczać wzroku z Reynauda, powoli odchyliła welon zasłaniający dolną połowę twarzy. Miała pełne usta z lekko wygiętymi ku dołowi kącikami. Od opalonej twarzy odcinały się białą zęby. Reynaud poczuł się tak, jakby w samo serce ugodził go sztylet. Z wrażenia zaparło mu dech w piersiach.

- Idź do domu - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Żaden mężczyzna nie może mi rozkazywać. Nawet templariusz.

Była drobna, krucha i miała piękne oczy. Ciarki przeszły mu po plecach.

Był zakonnikiem, ślubował życie w celibacie, unikał kobiet. Jednak był też mężczyzną... Boże dopomóż, pomyślał, ta kobieta bowiem obudziła we mnie pożądanie.

- Odejdź - rozkazał.

Rzuciła mu przeciągłe, jadowite spojrzenie, odwróciła się i znikła w ciemnościach. Reynaud skierował konia do dzielnicy mauretańskiej, do górującego nad nią domu, w którym dorastał.

W rozległym pałacu Reynaud przystanął przed ażurowymi drzwiami prowadzącymi do części zamieszkiwanej przez przybranego stryja. Chciał uspokoić gwałtowne bicie serca. Hassam wyszedł mu na spotkanie z szeroko rozwartymi ramionami i Reynaud utonął w uścisku starego człowieka.

- Witaj, bratanku! Obawiałem się, że nigdy cię nie zobaczę. - Stryj wypuścił go z objęć i odstąpił krok do tyłu. - Jak się zmieniłeś!

Reynaud pochwycił dłoń wezyra\* i dłuższą chwilę nie wypuszczał jej z uścisku. Wzruszenie odebrało mu mowę.

- Stryju - zdołał wreszcie przemówić - widziałem tyle, że można by od tego posiwieć.

- Nie wątpię. Mężczyzna chce szybko zostawić za sobą młode lata, a kiedy już pozbędzie się mlecznych zębów i wykrwawi na polu bitwy, tęskni za powrotem do niewinności - zauważył z uśmiechem Hassam. Białe zęby odcinały się od pociągłej, kościstej twarzy. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami.

\* Wezyr - wysoki dostojnik państwowy w krajach muzułmańskich (przyj. red.).

Reynaud przyjrzał się stryjowi. Szczupły, odziany w szmaragdową jedwabną tunikę, nadal prosto się trzymał. Ruchy miał zręczne, nawet niepozbawione gracji. Jedyne srebrne nitki w ciemnych włosach zdradzały wiek. Musiał mieć ze sześćdziesiąt lat. Reynauda wychował młodszy brat Hassama, ale to stryja kochał jak nikogo na świecie.

- Pozwól - Hassam wskazał niską sofę zarzuconą haftowanymi poduszkami - usiądźmy. Nie słyszeliśmy o tobie od dwudziestu lat. Poza tym mam do ciebie pewną sprawę.

Reynaud odpiął pas i ostrożnie położył pochwę z mieczem na rzeźbionej drewnianej skrzyni. Usadowił się obok stryja. Czekał, aż ten skończy rozmawiać z młodym niewolnikiem, który miał podać im kawę.

- Jaką sprawę?

- Zawsze byłeś bezpośredni - zauważył Hassam.

- Wybacz, stryju, lecz nie widzę w tym nic złego.

- Ja też nie.

Reynaud przyjął małą filiżankę napełnioną aromatyczną kawą. Nie odzywał się, zanim stryj nie odprawił gestem ręki służącego.

- Wiozę posłanie do emira Yusefa - powiedział zniżonym głosem. - To, co mówię, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu. Będąc chrześcijańskim rycerzem, nie mogę wręczyć posłania osobiście.

- Naturalnie.

Reynaud zawahał się przez ułamek sekundy.

- Jest to posłanie od wielkiego mistrza zakonu templariuszy, Bertranda de Blanqueforta z Akry.

Hassam uniósł brwi, obrzucając Reynauda uważnym spojrzeniem.

- Wiadomo, stryju, że masz dostęp do emira Yusefa. Tylko ty możesz mu je doręczyć.

- Możliwe. Czego dotyczy posłanie? Nie zamierzam zdradzić emira Yusefa.

Reynaud wytrzymał wzrok starego wezyra.

- Templariusze chcą pokoju między Arabami a chrześcijanami. De Blanquefort zawarł sojusz z Grenadą w celu utrzymania równowagi sił. Życzyłby sobie też obecności templariuszy w Hiszpanii.

Hassam wypił ostatni łyk kawy i odstawił filiżankę na wypolerowaną do połysku mosiężną tacę.

- Zgoda, doręcę emirowi Yusefowi posłanie od twojego wielkiego mistrza. Za pewną cenę.

- Cenę?

Hassam odchrząknął.

- Moja córka, Leonor, wybiera się do Nawarry w odwiedziny do ciotki, Alais Moyanne. Na podróż przydzielę jej zbrojną eskortę, ale będzie potrzebowała opieki podczas pobytu w mieście. Boję się o nią.

- Skąd te obawy?

- Jest bogatą dziedziczką. Ma ziemie zarówno w Aragonii, jak i w Nawarze. Ktoś mógłby ją uprowadzić i zmusić do małżeństwa.

- Zgwałcić, chciałeś powiedzieć - oświadczył bez ogródek Reynaud. - Najpierw zgwałcić, a potem poślubić. To dość powszechna praktyka wśród pozbawionych ziemi rycerzy, pragnących wzbogacenia.

- Jest moją jedyną córką. Nie życzę jej takiego losu.

- Chcesz, żebym zapewnił jej ochronę.

- Tak. To jest moja cena.

Reynaud nie był zachwycony. Nie widział córki Hassama od opuszczenia Grenady. Pamiętał, że była niesfornym dzieckiem przysparzającym wiele kłopotów niańkom, nauczycielom, a nawet własnemu ojcu. Była nieokiełznana i mądrzejsza od reszty dziewczynek w jej wieku. Niezależnie od tego miał inne ważne sprawy do załatwienia w Moyanne. Daleko ważniejsze niż pilnowanie córki Hassama. Właśnie zamierzał otworzyć usta, by wyrazić obiekcje, gdy stryj wstał z sofy.

- Oto i ona. Leonor, mamy gościa.

Przez ażurowe drzwi do pokoju weszła smukła młoda kobieta w długiej do kostek szkarłatnej tunice.

Reynaud nie wierzył własnym oczom. To tę dziewczynę spotkał na ulicy.



## Rozdział drugi

Reynaud wstał, jak nakazywała grzeczność. Spotkali się niecałą godzinę wcześniej na ciemnych uliczkach Grenady. Dlaczego on teraz wpada w popłoch? Czy stryj wie o nocnych eskapadach córki? Nie, to niemożliwe. Hassam nigdy by na to nie zezwolił.

- Córko, pamiętasz kuzyna Reynauda? - zwrócił się Hassam do Leonor.

- Reynaud? - powiedziała zaskoczona i zarazem speszona. - To naprawdę ty? Wróciłeś po tylu latach? - Wyciągnęła dłoń, aby go dotknąć, ale nie zrobiła tego.

- Tak, to ja - odrzekł krótko, mając w głowie gonitwę myśli.

Zbliżyła się jeszcze bardziej. Była wzruszona, w jej oczach błyszczały łzy.

- Co się z tobą działo?

- Po wyjeździe z Grenady znalazłem się w Vézelay. Stamtąd wyruszyłem na wyprawę krzyżową do Ziemi Świętej. Na rycerza pasował mnie na polu bitwy Etienne de Tournay.

- Nie odzywałeś się. Nie dawałeś znaku życia. Myślałam, że nie żyjesz!

Poczuł suchość w gardle. Zrobił to, co nakazywał obyczaj: pochylił się i musnął ustami jej czoło. Pachniała płatkami róży. Co miał powiedzieć?

Hassam nakazał im ruchem dłoni, by usiedli. Reynaud wrócił na miejsce na sofie. Rzuciwszy ukradkowe spojrzenie ojcu, Leonor spoczęła na jedwabnej poduszce u jego stóp. Unikała wzroku kuzyna, a jego serce waliło niczym saraceński werbel wojenny.

Po nieskończeniu długiej chwili wreszcie uniosła głowę.

- Skoro wróciłeś...

- Nie wróciłem - przerwał jej. - Jestem w drodze z misją powierzoną przez wielkiego mistrza templariuszy. To jak kolejny rozdział długiej książki. Nie mam nigdzie domu.

- Zawsze będziesz mile widziany w Grenadzie - wtrącił Hassam.

Serce Reynauda wezbrało słodko-gorzki bólem. Musi opuścić to miejsce, uznał, i to szybko. Nie okryje hańbą córki Hassama, ujawniając, co o niej wie, zarazem nie może okłamywać stryja.

Leonor objęła ramionami podciągnięte nogi i oparła brodę na kolanach.

- Może opowiedziałbyś o swoich przygodach? - zaproponowała.

Wyczuł w jej głosie pretensję.

- Nie opowiem. Rzeczy, które widziałem, nie nadają się dla kobiecych uszu.

- Moje uszy nie są aż takie delikatne - zaprotestowała i wbiła w niego wzrok. - Nie wszystkie kobiety są słabe.

- A ty jesteś inna niż wszystkie kobiety.

Teraz jej oczy pałały gniewem.

- Marzyłeś o tym, aby zostać rycerzem, prawda? Dlatego opuściłeś Grenadę. Tak było?

Zignorował zaczepkę.

- Czy myślałeś jeszcze o czymś poza udziałem w bitwach? Wielkiej odwagi wymaga również narzucanie swojej woli innym.

Był zaskoczony jadowitością jej tonu. Hassam popatrzył ze zdziwieniem na córkę.

- Odwagi wciąż mi nie brak - odparł Reynaud. - Jeśli chodzi zaś o marzenia... nie mam już żadnych. Polegam tylko na swoim koniu i ostrzu miecza.

Leonor odpowiedziała po dłuższej chwili milczenia:

- Zatem płyniesz niesiony prądem. Jesteś jak rzucona na morze łódź bez żagla.

Ugodziła celnie. Było jeszcze gorzej: utracił nadzieję, a także poczucie przynależności do jakiegoś miejsca. Na dobrą sprawę, nie wiedział, kim się stał. A co z Leonor, ukochaną córką Hassama? Czyżby została ulicznicą?

Wygięła usta w dziwnym półuśmiechu.

- Chciałabym zobaczyć świat i jego cuda. Muszę opuścić dom ojca, żeby zrealizować to marzenie.

Reynaud uchwycił jej spojrzenie. Czy nic nie rozumie? Nie dba o właściwe jej miejsce jako kobiecie? To prawda, jego niespokojna natura doprowadziła do tego, że rzeczywiście czuł się jak gałązka rzucona w nurt rzeki i nie wiedział, dokąd płynie. Ona miała przynajmniej dom.

- Świat nie jest pięknym miejscem.

Uśmiechnęła się ponownie, a on wstrzymał oddech. Jakiż ona wywiera na niego wpływ!

- Wiem o tym aż nadto dobrze. Dość często bywam na dworze emira Yusefa - powiedziała Leonor, patrząc prowokująco na kuzyna, jakby chciała rzucić mu wyzwanie, by wydał ją przed ojcem. - Mówię w trzech językach, jestem zapraszana do pałacu, by pograć w szachy i dołączyć do muzyków. Należy cieszyć się życiem. Nie uważasz?

- Mieszkasz w zamożnym i świątłym domu - odrzekł sztywno Reynaud. - Nie masz pojęcia, jak wygląda świat poza Grenadą.

- Nie pouczaj mnie, jakbym była dzieckiem - odrzekła z gniewnym błyskiem w oku. Spojrzała w stronę ojca, po czym spuściła wzrok, nerwowo mnąc jedwabną tunikę. - Chcę zobaczyć świat. Czy to złe?

Szkarłatna tunika opływała miękkimi fałdami jej figurę, przezroczysta zasłona twarzy była zsunięta na bok.

- Nie złe, lecz głupie. Poza Grenadą będziesz rzucała się w oczy jak obsypane kwieciami drzewko pomarańczowe na pustyni.

- Wiem o tym. To dlatego, że jestem... inna.

Zapewne. Była niczym olśniewający klejnot wśród kamiennego rumowiska. Kuszająca i nieosiągalna.

- Jesteś tylko w połowie Arabką - przypomniał Reynaud. - Wyrosłaś w uprzywilejowanym domu Hassama. Studiowałaś z mistrzem Benjaminem historię i filozofię. Twoja chrześcijańska matka uczyła cię czytać i mówić w różnych językach.

- Uczyła mnie też muzyki.

- Jesteś w stosownym wieku do zawarcia małżeństwa - dodał prowokacyjnie. - Jak to się stało, że nie jesteś zamężna?

- Gdyby nie protekcja ze strony emira - spojrzała przelotnie w stronę ojca - byłabym od dawna zamężna. Zdobiałabym małżeński ogród jakiegoś księcia. Tak się nie stało i mam szczęście dożyć dwudziestu siedmiu lat i wciąż nie dotknął mnie żaden mężczyzna.

- Hassam musi być wyrozumiały - zauważył Reynaud.

Posłała ojcu wąły uśmiech.

- Myślę, że to nie wyrozumiałość ojca jest tego powodem. Benjamin mówi, że dzieje się tak dlatego, że mam bystry umysł i ostry język. Zalotnicy opuszczają pokoje jak niepyszni, kręcąc głowami z niedowierzania.

- Niewiele wiesz o mężczyznach. Nie tak łatwo ich odstraszyć.

Uniosła podbródek, tak jak to robiła, gdy była małą dziewczynką.

- Nie doceniasz mnie. Dużo wiem o mężczyznach. Przyglądałam się ojcu i jego gościom, a także chrześcijańskim i arabskim dygnitarzom, którzy odwiedzali pałac emira. Patrzyłam, słuchałam i oceniałam.

- Dlaczego to robiłaś?

Rzuciła spojrzenie w stronę ojca, który podszedł do ażurowych drzwi, żeby kazać przynieść więcej kawy, i odrzekła zniżonym głosem:

- Skoro nie mogę mieć mężczyzny, któremu oddałabym serce i duszę, to nie chcę żadnego.

Reynaud poruszył się niespokojnie na wyściełanej poduszkami sofie. Czyżby rzeczywiście była nietknięta? Trudno uwierzyć, zważywszy, gdzie ją wcześniej spotkał dzisiejszego wieczoru. Pociągała go, i to martwiło go bardziej, niż skłonny byłby się przyznać.

- Hassam akceptuje te twoje fantazje? Swoboda wyboru męża jest rzadziej spotykana niż wykwintne bizantyjskie miecze.

Ponownie zerknęła w stronę znikającego za drzwiami ojca i jeszcze bardziej zniżyła głos.

- Jeszcze o niczym nie wie, chociaż dokonałam wyboru. Ani słowa ojcu - szeptała pośpiesznie - ma dosyć zmartwień. Los Grenady jest na jego głowie.

- Ani słowa o czym? - Reynaud uchwycił jej proszący wzrok. - Powiedz mi prawdę, Leonor.

- Ja... - przysunęła się bliżej - odwiedzam w nocy Cyganów. Dlatego spotkałeś mnie na ulicy.

- Ale po co?

- Uczę się ich pieśni.

- W jakim celu?

- Bo lubię ich dziwną, smutną muzykę i zamierzam... - Urwała.

- Co zamierzasz?

Przyglądała się swojemu satynowemu pantofelkowi wystającemu spod tuniki.

- Jutro wyruszam w podróż, jak zapewne powiedział ci mój ojciec. Wiem, że nie zazna spokoju dopóty, dopóki nie dostanie wiadomości, że szczęśliwie dotarłam do Moyanne, do Henryka i Alais, ale zgodził się, żeby tam pojechała. Za żadne skarby świata nie chciałabym przysporzyć mu dodatkowych zmartwień.

- A jaki mógłby być powód owych zmartwień?

- Ojciec nie musi wiedzieć, że marzę o przygodzie. To wyłącznie moja sprawa.

Przygodzie? Reynaud poczuł ciarki na grzbiecie. Ani na jotę nie zmieniła się od dzieciństwa. Była samowolna i bardziej uparta niż najbardziej uparty muł ze stada Hassama.

- Jutro, kiedy słońce ozłoci niebo swoim blaskiem - och, czyż to nie precudowny widok? - kiedy słońce wzejdzie na niebo, rozpostre skrzydła i wyfrunę poza mury Grenady.

Nic dziwnego, że Hassam chce zapewnić jej ochronę. Ona błądzi z głową w chmurach. Nie powinna opuszczać domu. Świat jest wstrętny, brudny i pełen nieprawości. Leonor nie ma pojęcia o degradacji, którą on widział, o grzechach i samolubnej naturze mężczyzn. On uchroni ją przed tym światem, jeśli zdoła.

Rzecz w tym, że ona nie pragnie być uchroniona. Westchnął z rezygnacją. Była oszałamiająco piękna, jej skóra jaśniała bielą kości słoniowej, ruchy urzekały gracją i zmysłowością.

Nie podobało mu się to, co mówiła o przygodzie. Co zamierzała oprócz odwiedzin u ciotki? Nie będzie mógł spuścić z niej oka.

Chce czy nie chce, dał stryjowi słowo.

## Rozdział trzeci

Reynaud odpiął pas, do którego miał przytroczony miecz, zdjął kolczugę i nogawice i wyciągnął się na miękkiej leżance. Leżąc, próbował powstrzymać natłok cisnących się do głowy myśli.

W czasie jego wieloletniej nieobecności Leonor przedzierzgnęła się z niesfornej dziewczynki w uderzająco piękną kobietę. Ciągle czuł w nozdrzach zapach jej włosów i w oczach miał widok jej świetlistej skóry.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego z taką nierozważną skwapliwością wyrywała się z bezpiecznego domu w Grenadzie. Jej naiwność stanowiła dla niej zagrożenie. Nic nie wiedziała o surowych realiach świata poza murami wygodnego pałacu w tym oświeconym królestwie. Prawdę powiedziawszy, on sam czuł się dziwnie, otoczony przepychem domu stryja Hassama.

Od dawna utracił poczucie przynależności do jakiegokolwiek miejsca. Kładł się spać tam, dokąd zawiodły go rozkazy jego zwierzchników zakonnych. One sprowadziły go do tego przestronnego domu z dziedzińcami dekorowanymi barwnymi płytkami ceramicznymi, w którego pokojach słychać było uspokajający szum wody spływającej z ogrodowych fontann.

Miał przekazać emirowi Yusefowi pismo od wielkiego mistrza templariuszy i czekać na dalsze rozkazy, z których dowie się, dokąd ma się udać z Moyanne. Rozkazy powinien przekazać mu ktoś z otoczenia emira, ale Reynaud nie wiedział kto.

Nie wiedział również, jakie będzie ostateczne miejsce przeznaczenia złota należącego do zakonu, które ze sobą wiózł.

Próbował znaleźć ukojenie w szumie fontann i beztroskim kłaskaniu nocnych ptaków w gałęziach drzew tamaryszku, ale wspomnienia scen bitewnych, których był świadkiem, nie dawały się tak łatwo odpędzić. Potoki krwi, bezsensowne rzezie, stęchły odór spalonych fortec i rozkładających się ciał - wszystko to przyprawiało go o mdłości. Całym sercem pragnął jednego: uwolnienia się od brzemienia popełnionych grzechów.

Usiadł w jednej chwili wyprostowany. Czy wciąż jest pokornym wyznawcą Wszechmogącego? Czy może najemnym mordercą do kupienia przez tego, kto zaoferuje

najwyższą stawkę? Musi wreszcie dowiedzieć się, kim jest naprawdę. Inaczej nie będzie mógł myśleć o ułożeniu swojej przyszłości.

Następnego dnia o poranku uważnie przepatrywał płaską, brązową równinę, aż po zasnuty lekką mgiełką horyzont. Droga była wolna, żadnych bandytów. Zatrzymał siwego rumaka w oczekiwaniu na zbrojny orszak, który Hassam przydzielił Leonor.

Widział tylko toczące się w jego kierunku kłęby kurzu. Ciszy nie zakłócał żaden dźwięk oprócz świstu wiatru wśród piniowych zarośli i stukania kopyt końskich o twarde, spieczony słońcem gościniec. Po kilku minutach z obłoku kurzu wyłoniły się dwa konie i muł obładowany kuframi podróżnymi w otoczeniu arabskich wojowników.

Na wielkim skarogniadym koniu jechał wysoki, starszy mężczyzna. Jego czarna szata powiewała za nim na wietrze jak skrzydła wielkiego kruka. Reynaud nie mógł powstrzymać uśmiechu. Benjamin z Toledo, jego dawny preceptor!

Drugi jeździec na mlecznobiałej arabskiej klaczy miał wysokie skórzane buty, szarą tunikę i biały turban. Jego twarz osłaniał welon. Serce zamarło w Reynaudzie. To Leonor!

Podróż w przebraniu nie była pozbawiona sensu, ale ta maskarada sprawiała jej przyjemność, o czym świadczył zawadiacki uśmiech goszczący na jej twarzy.

Zawsze lubiła maskarady.

Po powitalnym geście skierowanym do Sekira, osobistego strażnika Hassama, Reynaud przedostał się przez pierścień wojowników arabskich i podjechał do kuzynki. Z zainteresowaniem obrzuciła wzrokiem jego kolczugę i hełm. Ich oczy spotkały się. Serce Reynauda zabiło żywiej.

- Śledzisz nas - odezwała się oskarżycielskim tonem.

- Prawda i jednocześnie nieprawda. Jadę z wami, ale w pewnej odległości. Wypatruję bandytów. Obiecałem Hassamowi, że zadbam o twoje bezpieczeństwo.

Skrzywiła się.

- Nie życzę sobie, byś dbał o moje bezpieczeństwo. Ty, z tą twoją zranioną na polach bitew duszą i ze swoją nieufnością do świata, na nic mi nie pozwolisz. Zwłaszcza na to, co zamierzam uczynić.

Szarpnęła wodzami, wysunęła się do przodu.

Urażony, zagroził jej drogę swoim koniem.

Wygięła gniewnie wargi. Pamiętał dobrze ten grymas. Już w młodości na ten widok serce waliło w jego chudej piersi jak kowalski młot. Nigdy nie wiadomo czego można się było spodziewać po Leonor. Jakże lubiła takie gierki!

Podjechał Benjamin.

- Na Jahwe, dlaczego zatrzymujesz się na środku drogi? - zapytał Leonor.

Na Reynauda nie zwracał uwagi. Najwidoczniej nie poznał dawnego ucznia.

- Zastanawiałam się nad swoim planem. - W głosie Leonor dźwięczała radość.

Reynaud poczuł skurcz żołądka. Jaki plan? Co ona zamierza, oprócz odwiedzenia starej ciotki?

- Co znowu? Nie możesz jechać i planować jednocześnie?

- Mogę robić wiele rzeczy jednocześnie, Benjaminie. - Roześmiała się. - Dobrze wiesz.

- Nie przypominaj mi - gderał, ale na próżno starał się skrywać dumę, z jaką patrzył na Leonor.

Reynaud pamiętał, jak od małego wodziła za nos swojego ojca. Jako dorosła nadal czyniła to ze swoim otoczeniem. Jakże pięknie wyrosła. Widok łagodnych krągłości jej figury przyprawiał go o zawrót głowy. Trudno oderwać od niej wzrok.

Zważywszy odpowiedź jego ciała na jej wdzięczny widok, będzie wystawiony na próbę ogniową. Trącił nogą konia do kłusa, zwrócił twarz w stronę skalistych szarych pagórków na zachodzie. Chyba za podszeptem diabła zgodził się ją eskortować.

Objechał orszak od tyłu, by upewnić się, że nikt nie podąża za nimi ku odległej przełęczy górskiej, za którą znajdowała się obronna osada Moyanne.

Znał tę osadę dobrze. Będąc młodzieńcem, tam poznał smak wina z Burgundii i kobiet... z całego świata.

Niezaspokojony głód ukąsił go w lędźwie. Wyprostował się w siodle i skierował myśli w inną stronę. Za wiele kosztowało go wstąpienie w szeregi rycerzy zakonu templariuszy, by poświęcić honor dla zwykłej zachcianki cielesnej.

Leonor z wielkim upodobaniem przypatrywała się porośniętym mchem murom otaczającym wioskę Moyanne, następnie przeniosła wzrok na ciemną sylwetkę zamku na



szczyt wzgórza w oddali. W porównaniu z bajecznie kolorową i pulsującą życiem Grenadą ta malownicza osada wyglądała, jakby czas zatrzymał się w niej przed setkami lat. Ciotka Alais musi wieść spokojne życie w takim miejscu.

Leonor poczuła wstępujące w nią podniecenie, dała mlecznobiałej kłaczce sygnał do ruchu. Kilka minut później dwa konie i muł stąpały po drewnianym moście zwodzonym do zamku, a po przejeździe pod podwieszoną kratownicą bramy zastukały o kocie łby otoczonego chaotyczną drewnianą zabudową podwórca. Z najbliższego budynku słychać było metaliczne uderzenia, a po nich syk pary wodnej. Tam musiała być kuźnia.

Leonor z wielką ciekawością przyglądała się ludziom na podwórku. Luzakom stajennym, praczkom, duchownemu o zgorzkniałej twarzy. Podświadomie rozejrzała się za jeszcze bardziej zgorzkniałym obliczem Reynauda, ale nie dostrzegła chimerycznego kuzyna.

Dobrze. Nie jest dzieckiem, którego nie należy spuszczać z oka.

Z naprzeciwka podbiegli mali chłopcy, żeby im pomóc zsiąść z koni i rozładować bagaże z muła uwiązanego za wierzchowcem Benjamina.

W końcu tu dojechała. Może zrealizować swoje marzenia. Będzie triumfować albo wygłupi się tak bardzo, że nawet Benjamin nie zechce się do niej odezwać. Gorzej, może będzie z niej drwił.

- Benjaminie, trochę się boję.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Wszystko ma swoją cenę, maleńka. Zwłaszcza wielka przygoda. - Mrugnął przyjaciźnie.

- Ach, Ben... ja naprawdę się boję.

- Powiedz czego.

- Nie potrafię powiedzieć jasno. Całe życie marzyłam o dniu, w którym opuszczę dom ojca i wyruszę na poszukiwanie własnego losu.

- I oto ten dzień nastał.

Odwróciła wzrok od jego wąskiej, pomarszczonej twarzy, skierowała go na podwieszoną kratownicę za ich plecami. W każdej chwili w bramie mógł ukazać się Reynaud, bała się, że on zauważy jej zwątpienie we własne możliwości.

- Z jednej strony nie mogę się doczekać tego, co będzie, z drugiej - chciałabym wrócić do domu pod opiekuńcze skrzydła ojca.

- A czego pragniesz bardziej?

- Jadąc z Grenady, cały czas myślałam o akademii poetyckiej Gai Saber. Jej trubadurzy cieszą się wielką sławą na dworach Akwitanii. Chciałabym spróbować swoich sił...

- Cóż cię powstrzymuje?

Tak, spróbuje swoich sił. Tak jak to planowała od wielu miesięcy. Porozmawia na osobności z ciotką Alais.

TLR

## Rozdział czwarty

Stojąc na obwałowaniach dominujących nad dziedzińcem, Reynaud zauważył szczupłą dziewczęcą postać w białym turbanie. Jej widok przyprawił go o przyspieszone bicie serca.

Schodził z blanki wąskimi kręconymi schodami, klnąc pod nosem. Oprócz strzeżenia Leonor, miał w Moyanne do załatwienia ważną sprawę. Czekał na człowieka z instrukcją, gdzie złożyć złoto zakonne, które wiozł w jukach. Człowiek ten użyje hasła, które podał mu de Blanquefort. Poza hasłem wielki mistrz nie udzielił żadnych innych wskazówek.

Musi więc czekać. Jednak ilekroć jego wzrok spoczywał na Leonor, czuł, że krew w jego żyłach zaczyna krążyć szybciej, a spowijająca go ciemność rozrzedza się. Choć duch w nim podupadał, ciało dawało przerażające oznaki życia.

W wielkim refektarzu zamkowym olbrzymi kamienny kominek był pusty. Nagrzane wieczorne powietrze utrzymywało się do porannej jutrzni. Podobnie było w Syrii, tyle że tam noce nigdy nie były spokojne.

Wnętrze wypełnione gwarnym towarzystwem rozświetlały pochodnie. Hrabia Henryk i jego małżonka, szanowna Alais, przyjęli go z nieudawaną serdecznością, mimo to Reynaud nie czuł się swobodnie. Był tu obcym. Ani z niego Frank, ani Arab.

Tym bardziej zdziwił go fakt, że hrabia Henryk przeznaczył dla niego honorowe miejsce po swojej prawicy. Hrabia, jak sam wyznał, służył w zakonie szpitalników. Dąrzył szacunkiem innych rycerzy zakonnych, nawet z konkurencyjnego zakonu templariuszy.

Brzuchaty podczaszy krążył po sali i nalewał gościom wino, poczynając od najważniejszych siedzących na podniesieniu, do pozostałych usadowionych przy nakrytych obrusami bocznych stołach rozstawionych na kozłach. Reynaud raz po raz wychylał do dna kielich i starał się odizolować od hałasu i gwaru panującego w wielkiej sali.

Panowie i panie w strojnych, jedwabnych szatach, rycerze i duchowni w ciemnych habitach, nawet dzieci, wypełniali tłumnie gorące, przeniknięte zapachem potu ludzkiego pomieszczenie.

Reynaud koncentrował uwagę na zonglerze na środku sali. Ubrany w obcisłe czerwone rajtuzy i czapkę z dzwoneczkami, podrzucał w górę i zręcznie chwycił żółte jabłka, nie upuszczając żadnego na podłogę.

- Potem będą tańce. - Hrabia Henryk nachylił się do ucha Reynauda.

Reynaud skrzywił się niezauważalnie. Przed złożeniem ślubów zakonnych pląsy z kobietami dostarczały mu wiele przyjemności. Obecnie zadowalał się obserwowaniem innych. Szukał Leonor. Chciał się upewnić, że jest bezpieczna i pod dobrą opieką, bo wkrótce zamierzał udać się na spoczynek.

Wychylił kolejny puchar aromatycznego słodkiego trunku i starał się skupić na rozmowie z gospodarzem, co nie było łatwe w panującym w sali gwarze, któremu towarzyszyły salwy śmiechu biesiadników.

Gdzie Leonor?

- Pij, Reynaudzie - zapraszał hrabia. - Nasz posiłek opóźni się nieco. Dzisiaj po południu oszczeniła się charcica mojej szanownej małżonki i ona obiecała jedno szczenię kucharzowi.

- A on nie potrafił zdecydować, które z sześciu szczeniąt wybrać dla siebie - wtrąciła Alais. - Ja też nie potrafię podjąć decyzji, bo po prawdzie, wszystkie szczeniaki są piękne. A może wy, rycerzu Reynaudzie, zechcecie towarzysza?

- Nie, dostojna pani. Życie upływa mi w podróżach, nie będę mógł zadbać o szczeniaka. Nie będę miał również czasu, by go wyszkolić.

Mówił prawdę. Nie potrafił długo usiedzieć w jednym miejscu. A kiedy nie podróżował, zatapiał się w rozmyślaniach. I z radością witał rozkazy, które gnały go na kolejną wyprawę.

- Szkoda. - Pani Alais uśmiechnęła się. - Nie potrzebujemy tak wielu szczeniaków, a nie chciałabym widzieć, jak je będą topili. A wy, panie Robercie - zwróciła się do sąsiada po swojej lewicy - macie już charta?

Hrabia Henryk przepił do Reynauda.

- Nie każę ich utopić - rzekł półgłosem - ale niech ona myśli, że tak się ma stać, to szybciej postara się znaleźć im dom. Kobiety, niech je Bóg błogosławi, mają miękkie

serca dla małych stworzeń. - Zachmurzył się. - Może byłoby inaczej, gdyby miała własne dzieci.

- Nie masz potomstwa, hrabio?

- Mam syna. Jego matka zmarła w porożu. Był już w pełni dorosły, gdy Alais przybyła do Moyanne, by mnie poślubić.

- On żyje?

- Możliwe. Jeśli Bóg go zachował. Nie widziałem go od trzydziestu lat. Wychowywał go w Carcassonne mój brat, Roger z St Bertrand. A potem wyruszył za morze, do Jerozolimy. Był pięknym młodzieńcem, gdy odjeżdżał.

- W Ziemi Świętej spotkałem wielu rycerzy z Nawarry. Jakże się nazywał?

- Bernard. Ale on nie był rycerzem waszego zakonu. Był, jak ja, szpitalnikiem.

Reynaud nie zdążył zadać kolejnego pytania, gdy w końcu sali pojawił się młodzieniec z harfą na szczupłym ramieniu. Miękka, aksamitna czapka zasłaniała mu częściowo twarz.

Trubadur! Reynaud nie słyszał występów trubadura, odkąd przed ponad dwudziestu laty opuścił Vézelay.

Bóg jeden wiedział, jak bardzo jego serce łaknęło pocieszenia.

Leonor przystanąła w wejściu do wielkiej sali. Czekwała na wezwanie ciotki. Poprawiła na ramieniu harfę, wepchnęła pod zieloną aksamitną czapeczkę nieposłuszne pasemko włosów. Benjamin delikatnie ścisnął jej rękę.

- Z Bogiem, malutka - szepnął. - *Szalom.*

Nadeszła chwila, o której marzyła. Jej serce wyrывało się do lotu jak sokół, z którego myśliwy zdejmuje osłaniający go kaptur.

Poezja zawsze na nią tak działała. Kiedy śpiewała, świat stawał w miejscu, a ona wlatywała ponad jego powierzchnię i czuła się drobną cząstką całej ludzkości.

Do tej pory tylko na dworze Eleonory Akwitańskiej trubadurami bywały kobiety. Szeptano, że zdarzały się tam nawet poetki.

Tu jednak było Moyanne, nie Akwitania. Tym ludziom może nie przypaść do gustu kobieta trubadur. Z podniecenia zaschło jej w gardle.

Na zapraszający znak ciotki zaczęła przeciskać się do przodu. Zauważyła, że obok hrabiego Henryka siedzi Reynaud. Wysoki, ciemnowłosy. Na białej tunice biła w oczy jaskrawa czerwień zdobiącego pierś krzyża. Nogi odmawiały Leonor posłuszeństwa, ale mężnie parła do przodu, ku niemu.

Reynauda oblał zimny pot. To nie młody minstrel, to Leonor! I, oby Bóg jej wybaczył, była w spodniach! Co za szaleńczy pomysł, żeby pokazywać się publicznie w męskich szatach? I z harfą?

Kobiety nie występowały publicznie. A już z całą pewnością wysoko urodzone, wykształcone i obyte w etykiecie dworskiej. Musiała o tym wiedzieć. Goście hrabiego nie będą słuchali kobiety. Głośno zaprotestują, zanim skończy śpiewać.

Ze wstrzymanym oddechem patrzył, jak Leonor przeciska się przez tłum sług i biesiadników w zatłoczonej sali. Sprawiała wrażenie kruchej i bezbronnej. Prosta, haftowana tunika sięgała niemal podłogi, z zielonej aksamitnej czapeczki sterczało zawadiacko pióro. Nawet w męskim przebraniu wyglądała kobieco. Nikogo nie mogły zmylić delikatna twarz i miękkie, pełne gracji ruchy. Wszystko w niej krzychało: jestem kobietą.

Czy nikt nie widział tego, co dla niego było takie oczywiste? Będzie bezpieczna tylko wtedy, gdy nikt się nie zorientuje, że jest kobietą. Zaciskał zęby z obawy. Już za późno, by ją powstrzymać.

Szmer oczekiwania przebiegł przez salę. Leonor wysunęła się na środek, skłoniła dwornie hrabiemu i jego żonie.

- Drogi małżonku, to jest ten trubadur, o którym wspominałam ci wcześniej. - Pani Alais nachyliła się do męża.

Hrabia skierował uwagę na młodzieńca.

Leonor zajęła miejsce na okrągłym stolku i zaczęła korygować strój harfy. W sali cichło.

Reynaud pocił się pod ubraniem. Nie ma mowy o życzliwym przyjęciu takiego występu. Czy w jego mocy jest uchronienie jej przed konsekwencjami własnej lekko-myślności? Machinalnie sięgnął do boku. Miecz zostawił u wejścia do sali, tak jak wszyscy rycerze przybyli na ucztę. Był bez broni.

Zapadło milczenie, lepkie jak mgła. Leonor wyprostowała się, uderzyła pierwszy akord. Zaczęła śpiewać.

Reynaud słuchał z bijącym sercem. Jaka piękna muzyka! Timbre jej głosu był niski, melodyjny, bogaty. Głos kobiety, a nie niedojrzałego dziewczęcia, jakie zapamiętał.

I ta poezja! Arabski poeta mówił o uczuciu, które wzbija się pod niebo jak skowronek wyśpiewujący w ekstazie swoją pieśń. Reynaudowi z wrażenia zaparło dech.

Od dawna, od wczesnej młodości, żadna pieśń nie poruszyła go tak głęboko. Chciało mu się płakać. Jęk harfy sprawiał niemal fizyczny ból. Tęsknota paliła trzewia.

To było nie do zniesienia. Zacisnął dłonie. Jeszcze trochę, a popękają mu stawy. Na szczęście w tejże chwili magnetyzujący głos ucichł, dźwięki harfy uciekły w przestrzeń, zrobiło się cicho.

Reynaud siedział bez ruchu.

Leonor skłoniła głowę przed hrabią i panią Alais, lecz nie wstała z siedzenia. Reynaud patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

Ani jeden szmer nie zakłócał przeciągłej ciszy. Hrabia Henryk spoglądał z niedowierzaniem na drobną figurę na środku.

- Na wszystkich świętych! - rozległ się jego pełen podziwu szept.

Leonor uniosła głowę. W jej szarych oczach błyszczały łzy.

Zerwała się istna burza. Rycerze i zwykli ludzie z gminu walili kielichami o stoły i krzyczeli w zachwycie aż do ochrypnięcia.

Bogu dzięki! Oczarowała ich.

Wstała. Podeszła do podium, uklękła na jedno kolano przed hrabią i jego małżonką. Delikatną ręką zdjęła ozdobioną piórem czapkę i przyłożyła ją do serca.

Czarne jedwabiste włosy spłynęły na jej dziewczęce plecy.

Tłum oniemiał.

- Kobieta! - krzyknął ktoś. - Ten minstrel jest kobietą!

Zanim pomyślał, co robi, Reynaud zerwał się na nogi. Na drewnianej ławie, u wejścia do refektarza leżały złożone przez ucztujących miecze. Jeszcze nigdy nie odczuwał tak silnej potrzeby, by kogoś bronić. Także nigdy nie czuł takiej mocnej więzi duchowej z żadną istotą ludzką.

Ale ona była kobietą. Śluby, które złożył, zabraniały mu jakichkolwiek związków z kobietami. Musi uciekać. Wbrew własnej duszy, która ciągnęła go do Leonor.

W wielkiej sali panował nieopisany gwar. Nagle znowu wszystko ucichło. Reynaud zadrżał.

Ona znowu zaśpiewa.

A on chyba tego nie zniesie.

TLR



## Rozdział piąty

- Zostań! - Ciężka jak maczuga ręka hrabiego Henryka wcisnęła go z powrotem na miejsce za stołem.

Szczęk noży o półmiski, hałas odstawianych na stoły kielichów cichł. Reynaud nie mógł wyjść z uczty, nie okazując braku szacunku gospodarzowi.

Leonor przykręcała kołek jednej ze strun, lekkimi uderzeniami palców wygrywając krótkie akordy. Sprawdzała strój instrumentu. Niepostrzeżenie przeszła do właściwej melodii.

Długie palce fruwały nad strunami jak skrzydła ptaka. Kruczoczarne włosy opadły na twarz, przesłaniając rysy. Znanym dobrze Reynaudowi szybkim ruchem dłoni odgarnęła je na bok. Zrobiło mu się gorąco.

Miała dziś dwadzieścia siedem lat. Działała mu na zmysły. Każdy jej gest przyprowadził go o utratę tchu. Kiedy pod kamiennym sklepieniem ucichły ostatnie tony pieśni, uniosła głowę. Ich spojrzenia się spotkały. Pod doskonałymi łukami ciemnych brwi szare jak dym oczy spoglądały wyzywająco.

- Cóż, przyjacielu - rzekł ze śmiechem hrabia Henryk. - Stawiam zakład, że nie poznałeś jej. Jest prawdziwą ucztą dla oka, nie uważasz?

Reynaud nie znajdował odpowiedzi.

- Panie? - wyrwał go ze stanu oniemiaania czysty głos Leonor. - Wróciłeś świeżo z zamorskich krajów, czy jest jakaś pieśń, której rad byś wysłuchał?

Reynaud wbił wzrok w hrabiego Henryka, którego roześmiane oblicze zdawało się mówić: czy znasz cudowniejszego trubadura?

- Tak, jest taka pieśń - odezwał się, przewyciężając niemoc gardła.

- Jakaż więc? - zapytała.

Hrabia Henryk przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Powiem na osobności.

- Na osobności? - Hrabia Henryk w pierwszej chwili był skłonny uznać pomysł za niestosowny.

- Tak, na osobności - powtórzył Reynaud. - Proszę o pozwolenie, jeśli to nie zbytek nieuprzejmości.

- Prosisz, panie, o pozwolenie? Niechże będzie. Wszak to twoja kuzynka. Wybacz powolność myślenia. Starzeję się. Idźcie więc porozmawiać.

- Dostojny wuju... - zdawała się protestować zaskoczona Leonor.

- Idź, dziecko. Zrób, co mówię. Wiem, że będziesz zadowolona. - Odprawił ją ruchem dłoni.

- Nigdy dotąd nie pozwalano mi na rozmowę z mężczyzną na osobności, wuju. Dzięki ci! Jestem pewna, że ta rozmowa poszerzy moją edukację. Pójdiesz za mną, panie? - zwróciła się do Reynauda, którego rozweseliła jej umiejętność manipulowania starym rycerzem.

W wąskim korytarzu, po wyjściu z refektarza odezwała się pierwsza.

- Jesteśmy sami. Mów, panie.

Twarz Reynauda nie zdradzała emocji, tylko oczy mówiły wiele o stanie jego ducha. Były zielone jak morska toń zimą i nieufne. Przypominał Leonor sokoła, którego kiedyś trenował jej ojciec. Jednocześnie uległego i silnego. Podejrzewała, że ten człowiek był zdolny zabić, a potem na kolanach błagać o przebaczenie.

W milczeniu obserwowała jego napiętą twarz. Twarz bez uśmiechu. Nigdy żaden mężczyzna nie stanowił dla niej takiej zagadki. Miał młode rysy, ale spojrzenie starego człowieka. Coś przyciągało ją do niego jak srebrną monetę do magnesu.

- Czemu się chmurzysz? - zapytała cicho.

- Mam powód - odpowiedział krótko.

- Podejrzewam, że kryjesz w sobie ciemne miejsca, do których tylko niewielu, jeśli w ogóle ktokolwiek, ma dostęp. Nie chciałabym być twoim wrogiem.

Wykonał krok do przodu. Zdumiewająca była lekkość, z jaką się poruszał, pomimo emanującej z jego sylwetki siły. Był szeroki w barach i długonogi. Musiał zapewne pięknie tańczyć. Zapragnęła go dotknąć. Skąd taki pomyśl?

- Chciałeś ze mną mówić - rzekła, spoglądając mu prosto w twarz.

Reynaud przezwyciężył impuls, który nakazywał mu przyciągnąć ją do piersi. Zamarzył o wsunięciu palców w jej jedwabiste włosy.

- Leonor, nie musisz zwracać się do mnie „panie”.

- Jeśli tak się do ciebie zwracam, to nie dlatego, że traktuję cię jak kogoś postawionego wyżej ode mnie. Mówię tak przez wzgląd na twoją przynależność do zakonu rycerskiego.

- Jestem rycerzem zakonnym. Nie jestem panem. Nie mam ziemi, jak dobrze wiesz. Dryfuję na falach, jak to określiłaś wcześniej.

- Nie masz ziemi, to prawda, ale nie jesteś pozbawiony widoków na przyszłość. Jest powód, dla którego przybyłeś do Moyanne, mam rację? I to inny niż złożona mojemu ojcu obietnica, że się mną zaopiekujesz.

Jej otwartość zdumiała go. Patrzyła mu prosto w oczy, przemawiała szczerze. Zdążył zapomnieć, że zawsze była bezpośrednia, nawet jako dziecko. Choć wiedział również, że potrafiła kryć swoje myśli, tak jak i on.

- Wiesz, że pochodzę z nieprawego łóża. Przyniesiono mnie do domu Hakima w wiklinowym koszyku. Moje widoki na przyszłość są mniej prawdopodobne niż istnienie róz w piekle.

- Mimo wszystko... jeśli się nie pogniewasz, będę cię nadal nazywała „panem”.

Nie pogniewasz! Żeby tylko wiedziała. Budziła w nim pożądanie. Woń jej perfum - słodki jaśmin z lekką nutą piżma - drażniła jego powonienie. Zamknął oczy, by się nią upajać. Pragnął Leonor.

Odwrócił się, wbił wzrok w kamienną podłogę. Nakazał posłuszeństwo swojemu ciału. Nie dopuści, by rzuciła na niego urok. Postara się trzymać jak najdalej od Leonor. Cofnął się.

- Zostań, Reynaudzie. Uraziłam cię?

- Nie. Ja... Nikogo nie uraziłaś. - Na chwilę zapomniał, że jest zakonnikiem. Rycerzem zakonnym, który ślubował życie w czystości.

Ale to nie wszystko. Leonor była młoda i szczęśliwa. Radosna istota, spragniona życia. A on był spętany nie tylko ślubami zakonnymi. Był zgorzkniały i nieufny. Swoją bliskością rzucił cień na jej radość życia, zniszczył jej optymizm. Będzie ją ciągnął w dół.

Zbliżyła się do niego, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Chciałeś ze mną mówić - przypomniała po raz trzeci.

Tak, to prawda.

- Leonor, co ci przyszło do głowy udawać minstrela w domu swojego wuja?

- Udawać! Ja nie udaję. Ja występuję. Nie ma w tym nic złego. Całe życie marzyłam o tym, żeby podróżować, występować i poznawać świat.

- To niebezpieczne.

- Dlatego, że jestem kobietą?

- Tak.

- Dlaczego sens egzystencji kobiety ma się sprowadzać do życia w odosobnieniu dla mężczyzny? Kobieta nie została stworzona wyłącznie po to, by dawać przyjemność mężczyźnie. Kobieta została stworzona dla siebie samej.

- To śmieszne.

- Wcale nie! Kocham muzykę, przecież o tym wiesz. Chcę się nią dzielić z innymi.

- Możesz to robić w Grenadzie, w zaciszu domu ojca.

- Chcę zobaczyć świat poza Grenadą. Jestem ciekawa, jak wygląda.

- Zawsze byłaś dziwna. Myślałem, że z tego wyrośniesz.

- Nie wyrosłam. Interesują mnie jeszcze inne rzeczy poza życiem dla uciechy mężczyzny.

Na Boga i wszystkich świętych! Czy ona nic nie rozumie?

- Zmierzasz ku zgubie. Życie trubadura nie jest dla kobiety. Zwłaszcza dla takiej jak ty.

- Mylisz się. Masz zranioną duszę, stąd twoje przekonanie. Nie zgodzę się z tym, żeby twoja nieufność do świata zniszczyła moje marzenie. Zresztą i tak nic nie będziesz mógł zrobić.

- Twój ojciec...

- Nie dowie się.

- Boję się o ciebie. Jesteś nieobliczalna. Nic nie wiesz o świecie.

- Uczę się. Powinieneś być zadowolony.

- Nie jestem.

- Czy to zamierzałeś mi powiedzieć?

- Tak.

- Dobrze więc, mój panie, jakiej pieśni chciałbyś wysłuchać?

- W Ziemi Świętej nie było minstrelów. Bóg mi świadkiem, nie mieliśmy okazji do śpiewania.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, uśmiechnęła się lekko.

- Skoro nie było tam minstrelów, twoje serce musi być spragnione.

Skulił się w sobie. Trafiła w sedno.

- Zaśpiewam ci trzy pieśni w stylu katalońskim. Ocenisz, która podoba ci się najbardziej.

Szarpnęła go, by na nią spojrzeć. Kąciki jej ust wyginały się tak zachwycająco, że miał chęć wyciągnąć rękę i zakryć je, by ich nie widzieć.

- Nie bądź na mnie zły, Reynaudzie. Chcę tylko znaleźć szczęście, ty przecież również.

Ruszyła w stronę drzwi. Zatarasował jej drogę.

- Jak ktoś taki jak ty może wiedzieć, czego szukam w życiu? Myślisz, że pogoń za szczęściem to wszystko?

Nie odpowiedziała na żadne z pytań.

- Chodź. Posłuchasz, co ci zaśpiewam.

W wielkiej sali powitał ją szmer zadowolenia. Schyliła głowę w podzięcie, wzięła harfę. Reynaud został w cieniu na boku.

Starał się skoncentrować uwagę na muzyce. Słowa melorecytacji były w języku ladino, mieszaninie języka Żydów sefardyjskich, pośledniej hiszpańskiej łaciny i arabskiego i mówiły o rycerzu i czterech dziewicach. Reynaud rozglądał się po sali. Słuchający mężczyźni byli oczarowani.

Zaczęła inną pieśń, arabski *zajal*. Oparty o kamienną ścianę Reynaud słuchał z zamkniętymi oczami. Głos Leonor to wznosił się uwodzicielsko, to opadał. Reynaud chłonał każdą nutę. Trzecia pieśń była bardzo nastrojowa. Tęskna melodia wnikała głęboko w serce. Nagle otrzeźwiły go słowa: „Słyszał kto kiedy śpiew srebrnego łabędzia?”

Zesztywniał, serce zaczęło w nim galopować jak spłoszony koń. Patrzył na Leonor w osłupieniu. Słowa pieśni były tajnym hasłem, które podał mu de Blanquefort.

## Rozdział szósty

Benjamin podniósł wzrok znad stołu, przy którym coś pisał. Z refektarza piętro niżej dobiegał śpiew Leonor. Słuchał ze szczerą przyjemnością.

Bogu dzięki. Spotkała się z akceptacją. A nawet - sądząc po okrzykach radości, jakie nastąpiły, gdy zamilkła - z entuzjastycznym przyjęciem. Jego ukochana ptaszyna może teraz śmiało wyruszyć na objazd dworów i zamków ze swoimi pieśniami. Cały świat legnie u jej stóp.

W otwartych drzwiach mignął jakiś cień. Benjamin drgnął. Na rozpostartą na stole stronę spadła kropla atramentu.

- Kto tam?

- *Szalom* - powiedział gość.

- I z tobą pokój, Reynaudzie.

- Witaj, Benjaminie. *Alea iacta est*.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To pierwsza łacińska sentencja, jakiej mnie nauczyłeś, pamiętasz?

Benjamin uniósł się z siedzenia. Jego oczy wędrowały od twarzy Reynauda do czerwonego krzyża naszytego na piersi białej tuniki rycerskiej, by zatrzymać się na mieczu.

- To prawda. Kostka jest w grze.

Podszedł do Reynauda i ten uściskał go tak, że staremu na chwilę zabrakło tchu w piersiach.

- Nie tak mocno, synu. Twoja kolczuga mnie uwiera. Jakbym przyciskał pień drzewa do piersi.

- Drzewa, powiadasz. - Reynaud się roześmiał.

- Właśnie. Jesteś silny jak dąb. No, mów, co cię sprowadza do Moyanne? Wiem o proście Hassama... chciałbym jednak dowiedzieć się reszty. Tylko mów prawdę.

- Jestem wysłannikiem wielkiego mistrza, Bertranda de Blanqueforta z Akry.

- Akry - powtórzył Benjamin. - Jak się mają sprawy w Akrze?

- Nieźle. Chrześcijanie konkurują z chrześcijanami o władzę w Jerozolimie. A jak w Grenadzie?

Stary uśmiechnął się.

- Też nieźle. Brat nadal walczy z bratem, jak zapewne pamiętasz. Arabowie z chrześcijanami i także z Arabami. Al-Andalus długo się nie utrzyma przy takich podziałach.

- Jerozolima też. Granat zostanie zjedzony, ziarnko po ziarnku. Myślisz, że ludzie są tacy niesyci władzy czy po prostu tylko głupi?

- Głupi. Niesyci władzy także, ale przede wszystkim głupi. A to niebezpieczne.

- Boję się, że masz rację. - Reynaud westchnął. - Hassam uczył mnie, żeby najpierw myśleć, a potem wyciągać miecz. Ale w Lewancie długo nie przetrwasz, trzymając się tej filozofii. Obecnie najpierw uderzam, potem pytam.

Benjamin nie odrzekł nic. Gestem zaprosił Reynauda, żeby usiadł. Z drewnianego dzbana, który miał pod łokciem, nalał dwa kubki wina. Jeden podał Reynaudowi.

- Twoje zdrowie.

- Twoje. - Reynaud uniósł swój kubek.

Przyglądali się sobie nawzajem w milczeniu. Benjamin odchrząknął.

Reynaud wstał, odstawił kubek z winem na stół i pochylił się do ucha starca.

- „Słyszał kto kiedy śpiew srebrnego łabędzia?” - zagadnął znienacka.

- Łabędzia? Dlaczego pytasz o łabędzia? Co to ma do rzeczy?

Reynaud pogładził starego po wychudzonym ramieniu. Był zadowolony. Benjamin nie znał hasła de Blanqueforta. Po raz pierwszy poczuł, że role odmiały się. Teraz on jest nauczycielem, a Benjamin uczniem. Zmienił temat.

- Opowiedz mi o Leonor.

Już samo wypowiedzenie jej imienia sprawiło, że jego pierś zalała fala gorąca.

- Leonor? Jasne, Leonor. Słyszałeś dzisiaj jej śpiew.

Jakżeby inaczej, słyszał. I do tej chwili nosi w sercu jej obraz, a w uszach dźwięczy mu melodyjny głos.

- To oczywiste, prawda? - ciągnął Benjamin. - Jest piękna. Jak jej matka. Muzykalna, uduchowiona... - Głos mu się załamał, czarne oczy zaszklily. - Jakież musi wy-

wierać na tobie wrażenie! Zawsze byłeś pięknym chłopcem, ale teraz, kiedy stałeś się mężczyzną ... daj, Boże, zdrowie. Kobiety muszą na twój widok...

- Na niej nie robię wrażenia.

- Hassam pewnie ci mówił, że ona jest trochę niesforna. I ma własne zdanie, obawiam się. Jak jej matka.

- Część odpowiedzialności za ten stan spoczywa na tobie, stary przyjacielu. Ty dbałeś o jej edukację.

- I jej matka. Ale tak, przyznaję się. Od dnia jej narodzin kochałem Leonor jak własną córkę. Starzy ludzie tracą z wiekiem rozum.

Reynaud spoważniał. Templariuszowi także może się to przytrafić. A utrata rozumu jest groźna. W życiu szpiega nie ma miejsca na lekkomyślność w stosunkach z kobietami. W nadchodzących dniach będzie potrzebował zdrowego rozsądku.

Pomachał odmownie dłonią, widząc, że stary zamierza ponownie napełnić mu kubek winem.

- Ona może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Hassam obawia się uprowadzenia - powiedział.

- Uprowadzenia! - wykrzyknął Benjamin.

- Uspokój się. To nie jest najgorsza rzecz, jakiej obawia się Hassam. Przypuszczam, że on wie o czymś o wiele gorszym, co jej grozi w Nawarze, ale nie zdradził mi, co mogłoby to być.

- Coś mogłoby jej grozić? Co?

- Na razie nie wiem. Nie chciałbym cię urazić, stary przyjacielu, ale mam pewne podejrzenia co do Leonor.

Benjamin w zamyśleniu kiwał głową. Widząc to, Reynaud postanowił posunąć się krok dalej.

- „Słyszał kto kiedy śpiew srebrnego łabędzia” - to hasło. Przed chwilą zaśpiewała właśnie te słowa.

Starzec gwałtownie uniósł głowę.

- Hasło?

- Ben, czy możliwe, by Leonor mogła być szpiegiem?



- Leonor? - W czarnych tęczęwkach Benjamin błysnął gniew. - Czy ty całkiem postradałeś rozum w tej Akrze? Pomyśl rozsądnie. Przecież to kobieta! Teraz jej jedynym marzeniem jest zostać minstrelem. Czy to nie dość?

Reynaud położył palec wskazujący na ustach dawnego nauczyciela.

- A zatem zachowajmy milczenie. Obaj. Będę ją chronił.

- Oby dobrze, mój synu.

Benjamin uściskał dawnego ucznia. Reynaud wiedział, że kolczuga, którą miał pod tuniką, uciska ciało starego, ale Benjamin na to nie zważał. Reynaud wiedział, że starzec, oprócz Leonor, kocha również i jego.

Reynaud wrócił do wielkiej sali. Uprzątno właśnie stoły i ustawiano je pod ścianami, by na środku zrobić miejsce na płasy. Paziowie krzatali się między salą a kuchniami, składali poplamione lniane obrusy, resztki mięsiwa rzucali psom. Podczaszy krążył wśród gości, napełniając winem kubki i dzbany. Reynaud zauważył kątem oka dostojnie wyglądającego mężczyznę, który najpierw rozejrzał się wokoło, a potem ukradkiem wychylił pozostałość wina z cynowego kubka pozostawionego na stole.

Reynaud poczuł, że mu zaschło w gardle. Sięgnął po swój kubek i opróżnił go dwoma wielkimi haustami. W samą porę, albowiem paź właśnie miał go uprzątnąć ze stołu. Wypiwszy, zaczął szukać Leonor.

W sali jej nie było. Nie było jej także wśród muzykantów, którzy tłoczyli się w drzwiach, po czym zaczęli zajmować przeznaczone dla nich miejsca na końcu sali. Jeden z nich taszczył rebeke, której struny były wykonane z jelit bydłowych, trzej inni nieśli w rękach drewniane flety, cytry i poobijany tamburynek. Po usadzeniu się zaczęli stroić instrumenty, a rycerze i damy ustawiali się w krąg i podawali sobie ręce w oczekiwaniu na pierwsze dźwięki muzyki.

Szczupłej, czarnowłosej damy w szmaragdowej jedwabnej szacie nie było ani wśród tancerzy, ani wśród przypatrujących się im gościom. Przecież nie udała się na spoczynek tak wcześnie. Zwłaszcza po takim triumfalnym występie. Coś musiało się wydarzyć...

Przeszył go dreszcz niepokoju. Grozi jej coś? Drżącą dłonią wyrwał dzban podczaszemu i napełnił sobie kubek.

Nim zdążył unieść go do ust, usłyszał niski głos Leonor.

- Reynaudzie, tańczysz dzisiejszego wieczoru? Czy może wolisz pić?

Odwrócił się tak gwałtownie, że rozchlapał wino i zmoczył sobie palce. Ona porusza się cicho jak kot. Szmaragdową tunikę oplatały złote ogniwa akcentujące talię i linię bioder. Kosztowało go wiele wysiłku, by patrzeć w inną stronę, nie na nią.

- Nie zauważyłem, jak podeszłaś.

Szare oczy spoczęły na nim przez krótką chwilę.

- Chciałam, żebyś nie zauważył.

Reynaud wciągnął powietrze, niezadowolony. To on miał ją obserwować, a nie ona jego. A ona pokazuje się i znika jak duch. Hassam miał rację - trudno za nią nadążyć. W tej chwili nie potrafił się tym jednak martwić tak jak powinien.

- Tańczysz, Reynaudzie?

Na myśl, że mógłby jej dotknąć, choćby tylko jej dłoni, krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Budziła jego zmysły, a to groziło utratą samokontroli. Nie mógł sobie na to pozwolić.

- Potrafię tańczyć, ale nie zatańczę.

- Jak sobie życzysz. - Uśmiechnęła się, a w nim struchlało serce.

Nie tego sobie życzył. Chciał przyciągnąć ją do piersi, chłonąć jej zapach, spijać rozkosz z jej ust.

Chyba oszalał! Jest przecież rycerzem zakonnym. Nigdy tak nie pragnął żadnej kobiety.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, która z trzech moich pieśni podobała ci się najbardziej.

Reynaud nie mógł odpowiedzieć. Ta zatłoczona sala nie była odpowiednim miejscem, gdzie mógłby ją wypytać, czy rozumie sens wyśpiewanych przez siebie słów.

Od dalszej rozmowy uwolnił go hrabia Henryk, który podszedł do nich, by wprowadzić krewniaczkę żony w taneczny krąg. Dała się poprowadzić, nie rzuciwszy nawet okiem na Reynauda.

Za to Reynaud nie mógł oderwać oczu od jej z gracją poruszającej się postaci, aż poczuł suchość pod powiekami. Nie dziwota, że Benjamin był pod jej urokiem. Leonor nie przypominała żadnej kobiety, którą znał. Obserwowanie jej, zmaganie się z pożądaniem były istną torturą.

Reynaud zrozumiał nagle, że dłużej nie wytrzyma.

TLR

## Rozdział siódmy

Leonor uśmiechnęła się do wuja w nadziei, że nie zauważył, że znowu zgubiła krok. Licz, upomniała samą siebie w duchu. To też nie pomogło. Nie potrafiła się skupić. Ani na krokach tanecznych, ani na chaotycznej rozmowie. Rozglądała się po sali wypełnionej przez damy wystrojone w barwne jedwabne szaty i równie strojnych rycerzy w bogato haftowanych tunikach. Wśród uczestników uczty żwawo krzątali się służący, krążący nieustannie między wielką salą a kuchniami.

W tej pstrokatej ciżbie wyróżniał się Reynaud. Wysoki, ciemnowłosy, stał pod ścianą z jedną nogą wspartą na ławie. Rozmawiał z ciotką Alais i towarzyszącą jej damą w szarych jedwabiach. W dłoni trzymał kubek z winem, który w tej chwili wznosił do ust.

Jego wzrok błędził ponad głowami dam, jakby kogoś szukał. Ich oczy spotkały się. W Leonor zabiło serce. Wpatrywał jej!

- Droga siostrzenico, jesteś roztargniona - usłyszała głos wuja.

- Przepraszam. - Zamknęła oczy, bardzo chciała skoncentrować się na opowieści wuja o podróży statkiem na Cypr. Gdy je otworzyła, Reynaud zniknął.

Zupełnie nieoczekiwanie odnalazł się przy niej. Bez słowa zajął miejsce wuja. Jego koloru wody morskiej oczy pałały.

- Masz rację, rycerzu. Nie mam nic przeciwko temu. - Hrabia Henryk klepnął Reynauda w plecy i oddalił się na swoje miejsce na podwyższeniu.

- Pani? - Reynaud z trudem wydobył głos z obrzmiałego gardła.

- Mój panie, myślałam, że nie chcesz tańczyć.

- Sam też tak myślałem.

- I co?

Co? Prawda była taka, że nie mógł znieść jej widoku z innym mężczyzną, nawet wujem. Ukradnie tych kilka chwil, zatańczy, dotknie Leonor i wypyta ją o tajne hasło.

Umilkła, onieśmielona jego spojrzeniem i nie odzywała się dopóty, dopóki nie ucichły dźwięki rebeki i taniec się nie skończył. Reynaud nadal przytrzymywał jej palce.

Stali i patrzyli na siebie, poszturchiwani przez tancerzy opuszczających taneczny krąg. Nareszcie odprowadził ją w cień pod ścianą.

Wciąż nie puszczał jej dłoni, jeszcze silniej zacisnął na niej palce i delikatnie wykręcił jej ramię do tyłu. W ten sposób przyciągnął ją do siebie.

Co robi?

Czy pochwyci ją w objęcia? Tego przecież gorąco pragnął. Czy odejdzie?

- Reynaudzie - odezwała się cicho Leonor - miażdżysz mi dłoń.

Puścił jej dłoń, ale otoczył talię.

- Wybacz. Kiedy jestem blisko ciebie... jest mi trudno.

- No to dlaczego mnie nie wypuścisz? - zapytała łagodnie.

Wiedział, że się uśmiechała, chociaż nie odważył się spojrzeć jej w oczy. Nie mógł wydobyć głosu z obrzękniętego gardła. Przełykał z wysiłkiem. Jeszcze mocniej obejmował jej wąską kibić.

- Boję się, że grozi ci niebezpieczeństwo, choć może nie jesteś tego świadoma.

- Jestem świadoma, do tego dążyłam.

- No to uważaj, Leonor. Nikomu nie ufaj.

- Nawet tobie, Reynaudzie? - zapytała przekornie.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej, przysunął usta do jej ucha.

- Słuchaj, co mówię. Boję się o ciebie.

Boże miłosierny, o siebie też, kiedy jestem blisko ciebie, pomyślał.

- Nie masz powodów do obaw - odrzekła lekkim tonem. - Jesteś templariuszem i moim kuzynem. Zaufałabym ci, nawet gdyby chodziło o moje życie.

- Widzę, że naprawdę jesteś nierozsądna.

- Nic podobnego. - Jej lekki ton ulotnił się. - Jesteś przyjacielem z dzieciństwa.

Wiem, że nie pochwalasz tego, co robię, ale mimo to jesteś przyjacielem, prawda?

- Jestem - potwierdził drżącym od emocji głosem.

Będąc zakonnikiem, nie powinien przekraczać granicy przyjaźni. Już gotował się do zapytania Leonor o zagadkowe słowa pieśni, gdy wyrósł obok nich hrabia Henryk i wprowadził ją na podium. Reynaud czekał jeszcze godzinę na okazję do dokończenia rozmowy, ale się nie nadarzyła.

Następnego dnia wieczerza również dłużyła się niemiłosiernie. Tym razem Leonor nie wystąpiła. W ogóle się nie pokazała. Reynaud widział ją przelotnie spacerującą po ogrodzie w towarzystwie Benjamina. Rozmawiali o czymś głowa przy głowie. Zastanawiał się o czym.

Przez całe popołudnie wypatrywał Leonor, ale nadaremnie. Gdyby rzeczywiście była wysłannikiem wielkiego mistrza, od niej powinien dowiedzieć się, gdzie złożyć złoto templariuszy.

Dlaczego nie przysłała na wieczerzę?

Nigdzie też nie było widać Benjamina. To Reynauda nie zaskoczyło. W odróżnieniu od Grenady, w chrześcijańskim świecie Żydzi, nawet powszechnie szanowani uczeni, nie mieszały się z rycerzami podczas uczt. Benjamina nie widać było również wśród służby, paziów i wieśniaków, siedzących przy oddalonym stole pod ścianą, czekających na resztki zawieszistego sosu do wymaczania chlebem i skrawki mięsa z pańskiego stołu.

Rozmowy toczone przez współbiesiadników męczyły jak brzęczenie roju pszczoł nad głową. Benjamin, gdy chciał, potrafił nie rzucić się w oczy. Ale Leonor?

Wykluczone. Jej uroda, podkreślona masą czarnych włosów i wielkich, szarych oczu, wyróżniała ją z otoczenia. Jakże one pachną, te jej jedwabiste włosy! Ten różany, z lekką domieszką piżmu zapach przyprawia go o zawrót głowy. Upaja się nim, choć serce mało nie rozrywa mu piersi.

- Co uważasz, rycerzu? - Poprzez hałaśliwe rozmowy i szcęk naczyń usłyszał głos hrabiego. - Czy chrześcijańska rekonkwista odbije Hiszpanię z rąk niewiernych?

- Twój syn, Bernard, walczy z Saracenami - odrzekł, pociągnąwszy wpierw długi łyk wina. - Nigdy nie zastanawiałeś się, hrabio, dlaczego?

- Mój syn, gdziekolwiek jest, nie spocznie dopóty, dopóki niewierni nie znikną z Ziemi Świętej i Hiszpanii.

- Niech więc Bóg ma cię w opiece, albowiem nie ujrzysz syna jeszcze przez długi czas. Zwycięstwo nie będzie łatwe ani w Jerozolimie, ani w Hiszpanii.

- Powiadasz?

- Jest względnie łatwo zdobyć zamek, a nawet całe miasto. Nie tak łatwo zapanaować nad ludźmi. Hiszpania jest domem zarówno dla chrześcijan, jak i Saracenów, od kiedy Arabowie przegnali z niej Gotów czterysta lat temu.

- Więc ty nie nienawidzisz Saracenów?

- Kilku tak. Większość szanuję. Niektórych, na przykład swojego stryja Hassama w Grenadzie, kocham.

W tej chwili w wejściu stanęła Leonor. W jedwabnej szafirowej szacie z szerokimi, sięgającymi podłogi rękawami, podbitymi karmazynową podszewką. Drobny paż niósł jej harfę. Wyglądała jak królowa.

Reynaud poczuł, że brak mu tchu. Nawet gdyby zdołał opanować podniecenie, by na nią spokojnie patrzeć, nie był pewny, czy starczy mu opanowania, żeby znowu móc słuchać jej śpiewu.

Jeśli to ona jest wysłannikiem, którego miał spotkać, to dzisiejszego wieczoru musi ujawnić jej swoją misję.

Ich oczy spotkały się. Nie odwróciła wzroku. Wyraźnie wyczytał w nich pytanie. Jakże?

Przesunęła się ku środkowi sali. Odebrała instrument z rąk podążającego za nią chłopca, wynagrodziwszy go uśmiechem. Gwar rozmów cichł.

Zarumieniony z radości młodzieniec wycofał się za krzesło, na którym siedział jakiś rycerz, potykając się o jego nogę. Rycerz klepnął go po plecach.

- Straciłeś głowę, Galeranie? Może i masz rację. Kiedy najlepsza pora na miłość jak nie za młodu?

Leonor czekała, aż zapadnie cisza. Wtedy usiadła. Sięgnęła po przytroczone do talii na złotym łańcuszku klucze do strojenia harfy, uderzyła kilka delikatnych akordów, a uznawszy, że instrument brzmi harmonijnie, odstawiła go na bok. Wstała, by złożyć uszanowanie ciotce Alais i hrabiemu Henrykowi.

Znowu skierowała wzrok ku Reynaudowi. Wbrew woli wytrzymał jej spojrzenie, choć przyspieszony puls o mało nie rozerwał mu bębenków w uszach. Uśmiechnęła się nieznacznie.

Zamknął oczy, by opanować rozszalałe zmysły. Nigdy w swoim trzydziestodwuletnim życiu nie spotkał tak pięknej kobiety.

Zacząła swoją pieśń. Reynaud znowu sięgnął po wino. Jeżeli rzeczywiście była wysłanniczką wielkiego mistrza, z którą miał się spotkać, powinna ponownie zaśpiewać o srebrnym łabędziu. A jeśli to się stanie, on musi znaleźć okazję, by przekazać jej odzew na hasło.

Pił wino i jak zaczarowany wpatrywał się w Leonor wykonującą subtelne ruchy ciałem w takt muzyki. Chłonał każdą zmianę barwy jej głosu, każdy niuans poetyckiego tekstu pieśni.

Rozpoczęła drugą pieśń. Dźwięki harfy płynęły w górę, ścigając się ze śpiewaną melodią, gdy nagle uderzyły go słowa: „Słyszał kto kiedy śpiew srebrnego łabędzia?”

Oprzytomniał. Kątem oka zauważył za sobą jakiś ruch. Czarno ubrana postać zatrzymała się, po czym znowu ruszyła do przodu powoli, skradając się krok po kroku. Była już całkiem blisko. Jeszcze trochę, a on będzie mógł dostrzec rysy twarzy ocienionej wielkim, luźnym kapturem.

Bystre, niebieskie oczy obcego penetrowały zgromadzoną ciżbę, po czym spoczęły na Leonor. Ona tymczasem doprowadziła pieśń do końca i z uniesioną głową i dłońmi złożonymi na ramie harfy czekała na reakcję audytorium.

W wielkiej sali nadal panowała cisza jak makiem zasiał. Nikt się nie poruszył. Nikt nie zakaszłał, nie zachrząkał. Ta przeciągająca się cisza szumiała Reynaudowi w głowie.

Teraz. Powinien odpowiedzieć teraz. Właściwie należało to uczynić wcześniej, ale on nie mógł uwierzyć, że tajemniczym wysłannikiem była Leonor. Obecnie, kiedy słowa hasła padły po raz wtóry w ciągu dwóch wieczorów, nie było najmniejszych wątpliwości.

Musi przemówić. Jak przemówi, jej zadanie zostanie wykonane i będzie bezpieczna. Wtedy on będzie mógł opuścić Moyanne, przekazać pieczę nad Leonor wujowi i uciec od słodkiej tortury, którą cierpiał w jej obecności. Im dalej będzie od niej, tym ona będzie bezpieczniejsza.

Nie zdążył otworzyć ust, gdy dał się słyszeć czyjś szorstki głos.

- Srebrny łabędź? Śpiewa tylko raz, a kiedy zaśpiewa, umiera.



Reynaud zastygł w bezruchu, zmroziło go. Tak brzmiał prawidłowy odzew. Leonor usiadła i znieruchomiała. Wbiła wzrok w nieznanego.

Reynaud obejrzał się.

Kim jest ten obcy?

## Rozdział ósmy

Krzepki mężczyzna o spłowiałych blond włosach i twarzy pokrytej krótkim, szpakowatym zarostem wyszedł z cienia i sztywnym krokiem ruszył ku Leonor. Spod bogatego płaszcza z czerwonego adamaszku, obszytego futrem, zupełnie nieodpowiedniego na gorące lato panujące w Moyanne, wystawała brązowa, sięgająca kostek tunika.

Reynaud spiął się wewnątrz. Wstał ze swojego miejsca na podium i też ruszył ku Leonor, wciąż siedzącej na środku wielkiej sali. Każdemu jego krokowi towarzyszył szmer zdziwienia audytorium.

Obcy zbliżał się do Leonor z drugiej strony.

- Pani, czy wolno mi będzie porozmawiać z tobą w cztery oczy?

Leonor odwróciła się ku niemu.

- A o czym, panie?

Reynaud zmarszczył brwi. Nie podobała mu się bezpośredniość Leonor, ale podziwiał jej spokój. Mimo wszystko wyczuwał jej zdenerwowanie.

- Słowa, które przed chwilą wyśpiewałaś - powiedział półgłosem obcy - są hasłem. Ja podałem ci odzew. Wiem, że masz mi coś do powiedzenia.

Reynaud zdążył stanąć obok Leonor.

- Nic nie mów, Leonor - szepnął jej do ucha. - To oszust.

- Znał odzew - zaprotestowała.

- Proszę, nic nie mów. Zaufaj mi!

- Nie, pani - wtrącił obcy. - Mnie zaufaj! To ten templariusz jest oszustem.

- Nie znam ciebie, panie - odparła Leonor. - Czy mógłbyś wyjawić mi swoje imię?

Nieznanomy złożył jej głęboki ukłon.

- Jestem Bernard z Rodez. Syn hrabiego Henryka.

Obserwatorom tej sceny wyrwało się głośne „ach!”, po którym na sali zapanował nieopisany harmider.

Hrabia Henryk wstał z pobladłą twarzą z krzesła i oparł się o krawędź stołu. Hałas narastał i słabł, jak szum wzburzonego morza, rozbijającego się o wysoki brzeg.

Reynaud miał wrażenie, że świat wokół niego się wali. Bernard z Moyanne i Bernard z Rodez to jedna i ta sama osoba?

- Teraz ty, templariuszu, powiedz, jak się nazywasz? - spytała Leonor.

- Przecież wiesz. Jestem twoim kuzynem, Reynaudem.

W niebieskich oczach przybysza zabłysło złowrogie światło.

- To wszystko? Reynaudem... skąd?

Reynaud podszedł do Bernarda tak blisko, że tuż przed sobą miał jego pokrytą plamami twarz.

- Znikąd. Jestem bastarden - powiedział cicho.

Bernard z Rodez nie mrugnął okiem.

- Wzruszające - warknął. - Nie masz ziemi, nie masz tytułu.

- Istotnie. Nie znam swojego ojca. - Głośno wypuścił powietrze z płuc.

Nie podobał mu się ten człowiek.

- Bastard bez ziemi paradujący w szatach templariusza. Czy ktoś taki nie będzie skłonny do kłamstwa, by przejąć korzystną dla siebie informację, a może i złoty skarb? - naciskał Bernard z Rodez.

- To nieprawda. - Reynaud zachowywał spokój.

- Ja mogę udowodnić, skąd się wywodzę. Ojciec to poświadczy. - Bernard wskazał na hrabiego, który jak osłupiały nadal stał oparty o krawędź stołu. - A ty? Kto potwierdzi, kim ty jesteś? Nikt.

- To też nieprawda.

Bernard z Rodez rozstawił nogi, zaczął gładzić dłonią rękojeść miecza.

- Cóż więc? Czy potwierdzisz swoje słowa mową miecza?

- Nie uda ci się sprowokować mnie do użycia broni. Człowiek, który ucieka się do takich argumentów, nie ma racji. Ja takim człowiekiem nie jestem. Nie mów mu nic - zwrócił się Reynaud do Leonor.

- On udzielił prawidłowej odpowiedzi - odparła.  
- Ja też bym jej udzielił, gdybym miał sposobność.  
- Któryś z was dwóch kłamie. - Popatrzyła to na jednego, to na drugiego.  
- To prawda - przyznał Reynaud. Przyłożył usta do jej ucha. - Zgaduję, że twój ojciec nie miał pojęcia o misji, której podjęłaś się dla emira Yusefa - szepnął.

- Co tam szepczecie?! - krzyknął Bernard z Rodez. Podniósł głos, by przekrzyczeć otaczającą ich wrzawę. Nieoczekiwanie pochwycił Leonor za ramię. - Pójdiesz, pani, ze mną!

W sali nagle ucichło jak makiem zasiał.

Leonor zmierzyła Bernarda dumnym spojrzeniem.

- Mój panie, jeśli istotnie jesteś tym, za kogo się podajesz, to jesteśmy spowinowaceni. A więc, drogi kuzynie, nie kwestionując twojego pochodzenia, domagam się uznania mojego prawa do samodzielnego decydowania o tym, dokąd pójdę i z kim. Dotyczy to obu rycerzy pretendujących do tej samej roli.

Reynaud słuchał zdumiony. Oto dlaczego Hassam tak wysoko cenił jej rozum. Jest odważna, bystra i stanowcza. Nie ma na świecie drugiej kobiety, która mogłaby się z nią równać.

- Leonor, musisz mi uwierzyć - szepnął. - Nie jemu, choćby naprawdę był tym, za kogo się podaje. Twoja wiadomość jest przeznaczona dla mnie.

Leonor uwolniła ramię z uścisku Bernarda z Rodez. Długo mierzyła wzrokiem to jego, to Reynauda. Wreszcie pokręciła głową.

- Nie wierzę żadnemu z was.

Zwróciła się twarzą do Reynauda. Owionął go zapach olejku różanego zmieszanego z aromatem drzewa sandałowego. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Jeśli ona zaufa temu przybłędzie, jej życie zawiśnie na włosku.

Bernard z Rodez wydawał się rozczarowany.

Nagle Leonor przyciągnęła głowę Reynauda do siebie. Wraz z jej gorącym oddechem dotarły do niego cztery wypowiedziane szeptem słowa.

- Do wieczora. Zaufaj mi.

Tymczasem hrabia Henryk zdołał się opanować. Wyciągnął drżące ramiona do nowo przybyłego. Ruszył, by go objąć.

- Synu! Witaj!

- Ojczy!

W zachowaniu przybysza brakowało wylewności. Leonor bacznie go obserwowała. Wciąż trzymał dłoń na wytartej rękojeści miecza. Nie odwzajemnił uścisku ojca. Czy naprawdę był synem Henryka? Alais opowiadała, że syn hrabiego Henryka był nieobecny w Moyanne od prawie trzydziestu lat. Jak tych dwóch mogło się rozpoznać?

- Bernardzie, wiedziałem, że wrócisz. Wiedziałem, że przyjdzie taki dzień. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem o tym z moją małżonką. Och, ale ty nie znasz mojej małżonki, pani Alais. Po śmierci twojej matki...

- Wiem, ożeniłeś się ponownie - dokończył za ojca Bernard. - Gdzie są twoje dzieci? Masz następcę?

- Nikogo nie mam, jesteś moim jedynym synem. Na szczęście w końcu wróciłeś. Bałem się, że tego nie dożyję.

- Nie zostanę, ojczy. Mam ważne sprawy w Hiszpanii, a potem wracam do Ziemi Świętej.

- Nie zostaniesz? - Radość zniknęła z oblicza hrabiego Henryka.

Leonor ścisnęło się serce, gdy ujrzała malującą się w jego oczach boleść.

- Co za łotr - syknął do Leonor Reynaud. - Hrabia nie widział syna, od kiedy ten był pacholęciem...

Leonor położyła dłoń na jego zaciśniętej, spuszczonej wzdłuż boku pięści.

- To ich sprawa. Ojcowie i synowie ranią się często. Nie wtrącaj się - poradziła.

Jednak zastanowiła ją nieczułość, z jaką Bernard potraktował ojca.

Hrabia Henryk chciał poprowadzić syna na miejsc za stołem na podium, ale ten stawiał opór. Stracił rękę ojca ze swojego ramienia.

- Pani - zwrócił się do Leonor - porozmawiajmy na osobności. - Pochwycił ją powyżej łokcia tak silnie, że aż zacisnęła usta, by nie krzyknąć z bólu. - Idziemy - mruknął.

Leonor przestraszyła się, zdołała jednak zapanować nad głosem.

- Dobrze, mój panie, skoro nalegasz - powiedziała.

Rzuciła przelotne spojrzenie Reynaudowi. Mówiło „zaufaj mi”. Uwolniła łokieć z uścisku Bernarda z Rodez i ruszyła ku wyjściu. Rycerz podążył za nią.

Za drzwiami popchnął ją w stronę kręconych kamiennych schodów, wiodących na szczyt zamku. Wzdłuż murów obronnych rozstawione były straże. Leonor postanowiła, że będzie rozmawiała z Bernardem z Rodez wyłącznie w zasięgu wzroku strażników. Po wejściu na najbliższą blankę, zwróciła się twarzą ku niemu.

- Chodź, rycerzu, napijesz się ze mną - odezwał się hrabia Henryk drżącym głosem.

Reynaud otoczył ramieniem plecy hrabiego, poprowadził go powoli ku jego miejscu za stołem na podwyższeniu. Miał nadzieję, że Leonor nie przekaże tajnej wiadomości szpitalnikowi.

Hrabia Henryk siedział bez ruchu. Reynaud czuł się tak, jakby jakaś żelazna obręcz ścisnęła mu serce. Bernard z Rodez nie wiedział, jakie to szczęście mieć ojca, który cieszył się z jego powrotu do domu. Ojca, który go kochał. Nic nie mówił, choć było mu żal starego hrabiego, bo nie zasługiwał on na takie nieczułe potraktowanie.

I do tego ta Leonor! Spoglądał w stronę wyjścia, w którym zniknęła z Bernardem z Rodez. Co ona zamierza? Mroziła go obawa, co może ją spotkać z ręki syna hrabiego.

- Zdrowie rodziny! - przepił do hrabiego Henryka i wychylił całą zawartość kielicha w trzech łykach.

- W pełni go rozumiem, przyjacielu - odezwał się hrabia. - Kto by nie przedkładał rozmowy z piękną, młodą kobietą nad towarzystwo nudnego starca... - Głos mu załamał się. - Wypijmy za coś bardziej trwałego. Wino, oto co się liczy. Boski eliksir... dobry na frasunek - dokończył cicho.

- Niech będzie wino! - Uniósł do ust puchar wypełniony aromatycznym, ciemnoczerwonym płynem. Znad brzegu pucharu spojrzał na hrabiego.

Stary nie zdążył odwrócić głowy. W jego orzechowych oczach Reynaud dostrzegł błyszczące łzy.

- Podczaszy! - zawołał Reynaud chrapliwie. - Przynieś pełny dzban!

## Rozdział dziewiąty

Zgodnie z zamierzeniem, Leonor zatrzymała się w polu widzenia dwóch zbrojnych trzymających straż na murach zamkowych. Tu, na górze, było wietrznie. Drżała, lecz nie tylko z chłodu.

- Chciałeś, panie, ze mną rozmawiać?

- Powiedz, co masz do powiedzenia. Natychmiast! - Złapał ją za przegub dłoni.

- Nie dowiesz się niczego, jeśli straż wtrąci cię do wieży za czynną zniewagę mojej osoby. Jeśli mnie natychmiast nie puścisz, zawołam o pomoc.

Bernard z Rodez, mieląc w ustach przekleństwo, podporządkował się jej woli.

- A teraz wytłumacz mi, o co ci chodzi. Ale krótko, bo mam inne zamierzenia na dzisiejszy wieczór.

- Chcę poznać treść posłannictwa od emira Yusefa z Grenady.

W wieczornym mroku Leonor dobrze widziała jego zimne, niebieskie oczy, tak pozbawione wyrazu, że wyglądały jak wypolerowane kamyki, wypłowiałe brwi i cienkie usta zaciśnięte z hamowanej niecierpliwości.

Czy ten człowiek jest naprawdę adresatem posłannictwa emira Yusefa? Nie Reynaud? Yusef nie wiedział, dla kogo jest przeznaczona ta wiadomość, inaczej przekazałby ją Reynaudowi przed opuszczeniem Grenady.

- Mów! - nalegał Bernard. - Nie zwlekaj!

Leonor czuła, jak szybko bije jej serce. Dlaczego Reynaud przemawiał przeciwko temu człowiekowi, dlaczego ostrzegał ją, by mu nie ufała? Czy to ktoś podstawiony? Może nawet szpieg nasłany przez wrogów emira?

A może to Reynaud jest podstawiony?

Natarczywy, wbity w nią wzrok Bernarda, był trudny do wytrzymania. Nagle oświeciło ją, co powinna zrobić. Zrozumiała, że jest bez znaczenia, który z nich, Bernard z Rodez czy Reynaud jest sojusznikiem, a który wrogiem. Ona sama musi wypełnić posłannictwo.

- Pani, wystawiasz moją cierpliwość na próbę. - Bernard gładził dłonią rękojeść miecza.

Leonor popatrzyła na jego obute w skórzane ciżmy stopy. Wreszcie uniosła wzrok, spoglądając mu prosto w twarz. Wiedziała, jak powinna postąpić.

Kiwnęła głową. Bernard z Rodez nadstawił ucha.

Cichym głosem wypowiedziała kilka słów.

Pulchna dziewczyna kuchenna przemknęła obok Reynauda z tacą z winem, chlebem i serem. Reynaud przylgnął do ściany w osłoniętej zasłoną wnęce wykutej w murze. Za moment dziewczka pokazała się ponownie, tym razem bez tacy, i zbiegła schodami w dół. Zniknęła.

Odetchnął z ulgą. Mieszkańcy zamku spali. Stali mieszkańcy w swoich sypialniach, przyjezdni i członkowie zbrojnej załogi na siennikach rozłożonych na posadzce wielkiej sali. Ze szpary między podłogą a dolną krawędzią ciężkich, dębowych drzwi sypialni Leonor sączyło się światło.

Dobrze. Jeszcze nie spała. Miała mu coś do wytłumaczenia. Zapukał cicho.

Żadnej odpowiedzi. Słyszał łomot własnego serca. Od nadmiaru wina bolała go głowa.

Zapukał ponownie.

Drzwi rozwarły się do środka ze skrzypieniem zawiasów. Stała w nich Leonor z migoczącą świecą w ręku. Płomień rzucał tańczące cienie na ściany niewielkiej izby. Nim Reynaud zdążył się odezwać, Leonor zdmuchnęła świecę. Otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

- Reynaudzie, myślałam, że już nie przyjdiesz - wyszeptała.

- Nawet sam diabeł nie zdołałby mnie powstrzymać. - Wyciągnął w mroku rękę, zacisnął dłoń na przedramieniu Leonor. - Kiedy skończymy rozmowę, możesz pożałować, że przyszedłem.

Westchnęła ciężko, a on mocniej zacisnął dłoń, aż wyczuł pod palcami cienką kość przedramienia. Roznosiła go wściekłość. Godzinę wcześniej był świadkiem pośpiesznego odjazdu Bernarda z Rodez na południe. Po rozmowie z Leonor Bernard wrócił do wielkiej sali, zbliżył się do ojca, by się z nim pożegnać. Osiodłany koń czekał już na dziedzińcu.

Reynaud zrozumiał, że Leonor zdradziła go. Powierzyła tajną wiadomość nie jemu, lecz Bernardowi. Teraz ścisnął jej rękę tak mocno, że na pewno będzie miała siniaki.

- Kto cię przysłał? - warknął. - Odpowiadaj, do kroćset!

- Przysłał mnie Yusef, emir Grenady. - Jej oddech owiewał mu szyję, gdy to mówiła.

Stłumił jęk.

Jego krewna, jego Leonor, stała się wrogiem.

- Woliałaś zaufać oszustowi, a nie mnie? Dlaczego? Jaką wiadomość mu przekazałaś? Mów!

- Nie przekazałam żadnej.

- Kłamiesz. Bernard z Rodez odjechał zaledwie godzinę temu, tłumacząc się „pilną sprawą”. Twój wuj umiera ze zgryzoty, a ja...

Jeszcze silniej ścisnął jej ramię i przyciągnął ją do siebie.

- Mógłbym cię zabić gołymi rękami za to, co zrobiłaś - ostrzegł.

Leonor milczała. Stała bez ruchu. Jej głowa znajdowała się tuż pod jego brodą. Wiotkie, gorące ciało przylegało do jego ciała. Słodko-korzenny zapach jej włosów drażnił mu nozdrza.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Niczego nie zrobiłam, Reynaudzie.

- Znowu kłamiesz.

- Nie kłamię.

- Więc dokąd odjechał Bernard z Rodez? - Zaśmiał się szyderczo.

- Tam, dokąd go posłałam - odpowiedziała zimno. - A teraz, proszę, puść mnie.

Odsunęła się. Usłyszał odgłos odsuwanej zasłony okiennej i w jednej chwili przez wąskie okno wdarło się do pokoju światło księżyca, zalewając jego wnętrze srebrzysto-niebieską poświatą.

Leonor sięgnęła po kielich z winem stojący na stole. Upiła jeden łyk i podała naczynie Reynaudowi.

- Nie będę pił. Dosyć już wypilem dzisiaj z twojego powodu.



- Napij się, Reynaudzie - poprosiła z naciskiem. - Będziesz potrzebował się napić, gdy ci powiem, co zrobiłam.

- No więc mów wreszcie, co takiego zrobiłaś?

- Powiedziałam Bernardowi, dokąd ma pojechać.

Nie wierzył uszom.

- Powtórz. Co mu powiedziałaś?

Leonor zawijała resztki chleba i sera na stole w pergamin.

- Powiedziałam mu, żeby pojechał do Saragossy. Tam ma się spotkać z niejakim Ramirem, w domu Miguela Alvara.

Reynaud nie wierzył własnym uszom.

- Wysłałaś go do sekretnej kryjówki templariuszy? - Zaczął gniewnie przemierzać wzdłuż i wszerz niewielki pokój. - To nie jest dziecięca gra. Los Grenady jest w niej stawką. Bóg powierzył mi misję zapobieżenia krwawej łaźni, która ją czeka.

- Wiem o tym - zapewniła ze spokojem.

Podeszła do drewnianego kufra w kącie, uniosła jego wieko i oparła je o kamienną ścianę.

- Zamierzam ci pomóc. Dlatego wysłałam Bernarda na południe. My zaś pojedziemy na północ.

- Na północ? Jacy „my”?

- Tak, na północ - powtórzyła. - A potem na wschód, do Carcassonne. Chyba że nie jesteś tym, kogo miałam spotkać, by przekazać mu tajną wiadomość.

Pochyliła się nad kufrem, wyciągnęła ze środka białą tkaninę, którą rzuciła na łóżko.

- „My” to znaczy ty i ja, Reynaudzie - powiedziała i ponownie pochyliła się nad kufrem.

- Co to ma znaczyć? - spytał podniesionym głosem.

- Jadę z tobą, Reynaudzie. Do Carcassonne.

- Wykluczone!

Wyciągnęła z kufra kolejną rzecz, czarny płaszcz, który przefrunął obok niego i przykrył łóżko jak całun. Znowu zagłębiła się we wnętrzu kufra. Jej głos był przytłumiony.

- Jak szybko będziesz gotów do wyjazdu?

- Ruszam zaraz, nim upłynie godzina.

- Ja też. Mój giermek, Galeran, czeka na dziedzińcu z osiodłaną klaczą. Pożegnałam się z ciotką Alais. Z Benjaminem też, przed wieczerzą. Biedak, nie był zadowolony, ale...

- Zbałamuciłaś go - dokończył za nią. - Wyobrażam sobie, jakie bajdy mu naopowiadałaś.

- Żadne bajdy, tylko prawdę, że jadę z tobą, bo chcę spróbować swoich sił jako trubadur. Ty, oczywiście - spoglądała na niego z mieszaniną zaciekawienia i, szacunku? - masz inny cel podróży.

- Zgadza się i nie zabiorę cię, pani, ze sobą. To niebezpieczna podróż.

Nie wyobrażał sobie, jak mógłby być blisko niej dniami i nocami, patrzeć na nią, martwić się o jej bezpieczeństwo. Umierać z chęci dotknięcia jej. Na myśl o tym zaschło mu w gardle.

- Musisz mnie zabrać - nalegała. - Obiecałeś mojemu ojcu, że będziesz mnie ochraniał. Nie możesz zostawić mnie w Moyanne. Bernard z Rodez wróci tu, żeby się zemścić za to, że go wysłałam donikąd.

Zabrała się do zwijania w tobolek ubrań wyrzuconych na łóżko.

Reynaud wiedział, że miała rację. Nie mógł jej zostawić bez ochrony.

Patrzył, jak obwiązuje tobolek skórzanym rzemieniem. Dopiero teraz zauważył, jak była ubrana. Nie w jedwabną szatę, ale w sięgającą poniżej kolan przyniszczoną lnianą tunikę, rozciętą po bokach dla ułatwienia konnej jazdy. Pod tuniką miała szarawary okrywające nogi.

Była gotowa. Pod jedną pachą trzymała tobolek z ubraniem, pod drugą zawiniątko z jedzeniem.

- Napij się wina, Reynaudzie. Jesteś blady jak duch.

- Nie dziwota. - Przebiegł go zimny dreszcz. - Carcassonne to siedlisko chrześcijańskich herezji, miejsce, do którego ciągnie zbieranina okrutnych, gotowych na wszystko rycerzy z całego chrześcijańskiego świata. Nie ma tam czego szukać nieświadoma życia młoda dziewczyna.

Teraz wiedział także, że gdzieś w tej okolicy znajdowała się tajna kwatera główna zakonu templariuszy. Miał tam do spełnienia ważną i niebezpieczną misję, z której ona nie zdawała sobie sprawy.

- Chodźmy - szepnęła - nie mamy czasu do stracenia. Bernard z Rodez wkrótce się zorientuje, że go wystrychnęłam na dudka.

- Powiedz jeszcze, kim jest ten Ramiro w Saragossie?

- Ramiro?

Srebrzysta księżycowa poświata oświetlała jej twarz, uwidoczniając szeroko rozstawione kości policzkowe, pełne wygięte ku dołowi usta, i nadając perłowy odcień skórze szyi widocznej w rozcięciu tuniki. Miała minę jak gracz w szachy, który właśnie dał mata przeciwnikowi.

- Nie mam pojęcia. W Saragossie musi być chyba setka ludzi o takim nazwisku. Chciałam, żeby Bernard strawił trochę czasu na poszukiwaniach „właściwego”.

Diablica. A on ulega jej czarowi. Ulega, to za mało. Tonie. Wygląda jak niewinne stworzenie, nieświadome zagrożeń, ku którym zmierza.

Ani też zagrożenia, jakie sama stanowi dla jego nieśmiertelnej duszy.

Myśl o Leonor towarzyszącej mu we dnie i w nocy przyprawiała go o zawrót głowy. Przebywanie z nią będzie źródłem radości i rozpacz. Ale niechże tak będzie! Nie ma wyboru. Musi ją wziąć ze sobą.

Nigdy nie ukoi tęsknoty rozdzierającej jego duszę. Ale do ostatniego tchnienia będzie walczył z grzeszną żądzą, którą Leonor w nim obudziła.

Galeranowi niełatwo było utrzymać w miejscu siwego ogiera, którego kazał mu popilnować templariusz. Z klaczą szło mu o wiele lepiej.

- Stóóój - mówił do wielkiej bestii, której gwałtowność przerażała go.

Nigdy jeszcze nie widział takiego pięknego rumaka. Jego grzbiet okrywał biały jedwabny czaprak z naszytym po obu bokach czerwonym krzyżem. Niezłe okrycie jak dla konia.

Galeran zwinął jedwabny czaprak, zrulował go i przytroczył do siodła, tak jak nakazała pani Leonor. Nigdy nie zrozumie, o co chodzi kobietom. Nigdzie, również w Carcassonne i na zamku jego ojca, rycerze nie dosiadali swoich rumaków bez ozdobnego czapraka. Takie okrycie znamionowało status rycerza, mówiło także o jego lennej podległości.

Gdyby on, Galeran, był templariuszem, członkiem najbardziej szanowanego zakonu rycerskiego, nie ukrywałby tej przynależności przed światem.

Poprowadził ogiera i klacz pani Leonor do ciemnego kąta zewnętrznego dziedzińca i czekał.

Gdyby był templariuszem, wszyscy giermkowie w Moyanne zazdrościliby mu. A damy! Damy umierałyby z podziwu...

Co za głupoty przychodzą mu do głowy! Templariusz i damy! Przecież oni ciałem i duszą należą do Boga. Ślubują czystość.

W zagajniku za zwodzonym mostem rozległo się pohukiwanie sowy. Ogier potrząsnął potężną głową i gwałtownie cofnął się o krok. Galeran stracił równowagę. Zaklął.

Z ciemności dobiegł melodyjny głos.

- Cóż to, Galeranie, nie jesteś zadowolony z powierzonego ci zadania?

W wąskim otworze bramy ukazała się pani Leonor.

- Zawinałem pani harfę w dywanik, kopyta końskie owinałem szmatami, tak jak pani kazała.

- Dziękuję, Galeranie. Nikt nie powinien słyszeć, jak odjeżdżamy. Nikt nie powinien również wiedzieć, w którym odjeżdżamy kierunku.

- Przysięgam, pani, nikt tego się nie dowie z moich ust.

- Pomóż mi wsiąść, muszę być gotowa, gdy przyjdzie pan Reynaud. I jeszcze jedno, Galeranie, będę twoją dłużniczką, jeśli nie wspomnisz panu Reynaudowi, że czekasz tu z końmi od wieczery.

Galeran rozpromienił się. Myśl, że taka piękna pani będzie jego dłużniczką, przyprowadziła go o zawrót głowy. Gotów był zrobić dla niej wszystko. Naprawdę wszystko.

W bramie pojawił się templariusz. Gwizdnął i jego rumak stanął przy nim. Rycerz przytroczył z tyłu siodła worek, który przyniósł pod pachą, wsunął stopę w strzemię i wskoczył na siodło. Odwrócił konia przodem do Galerana, pochylił się i wcisnął chłopcu w dłoń monetę.

- To dla ciebie, chłopcze, zapłata za usługę. A to - druga moneta zadziwiała o pierwszą - za milczenie.

- Rozumiem, panie. - Giermek pokiwał głową.

Serce niemal pękało mu z dumy. Wykonał, co do niego należało, i został sownie wynagrodzony.

Templariusz skierował wierzchowca w stronę zwodzonego mostu, którego jeszcze nie zdążono podnieść na noc. Rzucił kolejną monetę w sękatą dłoń starego człowieka, który obsługiwał zębate koło, służące do opuszczania i podnoszenia mostu.

Pani Leonor na swojej klaczy ruszyła za templariuszem. Nim odjechała, wyciągnęła dłoń do Galerana.

- Świetnie się spisałeś, Galeranie. Żegnaj.

Giermek przyłożył dłoń, którą dotknęła, do nozdrzy. Wdychał nieuchwytny słodki zapach jej perfum. Rzeczywiście, tej nocy dostał nagrodę, jakiej nigdy by się nie spodziewał.

Może, w ostatecznym rezultacie, wcale nie warto być templariuszem?

## Rozdział dziesiąty

Dwa konie poruszały się między tonącymi w cieniu drzewami jak widma, mlecznobiałe w świetle księżyca. Wśród gałęzi szarej wierzby odezwała się sowa. Leonor zjeżył się włos na głowie. Sceneria była dość niesamowita.

Jadący przed nią Reynaud zatrzymał konia. W milczeniu gestem wskazał na wschód, w kierunku przeciwnym od wioski Moyanne. Leonor skinęła głową i razem ruszyli w tę stronę.

Nagle opanował ją strach. Co robi? Jedzie z Reynaudem Bóg wie dokąd. Na początku wszystko wydawało się proste. Pojedzie i zawiezie nieznanemu wysłannikowi wiadomość od emira Yusefa. Miała wpleść określone słowa w tekst swojej pieśni i czekać, aż skontaktuje się z nią ktoś, do kogo są one adresowane. Temu, kto zgłosi się z prawidłowym odzewem na hasło, miała przekazać wiadomość od emira. Nie spodziewała się, że tym kimś okaże się jej kuzyn Reynaud.

Potem wypadki potoczyły się tak, że nie miała wyboru. Instykt podpowiadał jej, by nie wierzyć Bernardowi z Rodez, chociaż był on synem jej wuja, hrabiego Henryka. Postanowiła zaufać Reynaudowi.

Teraz, kiedy złożyła swój los w ręce templariusza, zaczęły ją trapić wątpliwości, czy postąpiła słusznie. Ten wyjazd do Carcassonne to nie żadna zwykła wycieczka. Sprawa była naprawdę poważna i ona jest w to zaangażowana po uszy. Reynaud miał niewątpliwie do spełnienia ważną misję. Miał też wrogów, którzy zechcą mu przeszkodzić.

Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że może jej grozić rzeczywiste niebezpieczeństwo. Na szczęście była z Reynaudem. Pozostaje jej jedynie trzymać się busko tej ciemnej postaci jadącej przed nią, a on już powinien zadbać o to, by nic złego się jej nie przydarzyło.

Z tyłu trzasnęła gałąź. Reynaud czujnie obejrzał się za siebie. W słabej poświacie księżyca jego twarz bieleła jak skorupka jajka. Poczekał, żeby Leonor do niego podjechała, i dał jej znak, by zatrzymała klacz i nie odzywała się. Nasłuchiwał uważnie, kręcąc

głową na wszystkie strony, po czym nakazał na migi, by zjechała za nim ze szlaku między drzewa.

Leonor nie słyszała niczego oprócz własnego oddechu, a im bardziej starała się oddychać ciszej, tym głośniejszy jej się wydawał.

Z drzewa, pod którym się schronili, zerwała się spłoszona sowa. Coś musiało ptaka przestraszyć. Leonor zrozumiała co, gdy do jej uszu doszedł cichy tętent konia na gościńcu. Czy to możliwe, by Bernard z Rodez odkrył podstęp tak szybko?

Reynaud uniósł w górę palec wskazujący. Jeden jeździec. Wycofał konia jeszcze głębiej między drzewa.

Leonor trzymała wodze swojego z taką siłą, że zdrętwiały jej palce.

Tętent przybliżał się. Leonor wstrzymała oddech. Uderzenia kopyt końskich były teraz bardzo głośne, szybko jednak zaczęły cichnąć. Wzdrygnęła się. Ktokolwiek mknął gościńcem, przejechał obok ich kryjówek, nie zauważając ich.

Odczekali jeszcze trochę, dopóki spłoszony nocny ptak nie uspokoił się i nie zaczął znowu pohukiwać, po czym ostrożnie wyprowadzili konie spomiędzy drzew na gościńiec. W milczeniu ruszyli przed siebie.

Minęła godzina. Drogę Leonor przebiegł szczur. Nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia.

- Co się dzieje? - rzucił przez ramię Reynaud.

Leonor nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chodziło tylko o to niewielkie zwierzę. Nagle uświadomiła sobie rzecz oczywistą. Świat poza Grenadą był o wiele groźniejszy, niż sobie wyobrażała.

- Zastanawiam się, co rozpętałam, kierując na niewłaściwą drogę tego gbura Bernarda z Rodez.

- Dlaczego teraz o tym myślisz?

- Ten człowiek ma nieczyste zamiary. Żebyś wiedział, jak mu zależało na tej informacji! Starał się ją dostać prośbą i groźbą. Myślałam, że będę musiała krzyczeć o pomoc.

- Co jeszcze mu powiedziałaś?

Choć czuła się nieswojo, uśmiechnęła się do siebie.

- Reynaudzie, kim naprawdę jest Bernard z Rodez? I czego on chce? - zignorowała jego pytanie.

Odwrócił głowę.

- On jest rycerzem zakonu szpitalników imienia świętego Jana Jerozolimskiego. Jemu, tak jak i wielu innym joannitom, nie podoba się pomysł sojuszu Grenady z templariuszami. A poza tym on pragnie złota templariuszy, które wiozę.

Klacz stąpała cicho pod wyściełanej opadłymi liśćmi drodze. Leonor nie spuszczała wzroku z jadącego kilka kroków przed nią rycerza.

- Jaką ty odgrywasz rolę, Reynaudzie? Dlaczego wiesz w swoich jukach złoto templariuszy?

Nie odpowiedział.

- Dlaczego milczysz?

- Nie chcę, żebyś wiedziała.

- Dlaczego?

- Wierz mi, Leonor, będziesz bezpieczniejsza, nie wiedząc.

Poczuła się urażona. Było jasne, że nie powiedział jej wszystkiego. Miał jakąś tajemnicę, ale mimo to ufała mu.

- Czy lojalność wobec Grenady stoi w sprzeczności z lojalnością wobec zakonu templariuszy? Taki jest twój dylemat?

Znowu nie odpowiedział.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Jego twarz była biała i napięta, usta zaciśnięte. Spojrzenie, jakie jej posłał, stopiłoby płatki śniegu. Ból we wzroku, którym ją przygwoździł, powstrzymał Leonor od zadawania dalszych pytań.

Dobry Boże! Coś, co wyglądało na drobną przysługę oddaną emirowi Yusefowi, a dla niej stanowiło niewinną przygodę, okazało się skomplikowane i przerażające. Reynaud miał rację. Świat poza Grenadą był niebezpieczny.

Leonor nigdy jednak nie byłaby skłonna przyznać się Reynaudowi, że się boi. Okazałby niezadowolenie, potraktowałby ją w taki sposób, że poczułaby się jak dziecko, małe i nic nieznaczące.



Gdy była mała, podziwiała Reynauda. Teraz, kiedy był mężczyzną, nie była pewna, co do niego czuje. Jako mężczyzna wydawał się jej pełen rezerwy i odpychający. Nie było w nim w ogóle radości.

Jechali dopóty, dopóki niebo nie zaczęło szarzeć na wschodzie. Zanim wzeszło słońce, zjechali z gościńca i poszukali schronienia w gęstym cyprysowym zagajniku, po-przerastanym kwitnącymi o tej porze roku krzewami tamaryszka.

Reynaud zeskoczył z konia. Rozścielił na ziemi dywanik, który wiózł przytroczony do siodła. Leonor rozpostarła drugi na nisko zwisających gałęziach, żeby osłaniał ich od słońca, gdy już wzejdzie.

Reynaud zastanawiał się, czy powinien położyć się obok niej, żeby odpocząć. Może uda mu się zdrzemnąć i nie dotknąć jej.

Dobrze, że zabrał na drogę bukłak z winem. Pokładał nadzieję w otepiałej mocy trunku, ufał, że znieczuli jego ciało na pokusy.

Maskował uczucia, starając się być szorstki, ale to działało tylko do pewnego momentu. Zranione spojrzenie Leonor za każdym razem, gdy traktował ją ostrymi słowami, jemu samemu sprawiało niewypowiedziany ból. Tym sposobem udawało się wszakże trzymać pod kontrolą tłące się pod powierzchnią pożądanie.

Czy wystarczy mu siły woli? Cokolwiek robił, zawsze miał na uwadze Leonor. Może i jest nierozsądna. Uparta i nieświadoma niebezpieczeństw, o których nie miała najmniejszego pojęcia. Przeszkadzała mu jej naiwność i wbrew sobie mocno jej pożądał. Mimo to będzie jej bronił do ostatniego tchu.

Starał się nie patrzeć w jej stronę, skupił zainteresowanie na swoim rumaku, uwiązanym obok klaczy Leonor do grubego pnia cyprysa. Nie na wiele się to zdawało. Jego myśli krążyły wokół dziewczyny. Jak się jej oprze, kiedy się obok niej położy? Jak znie-sie zapach jej włosów? Ciepło emanujące z jej ciała?

Leonor rozłożyła na dywaniku zawiniątko z chlebem i serem. Zaprosiła go gestem, by się poczęstował. Bez słowa ukląkł naprzeciw niej, wziął z jej ręki jedzenie, które mu podała. Starał się tylko nie dotknąć jej palców.

Jedli w milczeniu. Reynaud wypił więcej wina niż powinien. Zdjął kolczugę, wyciągnął się na dywaniku odwrócony plecami do Leonor. Słyszał, jak zawijała z powrotem jedzenie i umieściła je w swoich jukach. Zamknął oczy, udawał, że śpi.

- Reynaudzie? - usłyszał jej szept.

Nie chciał odpowiadać. Westchnęła i zaczęła się układać po swojej stronie dywanika, nie dotykając go, ale na tyle blisko, że jej ciepło paliło mu skórę.

- Reynaudzie, śpisz?

Starał się oddychać równo. Każdy nerw jego spiętego ciała pulsował pożądaniem, jej bliskość była torturą.

Leżał i nie spał. Słyszał, jak jej oddech wyrównuje się i ogarnia ją sen.

Leonor obudziła się tylko raz. Reynaud siedział kilka kroków dalej, pod opadającymi ku ziemi gałęziami wierzby, ze wzrokiem utkwionym w coś za jej plecami.

- Reynaudzie?

Spojrzał na nią, na usta wypłynął mu wymuszony uśmiech.

- Śpij, Leonor. Wszystko w porządku.

Głos brzmiał nisko i chropawo, ale słowa działały uspokajająco i dodawały otuchy.

Miał ostry język i nie wierzył nikomu, ale wobec niej był opiekuńczy i była mu za to wdzięczna. Podziwiała go, wiedziała bowiem, że jest dla niego niepożądanym ciężarem.

Obudziła się znowu kilka godzin później. Wciąż siedział pod wierzbą z podciągniętymi pod brodę kolanami, głową opartą na złożonych ramionach.

- Reynaudzie - szepnęła.

Uniósł głowę. Jego oczy otaczały czerwone obwódki.

- Nie musisz spać na siedząco. Połóż się obok mnie na dywaniku.

- Zawsze spałem sam, także gdy byłem chłopcem - odpowiedział.

Tak, pamiętała. I jeszcze coś oprócz tego. Z każdą stają pokonywanej drogi Reynaud stawał się coraz bardziej opryskliwy i niemiły. Coś było nie w porządku.

- Nie jesteś zadowolony z mojego towarzystwa, prawda?

Pokiwał głową ze znużeniem.

- Ani mniej, ani bardziej niż przedtem.

Zacisnęła usta.

- A może po prostu mnie nie lubisz? Nie akceptujesz kobiety, która gra na harfie i śpiewa dla słuchaczy. Której zachowanie nie odpowiada twoim wyobrażeniom o roli kobiety?

Spojrzał na nią przeciągle, ale nic nie powiedział.

No właśnie. Nie lubił jej.

Konstatacja ta zaboląa Leonor, mimo wszystko.

TLR

# Rozdział jedenasty

Wyruszyli jeszcze przed południem. Słońce stało już dość wysoko na szafirowym, letnim niebie i piekło niemiłosiernie. Każdy krok klaczy po pokrytej głębokimi koleinami drodze wywoływał wstrząs, którego skutkiem był nieznośny ból pod czaszką. Leonor cierpiała z zaciśniętymi zębami. Kurz drażnił oczy, wdzierał się do nosa i gardła, choć zasłaniała usta rąbkami białej tkaniny, którą owinęła sobie wokół głowy. Starła się nie kaszleć.

Panowało gorąco, była zgrzana, lniana tunika kleiła się do spoconego grzbietu. Nad głową brzęczały dokuczliwe małe muszki, które obsiadały potargane włosy. Trzy godziny wcześniej dokładnie je wyszczotkowała i zwinęła pod białym turbanem, którym okryła głowę. Och, żeby tak móc się wykąpać! Albo przynajmniej zmoczyć twarz zimną wodą.

Czy Reynaud nie mógłby zwolnić? Czy chociaż odpoczywać od czasu do czasu?

- Możemy stanąć? - zawołała.

- Nie - odpowiedział krótko.

Miała ochotę go przekląć.

- Reynaudzie, jestem potwornie zmęczona, zgrzana, zakurzona i...

Zawrócił konia.

- Nie możesz zamilknąć?

- Chce mi się pić.

- Mnie też - brzmiała odpowiedź.

W oczach Leonor stanęły łzy.

- Ile razy o coś proszę, warczysz na mnie jak wściekły pies. Staram się, jak mogę, żeby cię nie urazić.

- I rób tak dalej - rzucił przez ramię, popędziwszy konia do przodu.

- Co z ciebie za towarzysz podróży? Jesteś wprost niemożliwy.

- Wiem o tym! - odkrzyknął.

- Zmieniłeś się, Reynaudzie. Nie jesteś tą samą osobą, którą podziwiałam w dzieciństwie. Wtedy byłeś wesoły, opowiadałeś mi bajki o rycerzach w dalekich krajach.

Byłeś gotowy nawet rzucić swoje lekcje, żeby się ze mną pobawić lub pograć w szachy. Byłeś wtedy - powiedziała to z rozmysłem - moim prawdziwym przyjacielem.

- To się nie zmieniło, Leonor.

Miała inne odczucie. Wyrwały się jej słowa, których nie wypowiedziałaby, gdyby się zastanowiła.

- Opuściłeś Grenadę. Wyjechałeś do Francji. Miałeś jakieś swoje męskie powody, żeby to zrobić, i nie zastanawiałeś się, co ja poczuję. Porzuciłeś mnie!

Reynaud wypuścił konia do przodu, potem nagle go zatrzymał, zawrócił i stanął na jej drodze.

- Leonor, musiałem wyjechać. Szukałem swojego miejsca w życiu.

- Płakałam po twoim wyjeździe przez cały tydzień. Nienawidziłam ciebie!

Skrzywił się.

- Byłaś dzieckiem, tak jak i ja zresztą. Teraz jesteś kobietą.

Nie mogła zaakceptować takiego argumentu.

- A co to za różnica? Jadę za tobą posłusznie w kurzu i w spiekocie, a ciebie stać tylko na to, żeby mi przypominać, że jestem kobietą. Wiem to i bez ciebie.

- Sama chciałaś ze mną jechać. Teraz widzisz, jak wygląda rzeczywistość poza Grenadą, gdzie w ocienionej altanie służba podawała ci mrożone sorbety.

- Ty też lubiłeś mrożone sorbety! Och, Reynaudzie, rozumiałam cię, kiedy byłeś chłopcem.

Wyprowadziła go z równowagi. Patrzyła na niego, jakby go nigdy przedtem nie widziała. Był przystojny. Nawet bardzo. Miał ładnie rzeźbiony, cienki nos, pięknie wykrojone usta i wyraziste zielone oczy...

Nagle zabiło jej serce.

- Byłeś taki młody - powiedziała łagodnym tonem. - Zadzierałam głowę, żeby na ciebie popatrzeć, podziwiałam cię. Teraz jesteś mężczyzną i... w ogóle cię nie rozumiem.

- Zagryzła wargi tak silnie, że aż pojawiła się na nich kropelka krwi. - Nie znam tego obcego człowieka, który jedzie obok mnie.

Dziwny wyraz przemknął po twarzy Reynauda. Przez chwilę Leonor zdawało się, że w jego oczach dostrzegła poczucie winy.

- Nikt mnie nie zna, Leonor. Nawet ja sam siebie nie znam.

- Jesteś templariuszem. Wojownikiem do wynajęcia.

- Tym akurat nie jestem. - Zacisnął usta. - Są ważniejsze sprawy niż wojna. Nie masz pojęcia, kim lub czym jestem.

Ściągnął wodze. Jego wielki rumak zatoczył koło i ruszył z kopyta do przodu.

Jechali jeszcze godzinę. Reynaud zwolnił, czekał, aż Leonor zrówna się z nim. Stanęli.

- Chcesz pić?

Skinęła głową. Wręczył jej uszyty z kozłęczą skóry bukłak, który wiozł przytroczony do łąku siodła.

- Pij.

Leonor odkorkowała, odsunęła na bok białą tkaninę osłaniającą twarz, przechyliła głowę do tyłu. Woda pociekła jej kącikami ust. Reynaud odebrał jej bukłak.

- Wystarczy. Nie pij więcej, bo będziesz chora.

- Chcę więcej! - Wyrwała mu kozłęczą skórę. Uchwycił jej przegub.

- Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości.

Potrząsnął jej ręką. Puściła bukłak.

- Zatrzymamy się o zmierzchu. Wtedy napijesz się do woli.

Łakomym wzrokiem obserwowała, jak Reynaud korkuje bukłak i umieszcza go na dawnym miejscu przy siodle.

- Chciałabym napić się więcej teraz.

- Wiem o tym - rzekł spokojnym tonem - ale ty nie masz pojęcia, co jest dla ciebie dobre. Do wieczora.

Wprawił swojego konia w ruch.

- Jedź, Leonor, tak długo, aż ci powiem, że możesz się zatrzymać - dodał.

- Rozkazuje mi jak ten stary Benjamin. - Zacisnęła spierzchnięte wargi.

- Benjamin chciał twojego dobra.

- A ty?

- Ja też. Ruszaj.

Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy posłuchała. Jej zazwyczaj chłodne, szare oczy ciskały gromy. Prawie natychmiast jednak jej opór osłabł.

- Jesteś zmęczona - powiedział. - Jutro będzie jeszcze gorzej. Zjedziemy z tego szlaku, którym wędrują pielgrzymi, i udamy się na przełaj przez pola i lasy. Musimy ominąć Tuluzę.

- Tuluzę! Dlaczego? Zawsze chciałam zobaczyć Tuluzę. Mogłabym wypróbować swojej gry na harfie na tamtejszym dworze. Dwór Eleonory Akwitańskiej słynie...

- Jestem znany w Tuluzie. I niemile widziany. Tamtejszy hrabia jest, a raczej był, szpitalnikiem.

Nietrudno było zauważyć rozczarowanie na twarzy Leonor.

- Przykro mi. Przypuszczam, że nikt by mnie teraz nie rozpoznał, ale wolałbym nie ryzykować - wytłumaczył Reynaud.

- Dlaczego boisz się rozpoznania?

Westchnął ciężko. Taka była od dziecka. Ciągle o coś pytała. Teraz było to nawet jeszcze bardziej irytujące niż dawniej.

- Bo to ja zabiłem tamtejszego hrabiego - rzekł cicho.

- Ale dlaczego? - spytała z rozszerzonymi oczami.

- To był wypadek. Na turnieju w Ascalon, tuż po tym jak zostałem pasowany na rycerza. Jego kopia pękła, a moja nie. To... - poklepał muskularną szyję wierzchowca - ...był kiedyś jego koń. Miecz, który noszę i hełm... także należały do niego.

Patrzyła na Reynauda pociemniałymi oczami, przypominającymi w tej chwili kolorem stal. Opuściła gęste rzęsy, żeby ukryć wrażenie, jakie wywarły na niej jego słowa.

Szarpnęła wodze klaczy, wysforowała się do przodu, przed Reynauda. Pozwolił jej jechać na przedzie.

Podążali w milczeniu do późnego popołudnia pośród pożółkłych pól i winnic, obfitujących w dojrzewające, fioletowe grona. Z lekka podfermentowany zapach owoców mieszał się z ostrą wonią suchej trawy miażdżonej kopytami koni. Ciężkie, stojące powietrze napawało Reynauda troską.

Nie spuszczał oczu ze sztywnego grzbietu jadącej przed nim Leonor. Wiedział, że była bliska wyczerpania. Jednak nie słaniała się w siodle. Od poprzedniego postoju nie poprosiła o wodę. Mimo woli podziwiał ją.

Oby tylko okazała się równie wytrzymała, gdy zbliżą się do miejsca przeznaczenia. On bowiem nie miał najmniejszego rozeznania, co czeka ich w Carcassonne.

O zmierzchu Reynaud zawołał do Leonor, żeby się zatrzymała. Zamknęła oczy z ulgą. Nie mogła się już doczekać postoju! Nogi zeszywniały, bolało siedzenie. I ten duszący kurz! Czowała, że nie zdoła zrobić ani jednego kroku dalej.

Przełożyła nogę przez łęk, ześlizgnęła się na ziemię. Odczepiła z siodła zrolowany płaszcz i wełniany koc.

Mogły się przydać, gdyby się rozpadało. W każdym razie nie będzie potrzeby rozpalania ogniska. Noce w Langwedocji były równie gorące i parne jak w Grenadzie.

Poszła nad rzekę, która toczyła wody kilka jardów od ich biwaku. Poprzez zwisające gałęzie buczyny widziała, jak Reynaud rozwija podróżną matę i rozpakowuje jedzenie. Gdy skończył, on też poszedł nad rzekę.

Leonor przesunęła się kilkanaście kroków w górę nurtu rzeki. Była zmęczona i spocona, zamierzała się wykapać. Przed wejściem do wody spojrzała w lewo.

Brzeg był w tym miejscu porośnięty gęstymi zaroślami tamaryszka, ale poprzez kurtynę z jego pierzastych kwiatów wciąż mogła widzieć Reynauda. Unosił ramiona nad głowę, przeciągał się, robił skręty szyi, barku, po chwili sięgnął do pasa, by odpiąć miecz. Złożył go ostrożnie na ziemi. Zdjął kolczugę i watowany kaftan, który miał pod nią, i rzucił je tam, gdzie stał. Jego gładka, naga skóra błyszczała od potu.

- Ach! - wyrwał się okrzyk z ust Leonor.

Zasłoniła dłonią wargi. Jaki był piękny! Jak pięknie rzeźbiony był jego tors. Czarny zarost na piersi przecinała wygięta, biała blizna, ciemne kędzierzawe włosy pokrywały brzuch.

Zrobiło się jej i gorąco, i zimno jednocześnie. Wiedziała, co teraz nastąpi. Sięgnął do paska przytrzymującego spodnie.

Leonor utkwiała wzrok w swoich skórzanych butach. Nie wolno ci na niego patrzeć, nakazała sobie, ale nie mogła się zmusić, by spoglądać gdzie indziej. Reynaud przesuwał



się nieco w dół rzeki, gdzie woda tworzyła szerokie rozlewisko, po drodze rozpinając spodnie.

Pochylił się, by je zrzucić. Leonor wciągnęła powietrze, zamierzała bowiem krzyknąć, by go ostrzec o swojej obecności.

Nie, chyba nie powinna tego robić. I tak cały czas był na nią zły. Wycofa się po cichu, pójdzie jeszcze dalej w górę rzeki i zwilży rozpaloną twarz w kojącej, chłodnej wodzie.

Nie ruszyła się. Reynaud pozbył się ostatniej części ubioru i, zwrócony do niej tyłem, wszedł do wody. Leonor stała jak zaczarowana. On tymczasem wygiął ciało w łuk i zanurzył się w niebieskozielonym rozlewisku, gdzie prąd rzeki tworzył wielki wir. Leonor słyszała, jak rozcinał ramionami powierzchnię wody, pływając tam i z powrotem w tym naturalnym basenie.

Leonor wypuściła długi, nierówny oddech. W jej wnętrzu działo się coś niezwykłego, coś w niej trzepotało i ona wiedziała, że to za sprawą tego wysokiego, czarnowłosego mężczyzny, który wygiął ciało w wodzie.

Wbrew wszystkiemu - rozczarowaniu, że się tak wobec niej zmienił, niezadowoleniu, że narzucił takie męczące tempo podróży w tym niemiłosiernym skwarze, poczuciu krzywdy, że okazuje jej swoje niezadowolenie i ostro ją traktuje - wbrew temu wszystkiemu, szanowała go i ufała mu. Lubiła go nawet.

W gruncie rzeczy, lubiła go bardziej niż jakiegokolwiek znanego sobie mężczyznę.

Podpłynął do brzegu i stanął na dnie. Woda spływała mu po twarzy, piersiach i tym kędzierzawym ciemnym zaroście. Uniósł ramiona, otarł się ze spływającej wody.

- Jesteś piękny.

Wypowiedziała to na głos, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Stał bez ruchu, tyłem do niej.

- Leonor, kuzynko. Nie mów mi takich rzeczy.

- Dlaczego nie? Jesteś, jak mówisz, moim kuzynem. Co więcej, jesteś rycerzem zakonnym. Przysięgałeś Chrystusowi. Prawdopodobnie nie interesujesz się kobietami.

Reynaud jęknął, czując, jak jego ciało się budzi. Odwrócił się do niej.

- Jestem twoim kuzynem i rycerzem zakonnym, to prawda. Ale jestem także mężczyzną.

Słodki, gęsty likwor, jak ciężkie, o pełnym bukiecie wino, płynął teraz w żyłach Leonor. Powietrze między nimi zgęstniało od tego, co sobie oboje uświadamiali.

Z łąki dobiegł cichy dźwięk cykady. Leonor miała wrażenie, że to ziemia zajęczała pod jej stopami. Usłyszała w uszach przyspieszony łomot własnego serca.

W oczach stanął jej obraz koła wodnego, które zanurza czerpaki w strumieniu i rozlewa życiodajną wodę na spieczoną ziemię po to, by mogło w niej zakiełkować nowe życie.

Zapra gnęła dotknąć Reynauda.

Jego pociemniałe oczy przypominały niezgłębione szmaragdowe jeziora. Pożądał jej, to było oczywiste.

Postąpił w jej stronę.

## Rozdział dwunasty

Leonor odwróciła się. Drżała. Reynaud stanął tuż za jej plecami.

- Spójrz na mnie - rozkazał. - Odwróć się i na mnie spójrz.

Posłuchała. Wyszło jej w ustach. Nigdy nie widziała nagiego mężczyzny.

- Jestem rycerzem zakonnym, służę Bogu - powiedział cicho. - Co nie znaczy, że nie jestem mężczyzną. Moje ciało zachowuje się jak ciało mężczyzny, chociaż duch nakazuje mu co innego.

Poprzez łomot własnego serca, niemal rozsadzającego bębni w uszach, Leonor usłyszała daleki pomruk burzy. Gdzieś w oddali padało. Strumienie deszczu chłodziły rozpaloną skorupę ziemi. Bezwiednie zwilżyła językiem wargi.

Ale tutaj nie padało. Tutaj jej piersi pęczniały z gorąca, jej ciało cierpiało z pragnienia. Pragnęła Reynauda w sposób jak najbardziej cielesny, jak najbardziej grzeszny!

Na jej serce spadła sieć i omotała je. Przez te wszystkie lata szukała mężczyzny niepodobnego do innych, śniła o duchowym i cielesnym zjednoczeniu z takim mężczyzną.

A teraz, o nieba, przerażało ją, że go znalazła! To o tym mężczyźnie śniła. Zakonnika, który z własnego wyboru należał do Boga. Przysiągł mu.

I ślubował czystość.

Chciało się jej płakać, śmiać, drzeć włosy z głowy - wszystko, byle zagłuszyć gorączkę ciała i obudzonego w nim pragnienia. Pożądała niewłaściwego mężczyznę, którego wewnętrzne blizny groziły jej niebezpieczeństwem utraty radości z faktu, że żyje.

Zamknęła oczy, uniosła twarz ku purpurowiejącemu niebu. „Boże, dopomóż. Przecież ja, twoja wierna służka, nie zasługuję na taki żart ze strony niebios. Co uczyniłam, że tak mnie wynagradzasz?”

- Leonor - wyszeptał jej imię. - Lea.

Serce zabiło w niej żywiej na dźwięk jego przepelnionego tęsknotą głosu. Gdzieś w zaroślach zaczął swą pieśń drozd i zamilkł tak nagle, jak się odezwał. Leonor nie mogła złapać tchu w piersiach. Śpiewaj, mówiła w duchu do ptaka, śpiewaj, żebym nie musiała mówić.

- Leonor.
- Nic nie mów, Reynaudzie.
- Muszę. Posłuchaj mnie, Leonor.
- Nie mogę. Nie chcę - poprawiła się.

Nie mogła również patrzeć. Zamknęła powieki, opuściła zaciśnięte dłonie wzdłuż ciała i odwróciła się. Wiedziała, że daremny to trud. Od razu zrozumiała całą prawdę. Kochała go. Kochała go od zawsze.

Lekkim tchnieniem świeżości otoczył ich wiał drobny deszcz. Reynaud obrócił Leonor bardzo powoli. Znowu stanęli twarzą w twarz. Znajdowała się zaledwie na wyciągnięcie ręki od jego drżącego ciała. Reynaud był wdzięczny niebu za te chłodzące krople, które spływały na rozpaloną skórę.

Odważył się spojrzeć jej w oczy dopiero wtedy, gdy wrócił mu rozum. W ich szarej głębi dostrzegł miłość i pożądanie. Całe życie marzył o tym, by tak właśnie patrzyła na niego kobieta.

Nie śmiał jej dotknąć. Gdyby ona wykonała jeden gest, jeden mały zapraszający gest w jego stronę, byłby zgubiony.

Deszcz szemrał jednostajnie. Reynaud ochłódł, ale nie na długo, nie mógł być obojętny na uczucie malujące się w pociemniałych, rozszerzonych źrenicach Leonor. Widok jej oblepionych mokrą tuniką piersi przyprawiał go o męczarnię.

Zdołał jednak nakazać kamienny spokój rozedrganemu ciału i modlił się, by ona nie wyciągnęła ku niemu ramion, niszcząc resztki jego samokontroli. Od ekstazy, a nawet szaleństwa, dzieliło go jedno wyciągnięcie ręki.

Czuł, jak go palą dłonie. Zatopił palce w mięśniach swoich ud. Tak musi się czuć człowiek na łożu tortur, jeden obrót koła, a jego ciało przeszyje piekielny ból. Zamknął oczy.

Gęsty deszcz chłodził mu ramiona. Jeśli na nią spojrzy, ujrzy jej zalaną łzami twarz, błyszczące od łez oczy ocienione gęstymi, ciemnymi rzęsami, pęknie mu serce.

Niebezpieczna chwila trwała. Krew pulsowała mu w żyłach. Reynaud nie wytrzymał, gwałtownie odwrócił się plecami.

- Reynaudzie - usłyszał ciche jak westchnienie wezwanie.

Drgnął, ale nie otworzył oczu.

- Reynaudzie - powtórzyła.

- Leonor, odejdz. Teraz, zanim do reszty postradam rozum.

Poczuł, że się wycofała. Bijące od niej ciepło, kiedy stała blisko, zanikło. Nie pozostało nic, poza dziwną pustką i szumem deszczu.

Otworzył oczy. Zniknęła. Jakby spadło z niego zaklęcie, wrócił do życia. Pośpiesznie podniósł spodnie i wciągnął je na siebie.

Wrócił do uwiązanych do drzewa koni. Leonor mocowała podróżne maty do gałęzi, tworząc z nich osłonę przed spływającą z nieba wilgocią. Unikając jego wzroku, rozwijała pod owym daszkiem kolejną matę.

Sięgnął do swoich juków, wyjął z nich czystą tunikę. Szelest pergaminu oznajmił, że Leonor rozpakowała jedzenie.

- Mamy jeszcze trochę chleba i sera - powiedziała niezbyt pewnym głosem. - I winogrona. - Ciągle unikała patrzenia w jego stronę. - Napijesz się?

- Tak. Wina. Bukłak jest w płóciennym worku przytroczonym do twojego siodła.

Nawet wino nie mogło ugasić tłącego się w nim pragnienia. Kiedy odpakowała harfę i położyła ją obok siebie na macie, ścisnęło go w dołku. Od niechcenia przesunęła palcami po strunach. Jęknął.

Zaczęła śpiewać stary cygański romans. Podszedł do niej i wyrwał jej instrument.

- Jeśli musisz, graj - powiedział szorstkim głosem - ale nie śpiewaj. Bardzo cię proszę.

Popatrzyła rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Nie popełniam żadnego bluźnierstwa. To tylko cygańska ballada.

- Właśnie dlatego.

- Reynaudzie, dlaczego jesteś wobec mnie taki surowy? Co cię trapi? Czy to, co cię czeka w Carcassonne?

- Nie - skłamał.

Nie wiedział, co go czeka w Carcassonne, z wyjątkiem tego, że zrobi wszystko, co nakazał wielki mistrz de Blanquefort.

Leonor była dla niego ciężarem. Co z nią począć? Jak zapewnić jej bezpieczeństwo i jednocześnie wykonać rozkazy swojego zakonu? A najgorsze, jak wytrzymać blisko niej, wdychać odurzający zapach jej włosów, skóry, słuchać, jak zwraca się do niego tym swoim melodyjnym głosem?

Wiedział, że to najtrudniejsza próba. Dlatego nie mógł odpowiedzieć na jej pytania. W poczuciu bezradności oddalił się nad rzekę.

Po jakimś czasie wrócił w milczeniu do obozowiska. Leonor pokazała mu gestem jedzenie, ale nie był w stanie przełknąć czegokolwiek. Napięcie nie opuszczało go. Położył się na macie, dbając, by być zwróconym do niej plecami.

Musiał zasnąć, bo gdy odzyskał świadomość, było już całkiem ciemno. Leonor spała obok, zwinięta w kłębek jak kotek.

Zbudziła ją woda ściekająca z liści na wilgotną ziemię. Kapanie było ciche i nieregularne. Takie jak bicie mojego serca, pomyślała. Reynaud spał obok, oddychał głęboko i równomiernie. Leonor leżała bez ruchu, patrząc w niebo, widoczne poza namiotem, który zrobiła z mat.

Okrągły, złoty księżyc wisiał nisko nad ziemią. Wyglądał jak wielki dojrzały owoc przesłonięty ciemnymi obłokami. Gdy się spoza nich wyłaniał, ciepłe światło zalewało drzewa. Leonor uśmiechnęła się w ciemności. Burza przeszła bokiem.

A burza w jej sercu? Leżała nieruchomo, chłonąc ciepło emanujące z ciała spoczywającego obok niej Reynauda. Pragnęła go.

On też jej pragnął. Widziała to w jego oczach, słyszała w głosie. Wciągnęła głęboko w płuca balsamiczne, nocne powietrze. Reynaud był najbardziej intrygującym, najpiękniejszym mężczyzną, jakiego znała. I najbardziej zagubionym.

I taki mężczyzna marnował się w zakonie templariuszy.

Galeran pogładził palcami polerowaną kolczugę hrabiego Henryka. Był z siebie zadowolony. Miałki piasek sprawił cuda, rdza prawie zniknęła. Resztę usunie za pomocą oliwy i pumeksu. Metal będzie znowu lśnił jak srebro.

Siedział na stołku przed drzwiami do stajni i podśpiewywał pod nosem:

„Moja miłość wzlatuje w niebo skowronkiem”...

Tarł zawzięcie na przemian spraną lnianą szmatką i szczotką z sierści borsuka. Poprzedniego dnia ćwiczył akompaniament na lutni. „Kobieta słodsza jest od miodu...”, a może lepiej zabrzmie „słodsza od lilii”?

Oczywiście wyobraźni ujrzał Leonor z harfą w dłoni. Odgarnia czarne włosy na plecy. Galeran zamyślił się. Przestał wymachiwać szczotką.

Leonor. Co za piękne imię, brzmi jak muzyka. Kiedy ona wróci z tej wyprawy z templariuszem? Pamiętał, że wyruszyli na północ. Może do Mont-de-Marsan? Albo na wschód, do Tarbes i Tuluzy? Wiedział tylko tyle, że ostatecznie mieli dotrzeć do zamku jego ojca w Carcassonne. A jak już tam dojadą, czy możliwe, by nie wspomniała ojcu o swoim wiernym giermku? I o tym, jak była zadowolona z jego służby?

Ach, ojciec będzie z niego dumny.

Powrócił do pracy. „Jest ona prawdziwym aniołem radości...” - śpiewał i dalej polerował hrabiowską kolczugę.

Jakiś cień przesłonił słońce. Zamilkł.

- Czy to ciebie zowią Galeranem? - zapytał chrapliwy głos.

Giermek zerwał się na równe nogi, przewracając stołek.

- Tak, panie. Czym mogę ci służyć?

W rękach nadal trzymał ciężką, metalową kolczugę. Ze zdumieniem gapił się na zwalistego rycerza w szatach szpitalnika.

Rycerz zsiadł z konia i stanął nad giermkiem. Niepodziewanie wyciągnął ramię i uchwycił chłopca za kołnierz tuniki.

- Zaraz się dowiesz, czym możesz mi się przysłużyć. - Szarpnął Galerana za kołnierz tak, że ten o mało nie przewrócił się. - Znasz rycerza zakonu templariuszy, Reynauda?

- Znam, panie.

- To zapewne wiesz, że on opuścił Moyanne.

Galeran pokiwał głową.

- Dobry z ciebie chłopak. Wiesz także, dokąd pojechał?

Galeran pokręcił głową tak gwałtownie, że zaboląła go szyja.

Rycerz zmarszczył krzaczaste brwi.

- Nie? Czy powinienem odświeżyć ci pamięć? - Podstawił chłopcu pod nos zaciśniętą pięść.

Galeran zaczął gorączkowo obmyślać plan ratunku.

- Nic, panie nie zyskasz, gdy mnie uderzysz. Ja jestem... bardzo zapominalski. Wszystko mi wylatuje z głowy - imiona, nazwy miejsc. Wczoraj wieczorem zapomniałem nawet wyczyścić zbroję mojego stryja, a dzisiaj...

Głos mu się urwał, bo rycerz mocno zacisnął kołnierz tuniki wokół jego szyi.

- Tego na pewno nie zapomniałeś - powiedział rycerz przez zaciśnięte zęby. - Powiesz mi, dokąd pojechali.

Galeranowi kręciło się w głowie. Udawaj, że się zastanawiasz! Graj na zwłokę. Może nadejdzie jakaś pomoc. Skłamię, jeśli będę musiał. Bóg mi wybaczy.

- Oni? - wyrzeził. - Jacy oni?

Nogi trzęsły się pod nim, z ledwością stał.

- Dobrze wiesz, co za „oni”. Pani Leonor i templariusz.

- Dobrze. Niech pomyślę. A jesteś, panie, pewien, że wyjechali razem? Pani Leonor i ten...

Nieznajomy rycerz wolną ręką wymierzył mu siarczysty policzek.

- Liczę do dziesięciu. - Uderzył ponownie. - A potem...

Galeran zbladł. A potem? Krew odpłynęła mu w nogi. Zamiast serca miał w piersi zimną bryłę mięsa. Litościwy Boże, pomóż. A przynajmniej daj odwagę zrobić to, co muszę.

- Raz.

- Widzisz... panie

- Dwa.

- Właśnie tak. Dwoje. Pani Leonor, jak twierdzisz, i...

- Trzy.

- Reynaud, templariusz. O-o-o nim mówiłeś, tak? - Galeranowi z rozpaczyny zaczął się plątać język.

- Cztery. - Rycerz wbił natarczywe spojrzenie w twarz Galerana, co jeszcze bardziej wytrącało chłopaka z równowagi.



- Pięć.

Bolała go obita twarz. Połykając łzy, próbował się skoncentrować.

- Czekaaj, panie.

- Sześć. - Głos przeszedł w groźny szept.

- Siedem.

Po karku spływał mu zimny pot. Wołać o pomoc? Krzyczeć? Zanim krzyknie, ten rycerz udusi go.

Oprócz tego i tak nikt go nie usłyszy poprzez hałas z placu turniejowego, na którym ćwiczą rycerze stryja. Co robić?

- Osiem.

- Dobrze już, powiem. Tylko mnie puść, panie, bo brak mi tchu.

- Nie brak ci tchu, żeby się wykręcać. Lepiej go użyj, żeby mi powiedzieć, dokąd pojechali.

- Panie!

- Dziewięć.

Galeran zamknął oczy. Nie zdradzi ich. Nieważne co się stanie. Nie może. Chodzi o Leonor. Ach, gdyby jej nie kochał, mógłby się uratować. Tak bardzo chce żyć.

Gwałtowne szarpnięcie za tunikę zważyło go z nóg. Następnie poczuł, że jest wleczony do zimnego, śmierdzącego stęchlizną miejsca. Stajni.

Nie, nie, nie. Nie chcę, by to nastąpiło w stajni. Tylko nie w stajni.

- Dziesięć.

## Rozdział trzynasty

Reynaud obudził się. W otworze prowizorycznego namiotu z rozpiętych przez Leonor mat podróżnych widział na tle czarnego jak aksamit nieba księżyc w pełni. Tarczę srebrnego globu przesłaniały od czasu do czasu wędrujące obłoki.

Taki sam księżyc widywał nad polami bitewnymi w Syrii. Wtedy nie był on sprzymierzeńcem krzyżowców, oświetlał ich pozycje i pozwalał Saracenom ocenić ich liczebność.

Dzisiaj srebrzysta poświata sprzyjała mu, mógł bowiem do woli przypatrywać się twarzy śpiącej obok niego Leonor. Podparł się na łokciu. Nigdy nie nasyci się tym widokiem. Co za rozkosz dla zmysłów, móc tak leżeć obok niej.

Mruczając przez sen, odwróciła się plecami. Reynaud przytulił się do niej. Podłożył jej jedno ramię pod talię i ugiął swoje nogi tak, by jej pośladek znalazł w zagłębieniu między jego kolanami a podbrzuszem.

Wydała nieartykułowany dźwięk i przywarła do niego, jak mały kotek tulący się do źródła ciepła. Jęknął na głos. W tym prowizorycznym namiocie, z Leonor w ramionach, miał wrażenie, że niebo zstąpiło na ziemię. Nigdy nie czuł się bardziej błogo. Niechby ta droga do Carcassonne nie doprowadziła ich do celu!

Nie, tak nie może być. Jest rycerzem i jest winien posłuszeństwo swojemu wielkiemu mistrzowi. O świcie wstanie i uda się tam, dokąd go zaprowadzą rozkazy.

W tej chwili nie chciał myśleć o tym, co go czeka w Carcassonne. Wiedział, że będzie musiał opuścić Leonor, a potem... Nie miał pojęcia, co będzie potem, ale na pewno nie będzie to przyjemne.

O pierwszym brzasku wstał cicho, wciągnął buty i po nasiąkniętej deszczem ziemi udał się nad rzekę. Kiedy Leonor wystawiła głowę spod namiotu, oba wierzchowce - jego i jej - były osiodłane i gotowe do drogi.

- Widzę, że już ruszamy. - W jej głosie nie było zdziwienia, tylko rezygnacja. - Myślałam, że zjemy śniadanie.

- Nie - powiedział Reynaud ostrzej, niż zamierzał.

- Nie - powtórzyła. - Zawsze nie. - Wygramoliła się z namiotu. - Ciągłe jesteś na mnie zły. Ja naprawdę jestem głodna.

- Zjemy w drodze. Ruszajmy.

Usłyszał jej głębokie westchnienie i zamknął oczy. Żebyś wiedziała, jak trudno mi było nie dotknąć cię w taki sposób, o jakim marzyłem... tak jak mężczyzna dotyka kobietę, pomyślał.

Musiał sobie przypominać, że nie należy do siebie, tylko do Boga.

- Spakuję nasz namiot - mówiąc to, starał się łagodzić głos - a ty idź nad rzekę umyć się.

Skinęła głową i oddaliła się. Patrzył jej śladem. Miała charakter i spryt, jak lis. Coś mu mówiło, że będą potrzebowali i jednego, i drugiego w najbliższych dniach.

Surowa, kamienna forteca Carcassonne stała przed nimi w całym swoim przepychu. Leonor wodziła wzrokiem od jednego jej krańca do drugiego w zadziwieniu. Doprawdy, czegoś takiego nigdy nie widziała.

Budowla zajmowała szczyt długiego wzgórza i dominowała nad pokrytymi czerwoną dachówką przycupniętymi u jej podnóża domkami wioski i doliną rzeki Aude. Na północno-zachodnim skraju fortecy w lazurowe niebo strzelała kwadratowa wieża obserwacyjna. Okrągłe donżony z otworami dla łuczników przerywały powykręcaną linię osmaganych wiatrem, wypalonych słońcem murów z szarego kamienia, najeżonych wieloma drobnymi wieżyczkami.

Podjechali bliżej. Pod murami robotnicy kopali w ciemnej ziemi, osadzając w niej słupy zamykające trawiasty teren tuż pod największą, obrośniętą mchem wieżą. Widząc nadjeżdżających, jeden z nich, krzepki człowiek o opalonych przedramionach i osmaganej wiatrem twarzy, wyprostował się i zdjął zniszczony filcowy kapelusz.

- Przyjeżdżacie na turniej? - Wskazał imponujący zamek. - Ciągną tu jak muchy do miodu. *La pucelle du Languedoc*, tak mówi o naszej fortecy hrabia Roger, choć po prawdzie, trochę ona za stara, by ją nazywać *pucelle*, czyli panienką.

Nie czekając na odpowiedź, wrócił do pracy.

Reynaud i Leonor mieli do pokonania stromy podjazd w stronę łukowatej, kamiennej bramy.

- Pamiętasz giermka imieniem Galeran? - zagadnęła Leonor Reynauda. - Tego, który nam pomagał, gdy opuszczaliśmy Moyanne?

- Owszem. Dlaczego o nim wspominasz?

- On jest synem hrabiego Rogera. A Roger jest młodszym bratem wuja Henryka.

Reynaud bąknął coś niewyraźnie.

- Nie słuchasz. Myślisz o turnieju, prawda?

Nie odpowiedział.

Westchnęła.

- Jesteś taki sam jak wszyscy mężczyźni. Po prostu nie możesz się oprzeć wyzwaniu. Weźmiesz udział w turnieju?

- Nie zamierzam. Mam dość walk. Również turniejowych. Ale nigdy nie zabraknie młodych rycerzy, pragnących zademonstrować swoją odwagę. Lista chętnych będzie długa. A oprócz tego...

- A oprócz tego - wtrąciła - ty masz misję do spełnienia, którą obarczył cię wielki mistrz.

- Właśnie.

Leonor dałaby wiele, żeby dowiedzieć się czegoś o tej jego misji, lecz nie miała odwagi zapytać. Zamilkła. Uniosła głowę ku wierzchołkowi forticy. Powoli zbliżali się do bramy wjazdowej.

Niespodziewanie Reynaud zatrzymał swojego konia i pochwycił wodze klaczy Leonor, zmuszając ją także do zatrzymania się. Wychylił się ku niej w siodle.

- Zanim wjedziemy do środka, chciałbym ci coś powiedzieć - rzekł cicho.

Spojrzała na niego. Pobladła, widząc rozpalone spojrzenie jego zazwyczaj zimnych, zielonych oczu. Miała wrażenie, że zagląda mu w głąb duszy. Bał się czegoś.

- Nie wiem, co mnie tu czeka - zaczął.

- Grozi ci niebezpieczeństwo?

Spojrzał w bok. Nie odpowiedział.

- Reynaudzie?

Nawiązała się między nimi nić zrozumienia, niewyczuwalna więź, która zawsze była, ale która dopiero teraz uwidoczniła się z porażającą ostrością, jak napięty drut tan-  
cerza na linie.

- Przy mnie nie będziesz bezpieczna - odezwał się w końcu.

- Będę bezpieczna. Hrabia Roger ma wielu silnych rycerzy. - Zwilżyła obeschnięte  
wargi. - Nie chcę wjeżdzać do tego zamku, bo wiem, że mnie opuścisz.

Potwierdził ruchem głowy.

- Och, Reynaudzie, chciałabym na zawsze pozostać poza tymi murami. Nie liczyć  
się z czasem i ciężącymi na tobie obowiązkami.

- Wiesz, że to niemożliwe.

- Tak - westchnęła - to wiem aż nadto dobrze.

Chwycił ją za ramię.

- Jeśli w twoich planach jest szpiegowanie, zaniechaj ich.

- Ja... ja nie mam zamiaru szpiegować. Chcę pojechać z tobą tam, gdzie zawiedzie  
cię twoja misja!

- Nie pojedziesz.

- Reynaudzie!

- Powiedziałem nie.

Opuściła z rezygnacją ramiona, odwróciła głowę w bok.

- A zatem nie mam wyboru. Będę grała na harfie i śpiewała w tym zamku. Właści-  
wie zawsze tego pragnęłam, więc...

- Będąc kobietą, powinnaś pragnąć czegoś innego.

Ponownie zwilżyła zaschnięte usta.

- Będziesz o mnie myślał? Jak ja o tobie?

- Tak - rzekł krótko. - Zawsze będę myślami przy tobie.

- Reynaudzie, jesteśmy już pod bramą. Musimy wjechać albo...

Nie odpowiedział. Puścił ją. Ścisnął łydkami boki swojego konia. Ruszył. Kopyta  
końskie zadzwoniły o kamienny bruk, jakby kto przesuwiał żelaznym gwoździem o kol-  
czugę.

Leonor podążała za Reynaudem przez bramę i na zewnętrzny dziedziniec. Dominujące nad nim kamienne wieże rzucały długie cienie na wielką kwadratową warownię i inne zabudowania, na domy służby i wdzięczny, okrągły obiekt, który, jak domyślała się Leonor, musiał być kaplicą. Wybrukowana kocimi łbami droga wiodła obok zbrojowni do podłużnego budynku pokrytego czerwoną dachówką. Była to piekarnia, sądząc po zapachu drożdży i świeżych wypieków, który rozchodził się stamtąd po dziedzińcu. Kobieta w ubrudzonym mąką fartuchu wsuwała do otwartego pieca okrągłe bochny chleba na płaskiej drewnianej szufli.

Leonor poczuła głód. Jeśli nazajutrz ma się odbyć turniej rycerski, wieczorny posiłek będzie ucztą, na której zostanie podana obfitość wszelakich dań. Właśnie przejeżdżali obok spiżarni, w której wisiały głowami w dół niezliczone bażanty.

Koń Reynauda rozpędził stadko biało-czarnych kur, umykających spod jego kopyt z głośnym gdakaniem, ale jeździec nie zwolnił tempa. Jechał prosto do bramy wiodącej do głównej części warowni. Kiedy znaleźli się w jej wnętrzu, ze zgrzytaniem opadł drewniany zwodzony mostek.

Nad ich głowami wisiała wielka stalowa kratownica bramy, której dolna krawędź groźnie szczyrzyła do nich metalowe zębiska. Leonor poczuła się rażniej dopiero wtedy, gdy znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie natychmiast otoczyła ich służba, przytrzymując konie i pomagając zsiąść z siodeł. Leonor sama odwiązała przytroczone do siodła harfę i niechętnie powierzyła ją małemu paziowi, niewiele większemu od instrumentu, którym miał się zaopiekować.

Reynaud przewiesił sobie swoje ciężkie juki przez ramię. Konie zostały odprowadzone do stajni, gdzie zostaną napojone, nakarmione i oczyszczone po podróży.

Widząc, jak paź potyka się pod ciężarem harfy, Reynaud odebrał mu instrument. Leonor odetchnęła z ulgą. Nigdy nie lubiła rozstawać się ze swoją harfą, ale kuzynowi ufała.

- Powiedz swojemu panu, że przyjechali goście z Moyanne - rozkazał paziowi Reynaud.

Chłopiec pobiegł przodem. Leonor i Reynaud zostali sami. Popatrzyli sobie w oczy. Leonor wiedziała, że za chwilę zostaną rozdzieleni. Ona wykąpie się i przebierze

przed wieczorną ucztą, on... Bóg raczy wiedzieć, co mężczyzna ma do roboty przed wieczerną.

Jej zostanie na pewno przydzielona osobna izba sypialna, ale Reynaud może skończyć we wspólnej komnacie z innymi rycerzami, albo i gorzej - będzie musiał spać na podłodze w wielkiej sali, owinięty swoim własnym płaszczem.

Czy będzie potrafił zorientować się w zakamarkach zamku? Czy będzie wiedział, gdzie ją umieszczono? Którym korytarzem, którą klatką schodową dojść?

Nie dawało jej spokoju coś jeszcze, i to od momentu wyjazdu z Moyanne. Bernard z Rodez do tej pory musiał już dowiedzieć się, dokąd ona i Reynaud się udali.

Leonor nigdy nie zdoła zapomnieć złowieszczonego spojrzenia jego wyblakłych oczu w chwili, gdy zaciskał palce na jej nadgarstku i boleśnie go ścisnął. Sprawiał jej ból i tego właśnie chciał.

Przeniknął ją zimny dreszcz. Co on zrobi, jeśli znów ją spotka?

- Witam cię, rycerzu - usłyszeli przyjacielski głos - twoją panią także, jeśli ta młoda istota obok ciebie jest tym, kim sądzę, że jest.

Wysoki mężczyzna w bogatej jedwabnej tunice popatrzył życzliwie na Leonor.

- Mądrze z twojej strony, pani, że podróżujesz w przebraniu. Jesteś harfistką? Przybywacie w samą porę, jedno i drugie. Witajcie! Witajcie! - Hrabia Roger skłonił się Leonor, zaś Reynauda objął za ramiona.

Reynaud odpowiedział z równą kurtuazją.

- Jestem Reynaud, dostojny panie. Przybywam z Ziemi Świętej.

Hrabia uśmiechał się przyjaźnie. Miał długie, ciemne włosy, gęstą brodę i oczy takie jak jego brat, Henryk, błękitne jak letnie niebo.

- Przybywa ze mną - kontynuował Reynaud - kuzynka, Leonor de Balenguer y Hassam z Grenady. Przywożę ci, hrabio, pozdrowienia od hrabiego Henryka z Moyanne.

- Ach, od Henryka? Cieszę się niezmiernie! Szkoda, że on sam nie wybrał się na turniej i nie przywiózł ze sobą mojego syna, Galerana. Jannet! - zawołał przez ramię - Jannet! Chodź, powitaj gości.

Na schodach dał się słyszeć szelest i po chwili zsunęła się z nich okrągłolica, młoda kobieta. Zajęła miejsce u boku męża.

- Witajcie pod naszym dachem - zaszczebiotała.

Głos brzmiał radośnie. Spod białego czepka na głowie błyszczała para śmiejących się, czarnych oczu.

- Przybywacie z Moyanne? Jak się miewa mój pasierb Galeran?

- Dobrze, dostojna pani - odpowiedziała Leonor. - Miły z niego chłopiec. Okazał się bardzo pomocny przy naszym wyjeździe.

- Och, proszę tak mnie nie nazywać. Mam na imię Jannet. Czy mogę poznać twoje imię?

Na Leonor zrobiły dobre wrażenie bezpośredniość i wesołe usposobienie kobiety.

- Mam na imię Leonor.

- Piękne imię. - Uścisnęła dłonie Leonor. - Jesteśmy prawie jak siostry pod względem wieku, jak przypuszczam. Ja mam lat dwadzieścia cztery i niektórzy powiadają, że jestem za młoda dla mojego małżonka, który jest prawie dwa razy ode mnie starszy.

Jannet promiennie uśmiechnęła się do hrabiego Rogera.

- Ale jemu to nie przeszkadza, prawda, mój drogi? Jesteśmy może jak maj i gruzdzień, ale w naszych sercach króluje najpiękniejsze lato.

Jej śmiech nie milkł. Złączyła dłonie z dłońmi hrabiego Rogera, którego policzki pokrył rumieniec. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował, wzruszywszy ramionami.

- Och - sumitowała się Jannet - znowu za dużo mówię, tak, mężu? - Stała na palcach, musnęła ustami brodę hrabiego. - Spodziewam się usłyszeć parę słów przygany, kiedy będziemy się kładli na spoczynek - szepnęła konfidencko do Leonor, nie przestając się śmiać.

Leonor nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem. Jannet otoczyła swoją talię ramieniem męża i nawiązała rozmowę z Reynaudem.

- Zamierzacie, panie, stanąć w turniejowe szranki pojutrze?

- Nie, pani, nie zamierzam. Nie biorę udziału w turniejach. Muszę ruszać w dalszą drogę.

- Ach, tak? - zainteresował się hrabia. - Dokąd to zmierzasz, jeśli nie interesuje cię słynny turniej w naszym zamku, ozdobie Langwedocji?



Reynaud nie potrafił odpowiedzieć. Po prawdzie, sam nie wiedział, dokąd wypadnie mu jechać. Ktoś miał się z nim skontaktować w Carcassonne - wysłannik de Blanqueforta - i poinstruować go co do dalszej drogi. Reynaud przypuszczał, że rozkazy, które otrzyma, zawiodą go gdzieś na południe. Siedziba templariuszy w południowej Francji była dobrze zakonspirowana.

- Chodź ze mną, rycerzu, zobaczmy jak przybiegają przygotowania do turnieju. W tej chwili na podzamczu powinno pracować z tuzin ludzi - szepnął Reynaudowi do ucha hrabia.

Uwolnił się od żony, wymierzył jej ukradkiem klapsa w siedzenie, po czym pociągnął Reynauda do wyjścia.

- Później będziesz mógł się wykapać i odświeżyć, zostanie ci mnóstwo czasu.

Reynaudowi nie pozostawało nic innego, jak oddać harfę, którą wciąż miał w rękach, zbrojnemu, trzymającemu wartę pod ścianą i podążyć za hrabią.

Leonor i Jannet zostały same.

- Chodź do mojej komnaty, Leonor, znajdziemy ci coś do przebrania na wieczorną ucztę. Coś godnego twojej urody. Mam coś takiego w skrzyni. Nie mogę się doczekać, by cię w tym zobaczyć!

Leonor śmiała się na przekor sobie samej. Dobry humor Jannet był zaraźliwy, a ona na pewno potrzebowała pocieszenia. Młoda żona hrabiego była dokładnie takim towarzystwem, jakie przyda się jej dzisiejszej nocy - ostatniej nocy przed wyjazdem Reynauda.

- Chodź! - zachęcała Jannet. - Twoja sypialnia będzie obok mojej, na najwyższym piętrze zamku. Pospieszmy się! - Dała zbrojnemu z harfą znak, by podążył na nimi wąskimi kamiennymi schodami.

Na górze Leonor zatrzymała się na progu przestronnej komnaty, którą Jannet jej wskazała jako przeznaczoną dla niej.

Promienie słoneczne prześwitujące przez wąski wypełniony oprawnymi w ołów małymi szybkami otwór okienny rzucały złote refleksy na dekoracyjne gobeliny, którymi były obwieszane kamienne ściany. Pod ścianą stało niewielkie łóżko z zielonymi adamaszkowymi zasłonami, a z jego dwóch stron stały dwa małe stoliki z ciemnego drewna.

Zbrojny postawił harfę w kącie i bez słowa zostawił obie kobiety.

- Ten twój... towarzysz, Reynaud, jest bardzo przystojny - zauważyła Jannet. - Zauważające są te jego potargane włosy. Czarne, miękkie i kręcone. Niesforne. A co za oczy! Taki kolor ma wiosenna trawa... a raczej szałwia w pełni lata.

- Nie znam tego zioła - wtrąciła Leonor, mając nadzieję, że uda się jej zmienić temat.

- Och, w Bretanii, skąd pochodzę, są całe pola porośnięte dziką szałwią. Kolor oczu twojego Reynauda jest dokładnie taki jak tej szałwii. Zimą ona ciemnieje. Tak samo jak oczy rycerza Reynauda, gdy na ciebie patrzy. Zauważyłaś to?

Leonor czuła wypływające na policzki rumieńce. Nie chciała okłamywać Jannet. Otwartość młodej kobiety zasługiwała na szczerą odpowiedź. Postanowiła nie wykręcać się.

- Tak, zauważyłam.

- Przez chwilę bałam się, że okażesz się nieszczerą - roześmiała się Jannet.

- Jak widzisz, nie jestem taka.

- To dobrze! Jestem spragniona towarzystwa, a nie ma nic gorszego niż towarzystwo osoby nieszczerej. Strasznie mi doskwierała samotność, gdy wszyscy mężczyźni wyruszyli na wyprawę krzyżową, a ja zdana byłam wyłącznie na obecność starych kobiet i służby. Och, jestem taka szczęśliwa, że przyjechałaś.

Uściskała Leonor, która impulsywnie oddała uścisk. Beztroskie usposobienie i wesoła, dziewczęca paplanina Jannet pomoże zagłuszyć ból rozstania z Reynaudem, pomyślała.

Nagle optymizm opuścił Leonor.

A co będzie, jeśli już go nigdy więcej nie zobaczy?

## Rozdział czternasty

Drzwi rozwarły się z hukiem, dwóch krzepkich pacholków wtoczyło do sypialni Reynauda wielką dębową kadź. Za nimi pojawiła się grupa służących, każdy z cebrzykiem parującej wody. Napełnili kadź po brzegi tak, że woda przelewała się przez górną krawędź, zostawili stos czystych ręczników, naczynie z żółtego koloru mydłem, słoik ziół, i wyszli.

Reynaud powąchał mydło - pachniało lawendą i różami. Czy to ulubiona woń wszystkich rycerzy w Langwedocji?

Zrzucił przepocone w czasie podróży ubranie, zanurzył się w parującej wodzie, zamknął powieki. Był utrudzony drogą i brudny, na dodatek stara rana na udzie dawała się znowu we znaki, lecz przynajmniej Leonor była w Carcassonne bezpieczna.

Wyobraził sobie, jak hrabia Roger bierze kąpiel w zaciszu swojej sypialni, a jego młoda żona mu asystuje. Ta myśl rozweseliła go. Nie miał wątpliwości, że stary hrabia kąpie się w obecności żony. Niezły z niego lubieżnik. Reynaud zauważył, jakim wzrokiem pan zamku patrzy na małżonkę. Uczucie, jakie do niej żywił, miał wypisane na twarzy.

Reynaud otworzył oczy. Nie powinien go za to potępiać. Czyż sam nie zmaga się z pożądaniem, jakie wzbudza w nim kobieta?

Zanurzył palce w naczyniu z mydłem, rozsmarował wonną maź po piersiach i brzuchu. Po wyjściu z tej kąpieli będzie pachniał jak fiołek.

Przynajmniej nie będzie się odróżniał od reszty szlachciców.

On szlachcicem nie był. Nie urodził się z tytułem do ziemi, jak hrabia Roger. Jego ogłada była nabyta. Nauczył się dobrych manier od Hassama i Hugh Monforta, rycerza, który przyjął go na służbę jako giermka.

Z na wpół otwartego okna płynęło ciepłe, przepojone wonią jaśminu, wieczorne powietrze. Myśli Reynauda powędrowały ku Leonor. Przypomniał sobie jej chłodne, szare oczy, nabierające blasku, gdy na nią patrzył, odurzająco pachnącą skórę.

W obecności Leonor znowu cieszył się życiem. Rozstanie z nią będzie bardzo bolesne.

Zaczynał rozumieć, co pcha mężczyzn w ramiona kobiet. Nie głód zmysłowych doznań, lecz dążność do zjednoczenia duchowego.

Wstał z kąpieli, owinał wokół bioder lniany ręcznik. Zaczął się machinalnie osuwać drugim, gdy nagle przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. Na turniej hrabiego Rogera przyjedzie wielu rycerzy. Nie wszyscy będą kryształowi. Przecież dostrzegą Leonor i zaczną zabiegać o jej względy. Może nawet nieco zbyt nachalnie.

Wsunął przez głowę czystą tunikę, która leżała przygotowana na łóżku, na nią włożył biały płaszcz zakonny. W gasnącym świetle dnia czerwony krzyż był ciemny jak krew. Ten krzyż przypominał mu, że nie należy do siebie, tylko do Boga. Takie powołanie zdecydowanie nie jest czymś, co mężczyzna może zaofiarować kobiecie.

Ktoś zapukał cicho do drzwi. Reynaud pospiesznie wciągnął skórzane buty i ruszył, by otworzyć.

Za drzwiami kulił się chłopiec w zielonej tunice, jaką nosili paziowie hrabiego Rogera. Był przestraszony.

- P-panie - wyjąkał - ktoś na ciebie czeka na dole.

Reynaud schylił się, żeby jego twarz znalazła się na poziomie twarzy chłopca. Starł się mówić łagodnym głosem.

- Ten ktoś cię przysłał? Kto to taki?

- J-jakiś człowiek, panie. Nie powiedział, jak się nazywa, lecz kazał mi ciebie s-sprowadzić bez zwłoki. - Paź nerwowo kręcił palcami. - Czeka u tylnej bramy, przed stajniami. Wspominał coś o jakimś... srebrnym łabędziu.

Nareszcie. Otrzyma rozkazy. Reynaud wyprostował się powoli, wziął leżący na skrzyni pas z pochwą na miecz.

- Zaprowadzisz mnie - powiedział do pazia.

Zapiął pas wokół bioder. Chłopiec szeroko rozwartymi oczami obserwował go, jak wkłada miecz do pochwy, a pod płaszczem chowa sztylet.

- Chodź, panie, pokażę ci drogę.

Schody prowadziły do rzadko używanych drzwi, sądząc po zardzewiałych zawiasach, te zaś wychodziły na dziedziniec poza murem wewnętrznej warowni. Reynaud

omiótl uważnym spojrzeniem zamek przylegający do okalającego dziedziniec muru. Paż szedł w stronę stajni.

- Za tym rogiem. - Chłopiec stanął i wskazał ręką kierunek. - Pójdiesz, panie, pierwszy? On mnie przeraża.

- Nie musisz dalej iść. - Reynaud wcisnął monetę w dłoń pacholęcia. - Dzięki za przysługę.

Paż zniknął w gęstniejącym mroku. Reynauda nawiedziła refleksja. Wydawało się, jakby to było wczoraj, kiedy był w tym wieku co ten chłopiec i marzył o przygodach, nie zastanawiając się, jaką cenę przyjdzie mu za nie zapłacić. Teraz upadł na duchu i był obolały od starych ran. Jak prędko ucieka życie.

Z tonącego w cieniu otworu strzelniczego ktoś wywołał jego imię.

- Reynaud?

- Tak, jestem Reynaud - zwrócił się w stronę, skąd dochodził głos.

- Kto pyta?

- Przyjaciel.

- Pokaż się więc. - Zajrzał do otworu, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

Usłyszał szelest ubrania, z cienia wyłoniła się osłonięta kapturem postać. Mężczyzna rozejrzał się ostrożnie na lewo i prawo, po czym stanął tuż przed Reynaudem. Brązowe, cętkowane złoto źrenice patrzyły mu prosto w twarz.

- Twoje imię? - zapytał Reynaud.

- Brat... Pierre.

- Skąd?

- Z Saint-Foy de Conques - padła szybka odpowiedź.

Reynaud długo przyglądał się wąskiej, pokrytej bruzdami twarzy, którą miał przed oczami, wreszcie wyciągnął dłoń.

- Witaj, bracie. Masz do mnie sprawę?

Brat Pierre uściśnął dłoń Reynauda tajemnym, umówionym gestem templariuszy.

- Obawiam się, że to twoja sprawa.

Reynaud czekał w milczeniu. Zakapturzony mnich nie spieszył się z wyjaśnieniem.

- Chyba i tak wcześniej czy później muszę ci to powiedzieć. Rzecz w tym, że...

- Powiedz wreszcie. Miejmy to za sobą - zażądał Reynaud.

- To nie będzie łatwe, mój synu. - Brat Pierre zniżył głos. - Wiem, że Bertrand de Blanquefort ma wielką wiarę w twoje męstwo na polu bitwy, jak też w zdolności... dyplomatyczne, nazwijmy to w ten sposób. Ale jest granica tego, co może zdziałać pojedynczy człowiek, nawet tak wyjątkowy jak ty.

Reynaud poczuł, że jego serce zaczyna bić szybciej. Mnich zamilkł, pocierając palcem o pobrużdżony policzek.

- Mimo wszystko sędzę, że de Blanquefort musi mieć swoje powody. Więc sprawa ma się tak.

Mnich przykucnął. Brązowy habit rozprzestrzenił się na ziemi wokół niego; wyglądał jak kura wysiadująca jaja na gnieździe.

Kościstym palcem zaczął rysować na ubitej ziemi mapkę.

- Tu mamy zamek. Niewielką fortecę, powiedzmy. Miejsce, gdzie jest złożony - rzucił przelotne spojrzenie przykucniętemu obok Reynaudowi - złoty skarb.

Reynaud pokiwał głową, starając się nie dać poznać po sobie, czy informacja ta zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- I co?

Zgrubiałym paznokciem mnich wydrapał na ziemi znak.

- Tu jest jedyna brama wiodąca do środka fortecy. Jest silnie strzeżona. Teraz rozumiesz?

Reynaud wciągnął głęboko powietrze.

- Rozumiem, że jeśli jakiś skarb znajduje się za tymi murami, to jest dobrze strzeżony i ktokolwiek stoi przy bramie, strzeże fortecy. To najprawdopodobniej król francuski Ludwik.

- Właśnie. Ale to, co jest wewnątrz fortecy, nie należy do Ludwika. Prawdę mówiąc, Ludwik nic nie wie o istnieniu tego czegoś. To własność rycerzy zakonu templariuszy. Na mocy prawa boskiego należy do papieża.

Reynaud nie wierzył własnym uszom.

- Król Francji miałby się sprzeniewierzyć Ojcu Świętemu?

Brat Pierre pokiwał twierdząco głową i jeszcze bardziej zniżył głos, niemal do szmeru.

- De Blanquefort jest człowiekiem papieża, ale forteca, Rennes-le-Château, należy obecnie do Ludwika. Przeszła na niego po lenniku, który zmarł bezpotomnie.

- Więc dlaczego nie zaatakować fortecy i nie wypędzić francuskiej załogi?

- Nie. Widzisz, to działa dwojako. Ludwik nie wie o skarbie ukrytym wewnątrz murów, a papież - mnich uśmiechnął się przewrotnie - ma gwarancję, że majątek będzie bezpieczny. Niech Ludwik francuski pilnuje mu skarbu.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - zapytał Reynaud, podnosząc się z kucek.

Brat Pierre spojrzał na niego z ukosa w zapadającym mroku.

- Ponieważ, mój synu, żeby dołożyć złoto, które wiesz, do skarbu, trzeba przeniknąć do fortecy. Masz rozkaz ominąć kontrolę załogi króla francuskiego i przekazać złoto templariuszowi znajdującemu się wewnątrz fortecy. Majątek zakonu urośnie. Ludwik nie wie o skarbie. Nie podejrzewa, że tuż pod jego nosem papieska złota gęś jeszcze dodatkowo się utuczy.

Reynaud zachnął się.

- Ominąć? I przeżyć, żeby móc o tym opowiedzieć?

- Może nie - odparł ze spokojem brat Pierre - a może tak, jeśli taka będzie wola Boga.

Reynaud poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Jeden człowiek przeciwko całej załodze fortecy? To nedorzeczne zadanie.

Mnich dotknął podobnymi do szponów palcami czerwony krzyż na płaszczu Reynauda.

- To nie jest nedorzeczne zadanie - rzekł z naciskiem. - To rozkaz wielkiego mistrza.

Reynauda ogarnęła gorycz. Więc na tym polega jego misja. Ma zawieźć złoto do skarbcza, którego papież potrzebuje, by opłacić najemników, niezbędnych do walki z Ludwikiem francuskim. Perfidia, do jakiej uciekali się jedni chrześcijanie przeciwko drugim chrześcijanom, budziła w nim odrazę. I on ma ryzykować życie, bo król i papież rywalizują ze sobą. Prawdopodobieństwo, że zginie, wykonując ten rozkaz, było wielkie.

Zrobiło mu się niedobrze. Przysięgał posłuszeństwo wielkiemu mistrzowi, a za złamanie przysięgi groziła haniebna śmierć. Nie miał wyboru.

Powiew wiatru przyniósł dźwięki z odległych taborów, ktoś się śmiał, ktoś krzyczał ochryplym głosem. Życie toczyło się zwykłą koleją. Pomyślał o latach przed złożeniem ślubów zakonnych, kiedy czuł się wolny. Potem sam wszystko podał w wątpliwość.

Teraz nie pozostaje nic innego, jak posłuchać rozkazu.

Dlaczego przed chwilą kwestionował jego racjonalność? Buntuje się? Z jednej strony był gotów podporządkować się obowiązkowi, ale drugiej... Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Brakowało słów na opisanie tych doznań.

Czuł, jakby składał się z dwóch ludzi w jednym ciele. Do tej pory nawet nie domyślał się istnienia tego drugiego.

Musi wypełnić rozkaz wielkiego mistrza. Lepiej umrzeć z honorem niż w niesławie. Wtedy przynajmniej życie będzie miało jakiś sens. Honor jest tym, co spaja cywilizację.

Poczuł, jak brat Pierre łapie go za ramię.

- Jest sekretne wejście do zamku w fortecy.

Sekretne wejście nie uratuje go. Zanim tam się dostanie, musi sforsować strzeżony mur fortecy. Sam jeden. Śmierć będzie szła za nim trop w trop.

- Pokaż gdzie.

Brat Pierre znowu uklęknął. Narysował coś na ziemi, po czym szybko zmasał rysunek rękawem.

Reynaud zdążył jednak rzucić okiem na szkic i pokręcił głową z niedowierzaniem. Po dłuższej chwili wstał powoli. Umyślnie wystawił twarz na ostatni promień słońca, zanim zgasł i nastąpiła noc.

Jaki piękny jest świat. Prawda, że ludzie bywają okrutni i głupi, ale Bóg w swej mądrości wyposażył ziemię we wszystkie uroki, które rekompensują to człowiekowi.

Po spędzeniu połowy życia na polach bitew, doświadczeniu zdrady, po obcowaniu ze śmiercią, zaczął w końcu dostrzegać urodę świata i czerpać z tego pociechę dla ducha.

Pomyślał o Leonor. To ona sprawiła, że odzyskał radość płynącą z tego, że żył.



Jutro zaryzykuje utratę wszystkiego, na czym zaczynało mu zależeć. Odwrócił twarz do mnicha.

- Wyruszam nazajutrz o świcie.

## Rozdział piętnasty

Biesiada trwała w najlepsze. Reynaud, nieobecny duchem, sączył nierozcieńczone wino i zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Rozmyślał o spotkaniu z bratem Pierre'em. Przed rozstaniem mnich nakreślił znak krzyża na jego piersi, rozejrzał się ukradkiem na boki i zniknął w mroku. Reynaud zdawał sobie sprawę, że nowe, karkołomne zadanie wymaga rozwagi i starannie opracowanego planu działania. Nagle zapragnął zobaczyć się z Leonor, porozmawiać z nią przed nastaniem świtu. Wtedy odjedzie.

Hałas w sali wzmógł się, po czym ścichł. Siedzący obok hrabia Roger nagle wykrzyknął:

- Jaka ona piękna!

Leonor stanęła na końcu komnaty w jedwabnej sukni koloru kości słoniowej, opadającej miękkimi fałdami do stóp. Gdy się poruszała, srebrne nitki w materiale odbijały światło świec jak mikroskopijne lusterka. Szeroki pas szkarłatnego jedwabiu z ponaszwanymi perłami biegł od wycięcia szyi aż do dolnego rąbka sukni, a drugi - węższy, haftowany srebrną i szkarłatną nicią - otaczał talię, obniżając się z przodu w kształcie litery V.

Wyglądała tak promiennie, że Reynaudowi z wrażenia zabrakło tchu.

Ruszyła w jego kierunku. Ich oczy się spotkały. Był zatrwożony tym, co dzieje się w jego duszy i ciele. Wstał, aby się z nią przywitać. Ach, jakże chętnie wypowiedziałby wszystkie słodkie słowa, które do niej kierował w duchu, a których nie wolno mu było wyrazić na głos. Co za udręka! Jeszcze trochę, a nie pohamuje potrzeby wyrzucenia z siebie miłosnych zaklęć, wyznania, jak bardzo pragnie trzymać ją w ramionach.

- Wyjdźmy - powiedział.

Uchwycił jej dłoń. Torowali sobie drogę pośród drzemiących na posadzce psów i uwijających się między kuchniami a salą sług, aż na dworze owiało ich świeże wieczorne powietrze. Reynaud zatrzymał się.

- Leonor, wyjeżdżam jutro o świcie.

Nie odpowiedziała i zaczęła się wspinać spiralnymi kamiennymi schodami, prowadzącymi na mury. Zatrzymała się dopiero na szczycie i uniosła twarz ku nocnemu niebu. Woń jaśminu, połączona z duszącym zapachem świeżo skoszonej trawy, odurzała niczym wschodnie perfumy.

- Spójrz - szepnęła.

Purpurowo-czarne niebo było usiane gwiazdami jak milionami drobnych brylantów.

- Chciałabym ich dotknąć - powiedziała.

Wyciągnęła dłoń, jakby to było rzeczywiście możliwe, po czym przycisnęła ją do ust. Oddychała gwałtownie.

- Leonor - zaczął Reynaud - nie mogę ci niczego zaofiarować. Nie wolno mi cię nawet przytulić. - Głos drżał mu ze wzruszenia.

Odwróciła głowę.

- Jest jeszcze coś - dodał cicho.

Leonor czekała z zapartym tchem. Słyszała jego nieregularny oddech. Głośno wciągał i wypuszczał powietrze.

- Powiedz wreszcie.

Przysunął się bliżej i pochylił się do jej dłoni, po czym unióśł je do ust.

- Ponieważ muszę cię opuścić, chciałbym, żebyś wiedziała jedno: jestem twój do końca moich dni.

Tego było dla niej za wiele.

- I co mi z tego - poskarżyła się drżącym głosem.

Zamknęła pełne łez oczy. Ogarnęła ją rozpacz, ponieważ była świadoma, że tym razem Reynaud może zginąć.

- Leonor.

Nie chciała słuchać słów pożegnania. Dlaczego mają się rozstać?

Domyślił się, co czuła.

- Muszę ci to wyjawić, i to w tej chwili.

- Wiem, co chcesz powiedzieć.

- Nie wiesz. Jestem związany z templariuszami przysięgą, od której może mnie uwolnić jedynie śmierć. Nie cofnę danego słowa. Jeśli przyjdzie mi umrzeć, uczynię to bez sprzeciwu, potrzebuję tylko jednego.

Miała tak ściśnięte gardło, że z trudem wydobyła głos.

- Co to takiego?

Popatrzył jej w oczy.

- Potrzebuję czegoś od ciebie.

- Czego?

- Jednego pocałunku, zanim odjadę.

- Dobrze - odrzekła Leonor, gdy odzyskała zdolność mówienia.

- A jeśli nie zginę i wrócę cały i zdrowy...

Czekała jak skamieniała. Zadanie, które otrzymała od emira Yusefa, zostało wykonane. Teraz było przed nią coś ważniejszego: oczekiwanie na powrót Reynauda.

Zamknął oczy.

- Wtedy poproszę cię o jedną noc.

- A co z twoimi ślubami?

- Moje śluby to sprawa między mną a Bogiem. Uczucia to sprawa między tobą a mną.

- Niech będzie, jak sobie życzysz.

- Nie życzę sobie, ale proszę o nadzieję, która pozwoli mi przeżyć.

- Mnie także. Chyba już o tym wiesz.

Spletli dłonie.

- Wiem. Niech Bóg mi przebaczy.

- Niech Bóg przebaczy nam obojgu, bo tylko on zna nasze serca i naszą przyszłość.

Słońce dopiero wstało, ale jego promienie wypełniły sypialnię Leonor. Ktoś cicho zapukał do drzwi. Uniosła się na łokciu w pościeli, odgarnęła włosy z twarzy. Drzwi otworzyły się bezgłośnie.

- Reynaudzie, to ty?

Jego wysoka, skąpana w świetle słońca postać, zatrzymała się na moment w progu. Światło odbijało się od widocznych spod zakonnego płaszcza rękawów kolczugi. Cicho zamknął za sobą drzwi. Leonor słyszała delikatny metaliczny chrzęst zbroi, gdy szedł w jej stronę.

- Odjeżdżam za godzinę - oznajmił.

- Więc już nadeszła chwila, w której znowu mnie porzucasz? Mężczyźni podejmują niezrozumiałe decyzje, kierując się egoistycznymi przesłankami - orzekła Leonor.

Odrzuciła na bok lniane przykrycie i wstała z łóżka. Chłodne poranne powietrze owiewało jej nagie ramiona i szyję. Drżąc z zimna, owinęła się szczelnie jedwabną szatą, podarowaną przez Jannet. Podeszła do okna.

- Jedź więc.

- Owszem, pojedę. W stosownym czasie.

Stanął za nią tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na karku.

- Nie chcę... - zaczęła spiętym głosem.

- Wiem. Nie musisz mi przypominać, jak ciężko jest mi odjeżdżać od ciebie po raz drugi. Za pierwszym razem byłeś niemal dzieckiem, a ja nieopierzonym młodzieńcem, który potrafił zachwycać się byle czym i nie wiedział, co w życiu naprawdę się liczy. Teraz...

- Teraz - dokończyła za niego - jest nie inaczej. Moje serce zostało złamane dawno temu. Myślałam, że już nie zaznam ponownie tego bólu.

- Leonor - szepnął.

Uchwycił ją za ramiona.

- Nie dręcz mnie. To niemal tortura.

Zacisnęła usta, żeby się nie rozplakać. Odchyliła głowę, poczuła, że jego podbródek dotyka jej włosów. Zamknęła oczy. Za wszelką cenę musi panować nad sobą. Nie potrafię zatrzymać go przy sobie i zarazem nie zdołam patrzeć, jak odjeżdża, pomyślała Leonor. Przyciągnął ją do siebie, zniżył głowę.

- Jak będę odjeżdżał - szeptał prosto do ucha - weź harfę i zagraj.

- Nie mogę.

- Możesz, a nawet musisz. Jeśli wolą Boga jest, żebym umarł, będę umierał, mając w uszach twoją melodię.

Leonor pokręciła głową. Reynaud objął ją w pasie i odwrócił twarzą do siebie. Chociaż bardzo się starała, nie mogła powstrzymać rozziewającego pierś płaczu. Przywarła do niego, wpiła się kurczowo w metalowe rękawy kolczugi, aż zabolowały ją czubki palców.

- Nienawidzę cię! - Szlochała wtulona w jego płaszcz zakonny.

Zamknęła oczy, ale wyczuła, że Reynaud uśmiechnął się.

- Chwała Bogu - rzekł - bo gdybyś mnie kochała, nie wiem, czy potrafiłbym wytrzymać rozstanie.

Uniosła głowę. Jego usta były wygięte w uśmiechu, ale w pociemniałych oczach lśniły łzy.

- Dlaczego po prostu mnie nie pocałujesz i nie odjedziesz? Dlaczego dręczysz moje serce tym przeciągającym się pożegnaniem? - spytała.

Znała odpowiedź. Ponieważ on jedzie na spotkanie ze śmiercią i wie, że może cię nigdy już nie zobaczyć.

- Przebac, Reynaudzie - szepnęła. Przywołała na twarz niepewny uśmiech. - Bóg rzeczywiście musiał o tobie zapomnieć - zażartowała - bo ja naprawdę cię kocham. Zawsze cię kochałam. Dobrze o tym wiesz.

- Tak. I niech Bóg ma nas oboje w swojej opiece.

Ujął dłońmi jej twarz, pochylił głowę i zawładnął jej ustami.

- Bóg - odezwała się Leonor, gdy odzyskała zdolność mówienia - nie zrobi nic w naszej sprawie. Zostawia to nam.

Reynaud ponownie ujął w dłonie twarz Leonor i poszukał jej ust. Jego wargi były słodkie jak doprawiane miodem wino, miękkie i soczyste niczym dojrzałe śliwki. Oderwał je wreszcie i z nieartykułowanym jękiem przycisnął Leonor do siebie. Czuła pod palcami szkarłatny krzyż naszyty na jego płaszczu.

Po chwili uchwycił ją za nadgarstki i odsunął od siebie. Uśmiech zniknął z jego twarzy, zacisnął usta. Wygiął ramiona Leonor do tyłu tak, że pod cienką koszulą uwi-

doczniły się jej piersi. Jeszcze raz poczuła jego usta na swoich. Ten ostatni pocałunek był jak pieczęć potwierdzająca ich przynależność do siebie.

- Żegnaj - szepnął.

Nie oglądając się, podszedł wielkimi krokami do dębowych drzwi i je otworzył. Leonor stała bez ruchu. Słyszała oddalające się kroki. Metaliczny dźwięk ostróg odbijał się echem od kamiennych ścian zamku. Podbiegła do wąskiego okna i wyjrzała.

Ujrzała go dopiero po chwili. Jego postać wyłoniła się z ocienionych odrzwi. Wyszedł na dziedziniec. Czekał na niego giermek, przytrzymujący obiema rękami wodze szarego rumaka. Reynaud odebrał od niego wodze, wsunął stopę w strzemię, wsiadł na siodło i skierował konia w stronę zwodzonego mostu. Zbliżał się do stanowiska straży strzegącej bramę. Leonor, tłumiąc płacz, rzuciła się do drzwi, pędem pokonała wąskie schody i wybiegła na dziedziniec. Poczowała zimny bruk pod bosymi stopami.

- Reynaudzie!

Zachwiał się na dźwięk jej głosu, pociągnął do siebie wodze i zatrzymał konia.

- Reynaudzie, poczekaj!

Dobiegła do wierzchowca i uniosła ramiona. Reynaud schylił się, objął ją w pasie, posadził przed sobą. Przyciągnęła jego głowę do siebie.

- Wracaj do mnie - szepnęła błagalnie wprost w jego usta.

- Gdybym mógł dobić targu z Bogiem, oddałbym mu swoją duszę w zamian za pewność przeżycia i powrotu do ciebie. Ponieważ nie zanoszę się na to... - Urwał i zanurzył twarz w jej rozwianych wskutek biegu włosach. - Jeśli natychmiast nie odjadę, nie będę już miał duszy, o którą mógłbym próbować się targować z Bogiem.

Leonor wiedziała, że chciał, by roześmiała się z jego żartu. Próbowwała, lecz zupełnie nie mogła zapanować nad swoimi ustami, drżały, jakby była bliska płaczu. Nie patrząc na nią, owinał sobie wokół palca jedwabną tasiemkę, która przytrzymywała pod szyją jej koszulę, szarpnął, oderwał ją i wetknął sobie pod płaszcz. Następnie ostrożnie spuścił Leonor na ziemię.

Kolana się pod nią ugięły. Spojrzała na twarde, zimne kamienie, za wszelką cenę starając się nie upaść. Zachowała równowagę. Spojrzała w górę i nawet udało się jej uśmiechnąć.

Reynaud przyłożył dłoń do serca, potem do ust, wreszcie do czoła, tradycyjnym arabskim gestem, wyrażającym respekt. Dał rumakowi sygnał, by ruszał stępa.

Leonor nie odrywała od niego wzroku dopóty, dopóki nie rozpląnął się na tle różowo zabarwionego wschodniego nieba.

- *Ila liqa* - szepnęła do siebie - do zobaczenia. Zaczęła się gorączkowo modlić do Boga, by sprowadził go z powrotem. *Ma'a salaama*, mój Reynaudzie. Pokój z tobą.

## Rozdział szesnasty

Benjamin złożył na pół notatnik, owinął go w dwie warstwy nawoskowanego pergaminu i schował w worku podróżnym. Wbrew starości, pomimo sztywnych stawów, bolących pleców i wykrzywionych nóg zachował bystry rozum, który pracował lepiej niż u niejednego człowieka w kwiecie wieku. Był za to wdzięczny losowi. W przeciwnym wypadku jego życie byłoby bezużyteczne niczym pęknięty garnek.

Zamierzał się wybrać w podróż. Galerana nie widziano w zamku od dwóch dni. Krążyła plotka, że uciekł. Chłopiec był jedynym synem hrabiego Rogera z Carcassonne, który przysłał chłopca na naukę rycerskiego rzemiosła do Moyanne, do swojego brata, hrabiego Henryka.

Prawdopodobnie giermek wrócił do ojcowskiego domu. Instykt podpowiadał Benjaminowi, że nie tylko Galeran, lecz również Leonor przebywa w Carcassonne. Czuł wielką słabość do swojej podopiecznej. Mawiał, że przeznaczone dla niej miejsce w jego sercu jest miękkie jak pasta z daktyli.

Obrzucił ostatnim spojrzeniem pokój, który opuszczał. Zawinał pióra do pisania w kawałek pergaminu i umieścił je w sakwie wraz z innymi rzeczami, w które zaopatrzył się z rana - okrągłym bochenkiem, kawałkiem sera zapakowanym w nasączoną woskiem ściereczkę, suszoną rybą i poplamionym tomem arabskiej poezji. Wcześniej wszył w czarny płaszcz podróżny tyle złotych dinarów, że wystarczyłoby ich na kupno statku.

Leonor drgnęła, czując na ramieniu dotknięcie drobnej dłoni Jannet. Młoda kobieta coś do niej mówiła, lecz Leonor nie rozumiała ani słowa z powodu panującego przy stole hałasu - głośnych wybuchów śmiechu, szczęku talerzy i brzęku kielichów.

W związku z mającym się odbyć turniejem do zamku napływali liczni goście: rycerze i szlachetni panowie z okolicy. Wszystkie pomieszczenia były zatłoczone do ostatniego miejsca, nawet w wielkiej sali rycerskiej goście układali się do snu pokotem na posadzce.

- Nie zgłosisz się do konkursu? - powtórzyła Jannet.

- Jakiego konkursu? - zdziwiła się Leonor.

- Jak to jakiego? Naturalnie, konkursu trubadurów. Nie wspominałam ci o nim?

Jannet niespecjalnie miała Leonor za złe jej roztargnienie. Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Zlituj się, o czym tak dumasz? Rokrocznie, gdy Roger organizuje turniej rycerski, ja ogłaszam konkurs dla minstrelów i trubadurów. Przybywają nawet z daleka.

Leonor skinęła głową, aby sprawić wrażenie, że słucha z uwagą.

- Konkurs zaczyna się pojutrze, po pierwszej konnej potyczce - ciągnęła Jannet. - Występy będą trwały podczas turnieju. Któregoś roku gościliśmy u siebie nawet wielkiego Bernarda de Ventadorna z dworu Eleonory Akwitańskiej w Poitiers!

- Doprawdy? - bąknęła z roztargnioną miną Leonor.

Tym razem Jannet poczuła się lekko urażona.

- Mam zgadnąć, gdzie błądzą twoje myśli?

- Wybacz, hałas mnie rozprasza.

- Nieprawda, droga przyjaciółko. To nie hałas jest temu winny. Dowiedziałam się, że przystojny templariusz wyjechał. Roger mówi, że to nie moja sprawa, ale trudno nie zauważyć nieobecności takiego niezwykłego rycerza, prawda? - Jannet zawiesiła głos, czekając na reakcję Leonor. - Prawda? - powtórzyła, nieco zniecierpliwiona. - Ach, czerwienisz się! Chodź, pójdziemy na moje poddasze, z dala od tego gwaru. Porozmawiamy w cztery oczy. O ile skończyłaś wieczerzę - zreflektowała się.

Leonor spojrzała na talerz z kurą z cynamonowym nadzieniem, gotowaną zieloną fasolą, porami i grzybami. Nie tknęła niczego.

- Skończyłam.

Jannet wstała.



- Mam na górze trochę kandyzowanej pigwy, którą chowam przed Rogerem. On za nią przepada. Popijemy ją winem z korzeniami. Chodźmy!

Leonor, chcąc nie chcąc, roześmiała się. Ona nie chowałaby słodyczy przed Reynaudem. Przeciwnie, sama by go nimi karmiła, a po każdym kęsie sprawdzałaby, jak słodkie są jego usta.

Właściwie rozmowa z Jannet dobrze jej zrobi, uznała, nawet jeśli miałyby się ograniczyć do wymiany zdań na temat ściągów stosowanych w haftach i cen igieł z Toledo. Zapewne porozmawiają także o konkursie trubadurów. Dlaczego nie miałyby wziąć w nim udziału? Gra na harfie złagodzi udrękę oczekiwania.

Skłoniła się z uszanowaniem hrabiemu Rogerowi, podała dłoń Jannet. Zgodnie ruszyły na górę.

Benjamin zatrzymał muła przy wjeździe do zamku i podniósł wzrok na kamienne wieże.

- Uff - westchnął z ulgą.

Dłonią osłonił oczy przed palącym porannym słońcem. Na błoni po lewej stronie od wjazdu zauważył rozstawione namioty, a także ogrodzony podwójnym drewnianym płotem plac turniejowy, nad którym powiewały kolorowe jedwabne sztandary. Przygotują turniej! A skoro tak, to przybędzie wielu szlachetnych panów z okolicy.

- Skoro zjadą się panowie, będą i damy oraz pieśni i poezja, a także atmosfera gorąca od uczuć - powiedział do siebie.

Och, stary głupcze, skarcił się w duchu. W twoim wieku nie zawracaj sobie głowy ani turniejami, ani uczuciami. Mimo wszystko wyprostował się w siodle. Przecież wciąż jeszcze żyję. Dopiero w moim wieku człowiek jest w stanie docenić uroki miłości. Dobre wino potrzebuje lat, by dojrzeć. A ser po czasie pleśnieje, niestety.

- Ciekawe, gdzie znajdę w tym olbrzymim zamczysku miejsce, w którym złożę na noc głowę? - zadał sobie głośno pytanie.

Ścisnął kolanami muła, żeby go skłonić do wejścia na drewniany mostek zwodzony. Trzeba odszukać panią tego zamku i wyblagać jakieś schronienie, zanim goście zaj-

mą wszystkie miejsca. Z okazji takiego wydarzenia znalezienie wolnego łóżka może graniczyć z cudem. Nawet dla takiego powszechnie znanego uczonego męża jak on.

Przejeżdżając przez posterunek straży, Benjamin nie omieszkał na znak szacunku przyłożyć dwóch palców do głowy.

Godzinę później wygodnie rozlokowany w ciasnej, ale czystej komórce przylegającej do kuchni, Benjamin skierował myśli ku Leonor. Pani Jannet zapewniła go, że ujrzy ją podczas wieczornej biesiady. Zagra zgromadzonym na harfie, jako że będzie się odbywał konkurs trubadurów.

- Jest bardzo zdenerwowana występem, więc jeśli przywozisz, uczonego mężu, wieści z Moyanne, trzymaj się od niej z dala do jutra rana.

Benjamin nie miał żadnych wiadomości, z wyjątkiem tej o Galeranie. Bez wątpienia chłopiec jest już w Carcassonne ze swoim ojcem, hrabią Rogerem. Mając umysł zaprzątnięty myślami o Leonor, Benjamin zapomniał zapytać żonę hrabiego o chłopaka. Z zadowoleniem zuł chleb i ser przysłany mu przez panią zamku i z przymkniętymi oczami przygotowywał się do wieczornych modłów.

Z balkonu na poddaszu Leonor i Jannet obserwowały barwny korowód rycerzy w paradnych strojach, giermków i zbrojnych pachołków, a także szlacheckich panów w bogato haftowanych jedwabnych tunikach i aksamitnych płaszczach, a nawet duchownych w prostych brązowych habitach, nieprzerwanie ciągnący od bram zamkowych. Widowisku towarzyszył chrzęst broni i stukot kopyt końskich o bruk. Hrabia Roger na wewnętrznym dziedzińcu wydawał polecenia dotyczące ostatnich przygotowań do turnieju.

Przed zapadnięciem zmierzchu wszystko było gotowe na otwarcie zawodów w dniu następnym. Leonor, posadzona obok Jannet przy głównym stole, brała do ust kawałki kuropatwy i porów w sosie imbirowym i z mieszaniną rozbawienia i ciekawości przyglądała się hrabiemu Rogerowi.

Dwoił się i troił, witając przyjaciół, panów z zamków sąsiadujących z Carcassonne, biskupów w purpurowych szatach, przybyłych aż z Béziers, i opata z pobliskiego klasz-

toru benedyktyków. W pewnej chwili Leonor usłyszała, jak gromi młodzieńca, który przyniósł mu jakąś wiadomość.

- Co powiadasz? Nie wysyłałem wyzwania rycerzom z Tuluzy! Twierdzisz, że przybędą ze swoimi damami? Po co, na wszystkich świętych w niebie?

- Przybędą na turniej, panie.

Wysłaniec był odziany w niebiesko-złote barwy Tuluzy. Starał się zachować godną postawę, drżące dłonie schował pod krótką tuniką.

- Jak zapewne wiesz, szlachetny panie, wielu rycerzy nosi szarfę swojej damy na hełmie. Panie z Tuluzy chcą patrzeć, jak ich rycerze będą zwyciężać ku chwale swoich dam.

- Zamierzają zwyciężyć?! Z moimi rycerzami?! Najlepszymi rycerzami w Langwedocji? - Hrabia rozejrzał się po sali, w której ramię przy ramieniu zasiadał przy stole kwiat francuskiego rycerstwa. - Co powiesz, człeczce - grzmiał hrabia - jeśli już po pierwszym dniu turnieju piękne panie z Tuluzy będą słały uśmiechy do naszych rycerzy, a nie do tych, z którymi przybyły?

Po sali przeleciał okrzyk aprobaty dla słów hrabiego. Jannet popatrzyła znacząco na Leonor, kręcąc głową.

- Mężczyźni są jak dzieci, nie uważasz?

- *C'est bien!* - skwitował hrabia reakcję rycerstwa. - A ty nie zapominaj - zwrócił się do wycofującego się wysłannika - że wszyscy rycerze muszą do jutra do południa zgłosić heroldowi, pod jakimi barwami występują. Swoje tarcze mają wystawić na nasz ogląd na podwórcu, inaczej zostaną zdyskwalifikowani.

- Masz rację - zauważyła Leonor. - Wydaje się, że oni wiecznie szukają sposobności do bitki.

Jannet uśmiechnęła się, ukazując urocze dołeczki w policzkach.

- Nawet pokojowa demonstracja rzemiosła wojennego, *joust á pleasance*, jest traktowana z wielką powagą, choć pod fasadą ceremoniału.

- Na szczęście Reynaud nie stanie w szrankach. Z pewnością rycerze z Tuluzy chcieliby pomścić śmierć hrabiego Arnauda. Reynaud zabił go przypadkiem podczas turnieju w Ziemi Świętej - wyjaśniła Leonor.

- Mógłby stanąć do pojedynku w przebraniu. Podejrzewam, że nie wyjechał dla przyjemności. Idę o zakład, że tę wyprawę może przypłacić życiem.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Leonor. Odłożyła nożyk do owoców na stół obok drewnianego talerza. Paradny turniej w Carcassonne z udziałem rycerzy i towarzyszących mu występów wędrownych artystów jest niczym w porównaniu ze śmiertelnie niebezpiecznym zadaniem, jakie miał do wykonania Reynaud. Nie walczył o sławę czy honor. Wypełniał sekretną i niebezpieczną misję, do czego zmuszała go złożona przysięga.

Od paru dni, które upłynęły od wyjazdu Reynauda, Leonor nie przestawała o nim myśleć. A jeśli został ranny i pozostawiony bez pomocy? A może jest umierający? Dlaczego nie wyjawiał jej, dokąd zmierza?

- Przestań ciągle się nad tym zastanawiać - upomniała ją Jannet. - Pomyśl o czymś innym. Na przykład o harfie. Staniesz do rywalizacji z trubadurami. Wystąpisz jutro wieczorem.

Harfa znajdowała się w sypialni. Była nastrojona i gotowa do użytku. Leonor nie zależało na wygraniu rywalizacji. Chciała tylko dobrze zagrać, żeby poruszyć serca słuchaczy. Poza tym muzyka ją samą podnosiła na duchu. Łagodziła wszelkie rozterki.

Nie mogła dłużej usiedzieć przy stole. Przeprosiła Jannet, ukloniła się hrabiemu Rogerowi i wymknęła z sali. Wąskimi spiralnymi schodami pobiegła do swojej sypialni usytuowanej na trzeciej kondygnacji zamku. Pod drzwiami zatrzymała się, żeby odzyskać oddech, odciągnęła zatrzask i pchnęła ciężkie dębowe skrzydło.

Harfa znajdowała się na swoim miejscu pod oknem. Błyszczała w świetle bijącym od ognia na kominku. Leonor wykonała krok w kierunku instrumentu.

Czyjaś ręka uwięziła jej nadgarstek.

- Nie krzycz, pani, bo będę musiał uciec się do przemocy - rozległ się groźnie brzmiący męski głos.

Leonor strach chwycił za gardło. Rozpoznała Bernarda z Rodez. Znieruchomiała i jak urzeczona wpatrywała się w jego nieruchome niebieskie oczy.

- Puść mnie! - Uginały się pod nią kolana, ale udało się jej nadać głosowi stanowcze brzmienie.

- Nic z tego, moja pani. Raczej pogruhoczę ci kości - ścisnął jej rękę jeszcze mocniej - za tę bezcelową przejażdżkę, na którą mnie wyprawiłaś.

Leonor wszelkimi siłami starała się nie okazywać, jak bardzo przeraża ją niechciany gość.

- Powtarzam, puść mnie. Jeśli tego nie uczynisz, złożę na ciebie skargę i zostaniesz zdyskwalifikowany z udziału w turnieju za obrazę honoru damy.

Bernard z Rodez warknął groźnie, ale uwolnił dłoń Leonor.

- Jutro na oczach wszystkich gości turniejowych zabiję twojego templariusza. Potem rozprawię się z tobą. Są sposoby, żeby cię ukarać za podstęp, którego się dopuściłaś. Żaden nie będzie przyjemny.

Leonor przebiegł po plecach lodowaty dreszcz. Bądź ostrożna, nakazała sobie w duchu. Ten człowiek jest naprawdę bardzo groźny. Rozcierała obolały nadgarstek.

- Gdzie on jest? - zapytał Bernard z Rodez.

Leonor zrozumiała teraz, dlaczego Reynaud nie powiedział jej, dokąd powadzi go jego misja. Niewiedza stanowiła jej tarczę ochronną.

- Nie mam pojęcia.

- Kłamiesz.

- Nie kłamię - stwierdziła. - Nawet gdybym wiedziała, to bym ci nie powiedziała.

- Wkrótce zaczniesz śpiewać na inną nutę! Wyjechał, tak? Dokąd? No cóż, to bez znaczenia. W gruncie rzeczy lepiej ze względu na to, co ja dla ciebie szykuję.

Leonor czuła, że traci rezon.

Szpitalnik uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Chyba nie przypuszczasz, że unikniesz kary za swój nędzny podstęp?

Zaczął się bawić rękojeścią sztyletu, który zwykł nosić zatknięty za szeroki skórzany pas. Nie spuszczał z Leonor złego spojrzenia.

- Radzę ci po dobroci: uważaj, jak ze mną postępujesz - ostrzegł.

Leonor zdobyła się na odwagę.

- To ty uważaj, kuzynie. - Położyła nacisk na ostatnie słowo. Rzeczywiście byli spowinowaceni poprzez małżeństwo jej ciotki z jego ojcem. - Jeśli jutro złożę protest

umotywowany twoim niehonorowym zachowaniem, zostaniesz wyrzucony na oczach wszystkich, którzy przyjechali na turniej.

Triumfalny uśmiech zniknął z twarzy Bernarda. Leonor zorientowała się, że jej groźba skutkuje. Reputacja wiele dla niego znaczyła.

- Jeszcze zobaczymy, moja pani. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Serce Leonor biło jak szalone. Mimo to nieporuszona obserwowała, jak postawny rycerz cicho podchodzi do drzwi, otwiera je i znika.

## Rozdział siedemnasty

Dzień rozpoczęcia turnieju wstał bezchmurny i bezwietrzny. Do południa nad błonem u podnóża zamku zrobiło się gorąco. Poprzez męskie nawoływania, rżenie koni, krzyki rozdokazywanej wiejskiej dzieciarni i przeraźliwie wysokie dźwięki drewnianych piszczałek narastał cienki, metaliczny odgłos uderzeń młotków płatnerzy.

Odświętnie ubrani szlachetni panowie i rycerze wchodzili i wychodzili ze szmaragdowych i niebieskich namiotów, z których dachów sterczały w niebo maszty z kolorowymi sztandarami rycerskimi, zwisającymi obecnie smętnie w ciężkim, upalnym powietrzu. W płuca Leonor wciskał się kurz, zapach perfum, końskiego nawozu i ludzkiego potu.

Tłum kupców, wędrownych grajków, pielgrzymów, wieśniaków, domokrażnych handlarzy wina i łakoci przewalał się poza podwójnym rzędem ostro zaostzonych słupów wbitych z ziemię. Otoczone palisadą pole turniejowe było przez środek podzielone na dwie części owiniętą wojłokami drewnianą barierą, umieszczoną na wysokości końskiej łopatki. Paziowie polewali z cebrzyków zasłany trawą piasek, aby ograniczyć kurz.

Na środku pola wznosił się drewniany pawilon dla dam odzianych w barwne stroje z kosztownych adamaszków i jedwabów. Mnogość kolorów oszałamiała.

Paziowie pomagali swoim panom wdziewać watowane ubrania ochronne, na które następnie były wciągane kolczugi. Konie okryte szkarłatnymi, zielonymi i złotymi jedwabnymi czaprakami rżały i niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę w oczekiwaniu na jeźdźców

Leonor siedziała na trybunie obok Jannet, raz po raz ocierając oczy z drażniącego spojówki kurzu. Była szczęśliwa, że Reynauda tu nie ma. Ile razy o nim pomyślała, tyle razy bezwiednie zaciskała ze zmartwienia usta. Przeżyje. Musi przeżyć!

Na odległym krańcu dziedzińca herold strojny w czerwoną tunikę obszytą szlakiem z czarnego jedwabiu wykrzykiwał imię każdego rycerza, który prezentował swoją tarczę przy wtórze miedzianych trąbek, wygrywających ogłuszające fanfary.

- René z Noyon.

- Gisbert z Clary z siostrzeńcem Jeanem.

- Baudoin z Béziers.

- Bernard z Rodez, syn Henryka, hrabiego z Moyanne, pan na zamku Rodez.

Leonor ucieszyła się, że Bernard z Rodez bierze udział w turnieju w Carcassonne, albowiem znaczyło to, że nie pojedzie szukać Reynauda. A może nie ma z czego być zadowolonym? Zadrzała, przypominając sobie groźbę: „Lepiej ze względu na to, co ja dla ciebie szykuje”. Zamknęła oczy i pomodliła się w duchu. Kiedy je otworzyła, herold wzywał do opróżnienia pola dla pierwszego starcia.

Rozległa się ogłuszająca fanfara. Herold wkroczył na środek pola.

- Cisza! - wykrzyknął. - Rozpoczynamy turniej!

Bernard z Rodez precisnął się do pierwszego rzędu pretendentów, gotów rzucić wyzwanie wywołanemu rycerzowi.

- Baudoin z Béziers - ogłosił herold. - Wyzwanie rzuca Bernard z Rodez.

Zagrały rogi, obaj rycerze wyjechali z szeregu. Ich konie niecierpliwie grzebały w piachu kopytami. Rozjechali się w przeciwne strony, zajmując pozycje na końcach pola, rozdzieleni owiniętą wojłokiem barierą. Obaj mieli na sobie sięgające poniżej kolan kolczugi, a na głowach hełmy z poziomym rozcięciem na wysokości oczu. Na tarczach widniały ich herby. Tylko to różniło od siebie rycerzy biorących udział w turnieju, albowiem poza tym wszyscy wyglądali podobnie. Jeden miał przyczepioną do pióropusza na czubku hełmu pasową wstążkę, zapewne należącą do jakiejś damy.

Rycerze złożyli przysięgę, że będą walczyli honorowo, a następnie uchwycili w dłonie kopie podane przez giermków.

Poprzedniego wieczoru Leonor siedziała naprzeciwko Baudoina z Béziers. Miała okazję mu się przyjrzeć. Był mężczyzną słusznego wzrostu, o szpakowatej, bujnej czuprynie. Milczący, poważny człowiek w mocno dojrzałych latach. Odniosła wrażenie, że krępowało go towarzystwo kobiet podczas biesiady. Bez powodzenia próbowała nawiązać z nim rozmowę.

Obecnie groźna postać w kolczudze, o której tożsamości świadczył jedynie nałożony na kolczugę bezrękawnik w barwach Béziers - czarnej i złotej - w niczym nie przypominała nieśmiałego mężczyzny, którego Leonor obserwowała podczas wieczornej uczyty.

Baudoin z Béziers uchwycił kopię. Okrytą żelaznym ochraniaczem dłonią opuścił przyłbicę. Dał znak głową, że jest gotowy.

- *En joue.*

Konie ruszyły galopem z przeciwległych końców biegnącej środkiem pola bariery. Jeźdźcy unieśli kopie i wymierzyli ich ostrza w stronę przeciwnika.

W mgnieniu oka było po wszystkim. Béziers przeokoziółkował w powietrzu i spadł z wierzchowca twarzą ku ziemi. Jego giermek puścił się biegiem ku swojemu panu, za nim zdążał młody Jean z Clary. Leonor przypuszczała, że młodzieniec bardzo niedawno musiał być pasowany na rycerza, jego ostrogi bowiem błyszczały jak nowe.

- Przeciwnik strącony z konia w pierwszym przejeździe - ogłosił herold. - Trzy punkty dla Bernarda z Rodez.

Leonor zauważyła, jak szpitalnik uniesioną w górę ręką odpowiada na aplauz tłumu, podczas gdy Béziers, kulejąc, opuszczał pole, na które natychmiast wybiegli pacholki z cebrzykami wody, żeby nawilżyć jego powierzchnię.

Zapach wilgotnej ziemi mieszał się z kwiatowym aromatem perfum dam oraz wonią końskiego i ludzkiego potu. Leonor uświadomiła sobie, że walka, jaką być może toczył w tej chwili Reynaud, nie miała nic wspólnego z turniejową potyczką. Prawdziwej walce towarzyszyły zapach krwi i odór śmierci. Postanowiła o tym nie myśleć. Skupiła się na obserwacji młodego Jeana z Clary. Młodociany giermek, młodszy niż pan, któremu służył, pomagał Jeanowi uzbroić się do starcia. Podał mu rękawice, a następnie ciężki hełm, pod którym zniknęły czarne włosy rycerza.



Jean z Clary opuścił przyłbicę.

- Jean z Clary rzuca wyzwanie Bernardowi z Rodez - ogłosił herold.

Młody rycerz uniósł kopię, to samo zrobił Bernard z Rodez.

Leonor pomyślała, że to nie w porządku. Doświadczony wojownik nie powinien stawać w szrankach naprzeciwko niezaprawionego w wojennym rzemiośle. Łamało to niepisany kodeks honorowy, regulujący przebieg tego rodzaju widowisk. Być może Bernard da młodemu przeciwnikowi fory.

Na dany sygnał młodzieniec wbił ostrogę z boku swojego konia, który skoczył do przodu. Clary nakierował kopię w pierś przeciwnika. Ostrze z trzaskiem uderzyło w tarczę Rodeza, ześlizgnęło się z niej i trafiło go w ramię. Rodez zachwiał się, lecz nie spadł od razu. Utrzymał się w siodle do momentu, gdy jego koń osiągnął granicę pola, dopiero tam osunął się na ziemię.

Okrzyk widowni wzbił się pod niebo. Jean z Clary podjechał do trybuny sędziów, zdjął hełm i skłonił głowę. Miał świecąca, pozbawioną zarostu twarz. Leonor zauważyła, że trzęsły mu się wargi, z trudem powstrzymywał uśmiech triumfu.

Tymczasem Rodez zdążył ponownie dosiąść swojego wierzchowca. Hełm trzymał pod pachą. Znany dobrze Leonor okrutny uśmiech zagościł na jego twarzy. Włożył ciężki hełm na głowę i ze złowieszczym kliknięciem opuścił przyłbicę. Pochwycił kopię, dał ostrogę koniowi i z wielkim impetem ruszył na Jeana z Clary.

Leonor wstrzymała oddech. Rodez nie zczekał na sygnał herolda! Młody Jean, zaskoczony atakiem, nie zdążył nawet wprawić w ruch konia. Nie mogła na to patrzeć. Zamknęła oczy. Widownia wydała głośny okrzyk. Leonor uniosła się z ławki i zaryzykowała spojrzenie na pole turniejowe. Jean z Clary leżał na ziemi. Zanim Bernard zawrócił konia, by wykonać drugi przejazd, młody rycerz zdążył stanąć na nogi. Jego giermek podał mu pospiesznie miecz akurat w chwili, gdy Bernard galopował ku niemu z kopią wycelowaną prosto w serce.

Jean odskoczył do tyłu, kopia Bernarda wbiła się w twardo ubitą ziemię.

- Wbrew przepisom! - rozległy się okrzyki z widowni.

Rodez nie zważał na nic. Leonor ze zgrozą patrzyła, jak zawraca konia i jeszcze raz cwałuje prosto na Clary'ego. Gdy koń znalazł się tuż przed nim, Jean odskoczył w bok.

Rodez mocno ściągnął wodze wierzchowca, który stanął dęba, bijąc w powietrzu kopytami. Jean dostrzegł swoją szansę. Obiema rękami złapał Bernarda za nogę w okolicy kolana i pociągnął z całych sił.

Bernard stracił równowagę. Jean złapał go za szyję i ściągnął z siodła.

Tłum oszalał z radości.

- Zuch! - zawołał ktoś siedzący obok Leonor.

Hrabia Roger skoczył na równe nogi.

- Zgodne z zasadami! - krzyknął. - Rodez jest wysadzony z siodła!

Herold postawił znak na tablicy wyników.

- Trzy punkty dla Jeana z...

Jego głos utonął we wrzawie, która zerwała się nagle na trybunach.

- Uważaj! Patrz w lewo!

Giermek wsunął miecz w prawą dłoń Rodeza. Ten z furiackim okrzykiem uniósł go nad głowę i spuścił w dół.

## Rozdział osiemnasty

Ostrze dosięgło Jeana z Clary powyżej mostka. Rodez odgarnął końcem miecza cienki wierzchni płaszcz i bez najmniejszego wahania wsunął je w lukę w zbroi. Miecz zazgrzytał o kolczugę, którą Jean miał pod spodem. Młodzieniec zatoczył się w tył, upadł na kolana, złapał się dłonią za pierś, potem podparł się nią o ziemię. Dłoń była zboczona krwią. Z tłumu odezwały się okrzyki zdziwienia, po nich jednak zapanowała pełna konsternacji cisza. Miecz Rodeza nie był stępiony, jak nakazywały reguły.

- *Pauvre petit* - szepnęła Jannet, wbijając palce w ramię Leonor.

- Poddaj się! - krzyknął z widowni do siostrzeńca Gisbert z Clary. - Ratuń życie!

- Zdyskwalifikować Rodeza! - zażądał ktoś inny.

- Ukarać! Ukarać! - narastało chóralne żądanie.

- Zbadać jego miecz! Usunąć go ze szranki! Przerwać potyczkę! - padały kolejne okrzyki.

Obojętny na reakcję widowni, Rodez podszedł do młodzieńca i zerwał mu z głowy hełm.

- Nikt - syknął - kto stracił mnie z konia, nie będzie chodził po świecie, żeby się tym chełpić.

Słowa były doskonale słyszalne na trybunie sędziowskiej

Jannet nachyliła się do hrabiego Rogera.

- Mężu, zatrzymaj to. Rodez go zabije.

- Nie, moja droga - uspokoił ją hrabia. - Rodez udzieli tylko nauczki chłopcu.

- Mylisz się! - Jannet była gotowa przeciwstawić się publicznie mężowi. - On na tym nie poprzestanie. Ja to słyszę w jego głosie.

Hrabia Roger popatrzył na nią z uwagą, potem w stronę pola. Uniósł dłoń, żeby dać znak heroldowi.

Dźwięk trąbki rozległ się w powietrzu w chwili, kiedy Rodez dotknął końcem miecza gardła Clary'ego. Naciskał tak długo, aż zmusił młodzieńca do położenia się na plecach. Młody rycerz patrzył szeroko rozwartymi z przerażenia oczami na pochylającą się nad nim potężną postać.

Zapadła cisza, którą przerwał ochryply głos herolda.

- Ogłaszam starcie za...

Za późno. Rodez pchnął. Głowa Clary'ego przekreśliła się na bok. Krew buchnęła z przeciętego gardła.

Leonor krzyknęła. To nie turniej! To najzwyklejsze morderstwo! Nagle ogłuchła na otaczającą ją wrzawę, zgasły kolory wypełniające trybunę. W ostatnim przebłysku świadomości przytrzymała się barierki, inaczej byłaby upadła. Bernard z Rodez zabił młodego rycerza z zimną krwią! I zrobił to z widoczną przyjemnością!

Świat wirował. Pawilon z gośćmi turniejowymi, łąka zastawiona kolorowymi namiotami, konie ubrane w bogate rzędy. Dusila się jak ryba wyjęta z wody. Oblewał ją zimny pot. Przechyliła się nad barierką i zwymiotowała.

Reynaud miał rację. Świat rzeczywiście jest okropny.

Wstrząśnięta bezsensowną śmiercią młodego Clary'ego, uciekła do swojej sypialni. Rzuciła się na łóżko. Wtedy zauważyła, że nie jest sama.

- Benjamin? - Usiadła zdumiona. - Co tu robisz?

Starzec podniósł się z jedyne go krzesła, jakie było w pokoju, i po chwili Leonor schroniła się w jego ramionach. Szlochając, opowiedziała mu, co się wydarzyło podczas turnieju.

- Nie płacz, maleńka. - Pogłaskał ją kościstą dłonią po plecach.

- Och, Benjaminie, to nie wszystko - płakała. - Jest coś więcej. Reynaud i ja...

- Nic nie mów - wyszeptał. - Wiem. Nie jestem jeszcze taki stary, żeby nie widzieć tego, co mam przed oczami.

- A teraz on wyjechał z misją dla templariuszy, a ja boję się o jego życie.

- Co to za misja? Dokąd się udał?

- Nie wiem. Nie chciał powiedzieć. A ten okropny człowiek, Bernard z Rodez...

- Widziałem. Zabił młodego rycerza. Wiem, co czujesz. Poszedłem prosto do twojego pokoju.

- Benjaminie, co mam robić?

- Moje ty serduszko, każdy robi, co musi i co może. Wiem, że dzisiaj wieczorem będą ze sobą rywalizowali trubadurzy. Ty zapewne...

- Nie mogę. Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, nie potrafię. Nie ma we mnie muzyki, tylko ciemność.

- Taki jest świat. Mimo wszystko potrzebne są pieśni mówiące o rzeczach, o których bez nich byśmy zapomnieli. Słowik nie milknie na polu bitwy, moja kochana Leonor. Musi śpiewać tym głośniejsze. O tym marzyłaś, prawda? Chciałaś śpiewać? Oparła mu głowę na piersiach.

- Masz rację - szepnęła. - Jak zawsze.

Benjamin dotknął ustami jej czoła.

- W końcu zaakceptowałaś tę oczywistą prawdę. Muszę poszukać tego małego nicponia, Galerana. Uważaj na siebie, Leonor. Rodez jest nieprzewidywalny.

Benjamin ruszył ku wyjściu, gdzie omal nie wpadł do okrągłej dębowej kadzi, którą służba wносиła do pokoju Leonor. Za kadzią cztery dziewczki kuchenne dźwigały cebrzyki wypełnione gorącą wodą. Przysłała je Jannet.

Po kąpieli Leonor leżała bezsennie do zachodu słońca. Potem wstała i zaczęła się apatycznie ubierać. Suknię z różowego jedwabiu przepasała złotym łańcuchem. Bez entuzjazmu zeszła na wieczorny posiłek.

W wielkiej sali zamkowej panowała atmosfera przygnębienia. Rycerze, panie z Carcassonne i goście z Tuluzji jedli w milczeniu. Wszyscy, z wyjątkiem hrabiego Rogera, za dużo pili. Po sali przelatywał szmer niezadowolenia. Jannet spoglądała pytająco na męża, ale on nic sobie z tego nie robił.

- Nie martw się - szepnął do żony. - Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej na turniejach. Ubolewam nad tym, ale nikogo nie mogę oskarżać.

- To nieprawda - mówiła do ucha Jannet Leonor. - Należy oskarżyć Bernarda z Rodez. Dlaczego nikt nie powie tego na głos?

- Nie wiem - odparła Jannet.

Leonor zmierzyła poważnym wzrokiem przyjaciółkę.

- Tak właśnie zaczynają się wojny. Odosobniony incydent jak ta bezsensowna śmierć młodego rycerza daje pożywkę drzemającej rywalizacji i zanim minie rok, ludzie będący niegdyś przyjaciółmi i sojusznikami, zbroją się przeciwko sobie.

- Śmierć młodego Clary'ego była bezsensowna - przyznała Jannet. - Rodez złamał zasady. To potwór.

Leonor pomyślała, że lepiej by było, gdyby Reynaud nie wrócił dopóty, dopóki Bernard przebywa w Carcassonne. Wiedziała o rywalizacji templariuszy ze szpitalnikami. Co gorsza, gdyby doszło do wybuchu osobistej animozji między Rodezem a Reynaudem, skończyłoby się to walką na śmierć i życie.

Siedziała odrętwiała, obojętna na to, co działo się na sali. Nie mogła odżalować Clary'ego, bała się o Reynauda. Nie słyszała, jak herold wywołał do występu pierwszych trubadurów.

Jannet delikatnie trąciła ją w ramię.

Leonor zauważyła, że na środek wychodzi dwóch mężczyzn z przewieszonymi przez ramiona instrumentami. Jak mogą myśleć o śpiewaniu po tym, czego byli świadkami? - zadała sobie w duchu pytanie. Ona za nic w świecie nie utrzymałaby w drżących rękach harfy, nie mówiąc już o wydobywaniu z niej dźwięków.

Pierwszy harfista podszedł dumnym krokiem do herolda. Był ubrany na czarno, tylko z szyi zwisał mu na piersi na złotym łańcuchu wielki złoty medalion. Kręcone blond włosy opadały do ramion. Sądząc po westchnieniach dam, jakimi został przyjęty, musiał być postacią popularną. Może to właśnie on śpiewał na dworze królowej Eleonory? Jeśli tak, to jest się od kogo uczyć.

- Brian St Clare - przedstawił się heroldowi - z hrabstwa Orkadów.

Leonor zauważyła, że harfa trubadura z dalekiej północy miała struny ze srebrnego drutu.

Drugi harfista, w brązowej połatannej i powycieranej szacie, przypominałby raczej braciszka zakonnego z jakiegoś zakonu żebraczego, gdyby nie pulchne ciało, na którym nędzny strój niemal pękał w szwach.

- Mnie zowią Andreas - oznajmił ze swobodą. - Pochodzę... znikąd i zewsząd... łaskawi panowie i łaskawe panie. - Puścił oko w stronę dam. Tłuste, czerwone policzki pokrył uśmiech.

Niezły kuglarz, pomyślała Leonor. Chyba zna wiele pieśni z różnych zakątków. Ciekawe, czy zna też *zajal*, arabską melodeklamację, którą ona tak bardzo lubiła. W tym momencie Jannet uszczypnęła ją w dłoń.

- Ja także chcę stanąć do rywalizacji, za pozwoleniem hrabiego Rogera - odezwała się Leonor.

- Zezwalam! - krzyknął hrabia. - Słyszałem ją grającą. Gra jak anioł. Stawiam dwadzieścia sztuk złota, że wyjdzie z nagrodą.

Leonor wstała i zwróciła się do herolda:

- Jestem Leonor de Balenguer y Hassam. Pochodzę z Grenady.

Szmer przebiegł po sali.

- Jestem tylko kobietą, ale pragnę zagrać dla hrabiego Rogera i jego dostojnych gości.

- Pani - przebił się poprzez szmer na sali przyjazny głos - swoim wyglądem i muzyką potrafisz zapewne umilić czas w niejednej sali rycerskiej.

To gruby Andreas zachęcał Leonor do występu.

- Dajmy jej szansę - dołączył Brian.

- Zgoda - zdecydował herold. - Ciągnijcie więc losy, zobaczymy, kto wystąpi pierwszy.

Leonor wyciągnęła najkrótszą słomkę, co oznaczało, że wystąpi jako ostatnia.

Jej czas nadszedł szybko. Czowała wewnętrzny niepokój, ale wstała i sięgnęła po harfę. Rozejrzała się po sali. Wszystkie oczy śledziły każdy jej ruch, gdy stroiła instrument. Piersi przygniatał strach. Uniosła wysoko głowę. Ponad morzem głów, w odległym końcu sali, tuż obok drzwi dojrzała czarno ubraną postać.

Benjamin.

Zaśpiewa dwie pieśni i ucieknie do pokoiku na górze, gdzie pozostanie sam na sam ze swoimi myślami, postanowiła. Wzięła głęboki oddech. Dwie pieśni, ale zaśpiewa je najlepiej, jak potrafi. Poskromiła strach, usiadła na niskim stołku i oparła harfę na ramieniu. Uniosła dłonie, oparła je na strunach i wzięła pojedynczy, cichy akord.

- Stójcie! - odezwał się gromki głos spod ściany. - Kwestionuję prawo Leonor de Balenguer y Hassam do występu w przytomności chrześcijan. - Bernard z Rodez wystąpił na środek i rzucił rękawicę u stóp Leonor.

## Rozdział dziewiętnasty

Leonor zeszywniała. Hrabia Roger spojrział surowo na stojącego przed nim potężnego rycerza.

- O czym mówisz, Rodez? Pani Leonor pochodzi, co prawda, z Grenady, ale jest chrześcijanką jak ty czy ja.

- Na wpół chrześcijanką, czy całą chrześcijanką, to bez znaczenia - orzekł Rodez. - Ona jest skazana na piekło.

Leonor wreszcie zdołała przemówić.

- Z jakiego powodu? - zapytała.

- Tak, wyjaśnij to - odezwał się chór kilku głosów.

Leonor patrzyła prosto w zimne oczy Rodeza.

- Z jakiego powodu? - powtórzyła głośnie.

Hrabia Roger walnął pięścią w stół.

- Dość tego, mów!

Bernard z Rodez przez dłuższą chwilę nie raczył spojrzeć na Leonor, wreszcie wygiął usta z mrozącym krew w żyłach uśmiechem.

- Jest skazana na piekło za zabójstwo.

Zabójstwo! Podłoga zakołysała się pod stopami Leonor.

- To ty powinienesz być oskarżony o zabójstwo. Widziałam dzisiejszego dnia na własne oczy, jak zabiłeś młodego rycerza, Jeana z Clary. Jak śmiesz oskarżać mnie o tak nieczyny uczynek!

- Podczas turniejów często dochodzi do śmierci.

W sali wybuchły okrzyki:

- Nieprawda! Tak nie było!

Rodez uciszył protesty uniesioną w górę dłonią.



- Wysłuchajcie mnie, a potem sami osądzicie.

Leonor ogarnął lęk. Zrozumiała, że Bernard musiał uknuć opartą na kłamstwie intrygę, aby odwrócić uwagę od swojego haniebnego uczynku. Spojrzała na pobladłą jak płótno Jannet.

- Mów więc! - zażądał hrabia Roger głosem niezwiastującym niczego dobrego Bernardowi. - Spraw się szybko, żebyśmy mogli wrócić do naszej uczty i rywalizacji trubadurów.

- Powiem krótko - rzekł złowieszczym głosem Bernard. - Leonor z Grenady zabiła chłopca.

Hrabia zerwał się na nogi.

- Jakiego chłopca?

- Twojego syna Galerana.

Hrabia zachwiał się.

- Co powiedziałeś?

- Galerana, mój panie. On nie żyje. Zginął z ręki tej oto damy.

- To nieprawda! - zawołała oburzona Leonor. - Galeran żył i cieszył się dobrym zdrowiem, gdy widziałam go po raz ostatni na zamku w Moyanne. Służył mi z własnej woli.

Bernard z Rodez oskarżycielskim gestem wycelował w jej stronę palec.

- On nie żyje, pani. Został znaleziony martwy pod stosem zwiędłych liści za stajniami swojego stryja, hrabiego Henryka.

- To niemożliwe. To nie Galeran... To musiał być inny chłopiec.

- To nie był nikt inny, jak dobrze o tym wiesz, pani. Jesteś winna jego śmierci.

- Jaki masz dowód?

- Nie potrzebuję dowodu. Słowo rycerza zakonu szpitalników wystarczy.

Leonor spojrzała na ściągnięte rysy twarzy hrabiego Rogera.

- Jestem niewinna - oznajmiła. - Przysięgam przed Bogiem i zgromadzonymi w tej sali rycerzami.

Jannet poderwała się ze swojego miejsca, żeby stanąć u boku Leonor, ale Bernard zagroził jej drogę.

- Ta dama stoi w obliczu oskarżenia ze strony rycerza świętego zakonu. Zgodnie z prawem, powinna dowieść swojej niewinności. Jeśli nie zdoła tego dokonać, czeka ją stos. - Mówiąc to, gładził rękojeść miecza.

- Nie! - krzyknęła Jannet. - Nie dopuść do tego, panie mężu!

Hrabia Roger przetarł dłonią oczy, jakby chciał odpędzić nieprzyjemną wizję.

- Jannet - upomniał żonę - zbliż się do mnie.

- Mężu, wiem, że smutek rozrywa ci serce z powodu śmierci syna - naszego syna, jeśli wolisz - ale Leonor nie ma nic wspólnego z jego zgonem. Wszak pamiętasz, że przybyła do Carcassonne z rycerzem zakonu templariuszy kilka dni temu. Nie mogła...

- Wiem - przerwał jej hrabia. - Pamiętam, lecz obecnie stoi pod zarzutem, a prawo jest jednoznaczne w takim przypadku.

Jannet uchwyciła dłonie męża.

- Rogerze, nie możesz tego zrobić. To niesprawiedliwe.

- Takie jest prawo. Jest winna, dopóki nie udowodni swojej niewinności.

Leonor zaczęła się trząść z przerażenia. Wystarczyło jedno kłamstwo Bernarda z Rodez, a jej życie w mgnieniu oka legło w gruzach. Już ją skazał. Jakże ona zdoła dowieść swojej niewinności w obliczu takiej niegodziwości? To nie dzieje się naprawdę, pomyślała. Zaraz się obudzę i okaże się, że to tylko zły sen. Boże, pozwól mi się obudzić z tego koszmaru, prosiła w duchu.

- Żądam próby ognia! - zagrział szpitalnik.

- Niech o niewinności rozstrzygnie próba walki - odezwał się pojedynczy głos z sali.

Wszyscy odwrócił się w stronę Baudoina z Béziers.

- Stanę w obronie czci pani Leonor - oznajmił rycerz. - Przeciwno każdemu, kto ją oskarża.

Oto znalazł się mój obrońca, ucieszyła się z całego serca Leonor i zaraz się zaniepokoiła. Baudoin był człowiekiem niemłodym i dzisiaj podczas turnieju nie za dobrze mu się powiodło. Jaką ma szansę przeciwko Bernardowi z Rodez?

- Niech tak będzie! - rzucił Rodez. - Heroldzie, zapisz to.

- Co powiesz, mój panie? - wyrwany do działania herold zwrócił się do hrabiego.

- Co? O co chodzi? - Hrabia musiał odbiec myślami od toczących się w jego przytomności wydarzeń.

- Dostojny panie, padło wyzwanie rozstrzygnięcia w walce o winie lub niewinności Leonor de Balenguer y Hassam oskarżonej o spowodowanie śmierci... - herold zawahał się - twojego syna Galerana - dokończył. - Wyzwanie zostało przyjęte. Zgadzasz się, panie?

- Czy się zgadzam? Tak. Niech to rozstrzygnie walka.

Hrabia wstał, wsparł się na ramieniu Jannet i oboje skierowali się ku wyjściu. Leonor chciała krzyknąć o swojej niewinności, gdy para ją mijała. W ostatniej chwili Jannet niedostrzegalnie skinęła w jej stronę głową. Zatem hrabiostwo wiedzieli, że ona nie ma nic wspólnego ze śmiercią Galerana.

Ktoś jednak go zabił. Kto? Bernard z Rodez? Niewykluczone.

Nawet gdy ona dowiedzie swojej niewinności, prawdziwy morderca pozostanie nieznany. Bez względu na wynik walki, Rodez będzie cieszyć się wolnością. Zrećźnie zastawił na nią pułapkę. To trzeba mu przyznać.

A może w całej tej intrydze chodzi o coś więcej? - zastanawiała się Leonor. Może ma to związek z tajną misją Reynauda? Z rywalizacją między obu rycerskimi zakonami, templariuszy i szpitalników, o przewagę we Francji i w Hiszpanii? Oblał ją zimny pot, gdy zrozumiała sedno tej intrygi. Ona była tylko przynętą, która miała ściągnąć Reynauda do Carcassonne po to, by tu zginął.

## Rozdział dwudziesty

Reynaud ściągnął wodze i zatrzymał wierzchowca. Już wcześniej złowił uchem dziwny odgłos. Teraz wyraźnie rozpoznał trzaskanie gałązek. Zatem ktoś za nim jechał. Zsunął się z siodła i klepnął konia w zad. Skryli się za drzewem. Reynaud zaczekał, aż ucichły uderzenia kopyt o grunt. To była stara sztuczka, której nauczył się, gdy w dzieciństwie bawili się z Leonor w podchody.

Tym razem nie była to zabawa. Oparł ramię o pień grubego buka. W nocy okrążył fortecę, policzył, ilu ludzi strzeże muru pomiędzy poszczególnymi bramami. Zbyt wielu, by mógł go sforsować jeden człowiek. Nie wyjdzie żywy z tej misji.

Pomyślał o Leonor, o jej gorących ustach, które rozchyłała w pocałunku, o jej wilgotnych od łez powiekach. Jakże chciałby być blisko niej!

Rozkazy, które otrzymał, były jasne. Musi przedostać się do twierdzy i oddać złoto bratu zakonnemu. Ale jak? Łatwiej stoczyć potyczkę z całym oddziałem Saracenów, niż przeniknąć do wnętrza tej dobrze strzeżonej fortecy, mając do dyspozycji tylko miecz i rozum.

Mimo wszystko musi być jakiś sposób. Nasłuchiwał uważnie, czy nie usłyszy szelestu gałęzi lub odgłosu kroków końskich na wilgotnym gruncie. Nic nie mąciło ciszy. Ktokolwiek go śledził, też znał się na tej grze.

Poczeka do zapadnięcia zmroku. Gdy wróci jego rumak, wcieli w życie jedyny plan, który miał sens w tej sytuacji. I będzie się modlił, by przeżyć.

Zamknął oczy i znowu pobiegł myślami ku Leonor. Jeśli wyjdzie z tego cało, pojedzie do niej, zanieś ją do swojego łóża i zrobi to, o czym marzył od chwili, gdy ją ujrzał. Doprowadzi ją do stanu słodkiego szaleństwa. Od tamtego momentu, gdy po latach zobaczył dorosłą Leonor, nieustannie wyobrażał sobie uniesienia, jakie mogą oboje osiągnąć w swoich objęciach.

Rzuci wszystko, złamie śluby zakonne, podepcze honor, zrezygnuje ze zdrowego rozsądku za jedną jedyną noc z Leonor. Bóg już wie, że ma do czynienia z głupcem.

Może i jest głupcem, ale przede wszystkim jest mężczyzną i kocha Leonor bardziej niż siebie samego i pragnie jej jak nikogo na świecie. Jego ciało płonie z miłości. Nie chce teraz umierać. Chce żyć, żeby ją znowu zobaczyć. Dotknąć jej.

Żeby z nią być.

Na niebie pojawił się księżyc. Reynaud usłyszał ciche parsknięcie po drugiej stronie polany. Zagwizdał. Już po chwili koń trącił go nosem w ramię. Reynaud dosiadł wierzchowca i bardzo ostrożnie i powoli ruszył przed siebie.

Sylwetka fortecy rysowała się wyraźnie na tle oświetlonego księżycem nieba, jak wielkie, czarne dzieło cukiernika z tymi wszystkimi wieżami, iglicami, stromymi i skośnymi dachami, kwadratowymi kominami, z których teraz nie unosił się dym. W bramie wjazdowej płonęły pochodnie. Ich płomienie migotały w łagodnej wieczornej bryzie. Dwaj strażnicy trzymający straż w łuku bramy zabawiali się rzucaniem monet do celu. Kilkunastu innych chodziło tam i z powrotem po murze, cicho między sobą rozmawiając.

Reynaud zatrzymał konia. Nashluchiwał. Z gęstej buczyny, którą miał za plecami, nie dobiegał żaden dźwięk, poza pohukiwaniem sowy. Przed nim słyhać było odgłos uderzenia monet o ubitą ziemię i śmiechy ludzi. Z komórki na dachu dochodziło gruchanie gołębi. Reynaud zapamiętał jej lokalizację z pośpiesznego szkicu brata Pierre'a.

Zsiadł z konia, odczepił przytroczony do siodła juk i przewiesił go przez ramię. Gdy to zrobił, dał zwierzęciu mocnego klapsa w zad. Koń skoczył do przodu, prosto w stronę bramy, Reynaud zaś skręcił w lewo, kryjąc się w cieniu u podnóża muru.

- *Un cheval!* - krzyknął któryś ze strażników.

Dał się słyszeć tupot biegnących, z bramy wyłoniła się grupka uzbrojonych ludzi. Koń zatrzymał się, po czym zawrócił i pokłusował do zagajnika. Strażnicy byli zdeorientowani.

- *Vite!* - krzyknął jeden z mężczyzn. - Patrzcie na ten wypchany worek za siodłem. Tam musi być prawdziwy skarb!

Zaczęli się kłócić. Podczas gdy ich głośny spór wzmagął się, Reynaud skradał się ku sekretnemu przejściu w tylnej części muru.

Oto i ono. Wąskie drzwi, opisywane przez brata Pierre'a, ukryte pod bujnym krzakiem heliotropu, zwisającym z muru jak liściasta kurtyna.

Delikatnie pchnął drewniane drzwi. Skrzypnęły i ustąpiły. Jak zapowiadał mnich, zasuwa od środka pozostała niezamknięta.

Reynaud skrzywił się, odczekał kilkadziesiąt sekund, zanim otworzył szerzej. Jeszcze jedno pchnięcie... Udało się!

Zardzewiałe zawiasy zazgrzytały całkiem głośno, ale hałas nikogo nie zaalarmował. Strzegący fortecy żołnierze wciąż byli zajęci koniem bez jeźdźca. Reynaud domyślił się, że nie udało im się go schwytać. Nie odkryli, że w przytroczonym do siodła worku były kamienie rzeczne. Wierzchowiec spełnił swą rolę, odwrócił uwagę strażników od murów. Kolejny stary trik, tym razem przejęty od pewnego wziętego do niewoli Saracena.

Reynaud wszedł do środka. Otoczyła go ciemność tak gęsta, że nie mógł nic widzieć dalej niż na wyciągnięcie ramienia. Cuchnące powietrze było przesycone kwaśnym wyziewem, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był odgłos kapiącej na kamienie wody. Ta cisza była wprost grobowa. Nie dochodziły tu pokrzykiwania żołnierzy w bramie. Reynaud pomyślał, że tak może się czuć człowiek schodzący do czyścica.

Bezszelestnie wyciągnął miecz z przypiętej do pasa pochwy i ruszył przed siebie. Stapał po twardej nawierzchni, starając się nie czynić najmniejszego hałasu. Nagle poczuł na twarzy powiew świeżego powietrza. Uniósł głowę, jak mógł najwyżej i głęboko odetchnął.

Powietrze było chłodne i słodkie. Skąd napływało? Krok za krokiem starał się znaleźć coraz bliżej jego źródła.

Grobową ciszę zakłócił metaliczny brzdęk wyjmowanego z pochwy miecza. Nie namyślając się, Reynaud odwrócił się w stronę, skąd doszedł go ten odgłos, i ciał ukośnie swoim mieczem od kolana ku wysokości ramienia.

Usłyszał, że ktoś łapie gwałtownie oddech, a potem oddalające się kroki. Odczekał, aż kroki ucichną, po czym ruszył w tym samym kierunku.

Droga obniżała się stromo w dół, potem skręcała w prawo. Wyciągnął rękę. Jego palce natrafiły na wilgotną kamienną ścianę. Sięgnął mieczem na boki. Ostrze skrobnęło o skałę. Sądząc po otaczającym go zgniłym fetorze, musiał znajdować się w wąskim

podziemnym korytarzu, niewiele szerszym niż ciało dobrze zbudowanego mężczyzny. Sufit był tak nisko, że Reynaud dotykał go głową, gdy się zupełnie wyprostował.

Bardzo uważał, by nie ocierać się ani kolczugą, ani zarzuconym na ramię jukiem podróżnym o ściany korytarza. Już raz w swoim życiu był w podobnym miejscu, w podziemiach saraceńskiej wieży obronnej koło Edessy. Spędził w niej siedemnaście dni, oganiając się od szczurów i umierając z pragnienia, zanim znalazł drogę wyjścia. Aby przeżyć, polował nocami na gryzonie i jadł je na surowo. Zebrało mu się na wymioty na samo wspomnienie.

Przed sobą dostrzegł słabe światło. Zwolnił. Korytarz otwierał się nagle na coś, co przypominało otoczony murem ogród, porośnięty kępami rozmarynu i rozrośniętej, gęstej mięty.

Reynaud instynktownie zatrzymał się u wylotu tunelu. Wyraźnie słyszał czyjś oddech. Ktoś czekał, aż on wyłoni się z ciemności, i przyszykował na niego zasadzkę.

Wykonał krok w prawo, starając się wyczuwać za plecami wilgotną ścianę. Wysunął się odrobinę w przód i znalazł się tuż obok oczekującego, mógł go niemal dotknąć prawym ramieniem. Przerzucił miecz do lewej ręki i ciął w prawo.

Trafił. Postać stoczyła się z nawisu, twarzą w dół. Jęczała u jego stóp. Był to jeden z żołnierzy trzymających straż.

Reynaud odczekał, aż uspokoi się jego mocno bijące serce. Nie lubił zabijać, nawet w bitwie. Nie mógł sobie jednak pozwolić na to, by ten człowiek zaalarmował swoich towarzyszy.

Zauważył w przeciwległej ścianie muru wąskie, zwieńczone łukiem drzwi. Na kamieniu obok nich wycięto charakterystyczny krzyż templariuszy. Dzięki Bogu, jeśli umrze, to wśród braci. Szybko przemierzył porośniętą ziołami przestrzeń ogrodu, pchnął owe drzwi.

- Witaj, synu.

W stojącym na środku niewielkiego pokoju fotelu z wysokim oparciem siedział brat Pierre. Wyciągnął kościstą dłoń do Reynauda.

- Szybko przybyłeś - zauważył.

- Taki miałem rozkaz.

Reynaud patrzył i oczom nie wierzył. Brat Pierre? Ta sama wąska twarz, te same ciemne, cętkowane złoto tęczówki, ten sam głos. Jednak wytarty brązowy habit i znożone sandały zastąpił ornat ze szkarłatnego jedwabiu.

Rozejrzał się po pokoju. Zauważył pozłacany pastorał oparty o poręcz fotelu. A więc to nie brat Pierre, lecz biskup Pierre?

Stary kapłan skinął raz głową.

Reynaud zsunął ciężki bagaż z ramienia i złożył go u stóp duchownego.

- Oto złoto obiecane przez de Blanqueforta. Jest tego więcej w naszym skarbcu na Cyprze.

- Dużo więcej? - Biskupowi zaświeciły się oczy.

Reynaud zawahał się. Informacja na temat wielkości skarbu była przeznaczona dla wąskiego kręgu wtajemniczonych.

- Dobrze, dobrze, Reynaudzie. Wielki mistrz de Blanquefort i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. I sojusznikami - dodał.

Zniżył głos:

- Co on takiego proponuje w zamian za udostępnienie templariuszom tajnej bazy w Langwedocji, chronionej przez nieświadomego niczego samego króla Ludwika? To chyba jest warte fortunę?

Reynaud nic nie odpowiedział. Nie należało do niego kwestionowanie decyzji wielkiego mistrza. Albo też biskupa Kościoła. Czy oni wszyscy nie byli winni lojalności najwyższemu autorytetowi kościelnemu, papieżowi Aleksandrowi w Rzymie? I Bogu?

Starzec patrzył na worek złota i gładził brodę.

- Coś za coś. Papież Aleksander i Kościół będą strzegli skarbu templariuszy we Francji, pod samym nosem Ludwika francuskiego. Mając do dyspozycji to złoto, wyprzemy Arabów z Hiszpanii.

Reynauda zemdliło.

Bez słowa, bez jednego spojrzenia na biskupa Pierre'a i worek złota u jego stóp, odwrócił się i opuścił pokój.



## Rozdział dwudziesty pierwszy

Jannet miała czerwone obwódki wokół oczu. Na wiklinowej tacy przyniosła do pokoiku Leonor pieczonego kurczaka i mięsne paszteciki. Leonor spędziła dzień u siebie i cały ten czas przeplakała z powodu oskarżenia jej przez Bernarda z Rodez o zabójstwo Galerana. Gdyby Reynaud tu był!

- *Mangez, ma petite* - zachęcała Jannet. - To ci dobrze zrobi.

- Nie mogę - tłumaczyła się Leonor. - A ty, jak sobie radzisz?

- Nieźle. Roger naprawdę ciężko to przeżywa. Ja ledwie znałam swojego pasierba przed jego wyjazdem do Nawarry na wychowanie u brata Rogera, a twojego wuja, hrabiego Henryka.

Leonor westchnęła ciężko, sięgnęła po pasztecik z mięsem, ale odłożyła go z powrotem. Nie mogła przełknąć ani kęsa. Jej myśli ciągle krążyły wokół Bernarda z Rodez.

- Opowiedz mi, jak przebiegał dzisiaj turniej - poprosiła. - Chciałabym choć na chwilę przestać myśleć o dniu jutrzejszym.

Jannet przysiadła na skraju łóżka, zaczęła opowiadać.

- Bernard z Rodez walczył wyśmienicie. Górował nad wszystkimi konkurentami siłą i determinacją.

Obrońca honoru Leonor, Baudoin z Béziers, jutro po południu stoczy z Bernardem walkę, której rezultat rozstrzygnie o winie lub niewinności Leonor.

- A Béziers, dzielnie stawał?

Nerwowy uśmiech Jannet zniknął.

- Nie najgorzej. Jest bardzo doświadczony, ale starzeje się. Rodez też jest doświadczony. Roger mówi, że on łaknie krwi i może się okazać nieobliczalny.

Leonor zadrżała. Widziała złe oczy Rodeza, czuła jego wrogość. Było w nim coś groźnego.

Pocieszała się, że Bóg okaże się sprawiedliwy. Obroni ją. Jej niewinność zwycięży nad złem, a niepohamowana furia Bernarda z Rodez napotka tamę.

Jannet wstała, objęła Leonor.

- Roger ucieszy się, jeśli dzisiaj wieczorem zagrasz nam na harfie. To pomoże mu w żalobie. Zejdiesz na dół, prawda? Mężczyźni niechętnie proszą o pocieszenie, nawet jeśli ból rozrywa im serce.

Leonor wzruszyła szczerość przyjaciółki.

- Dobrze, zagram.

- Dziękuję.

Pojawi się w wielkiej sali. Chce porozmawiać z obrońcą jej honoru, Baudoinem z Béziars, życzyć mu powodzenia w czekającej go walce. Dobry Bóg na pewno nie pozwoli umrzeć takiemu szlachetnemu rycerzowi jak Béziars. A jednak Leonor nie potrafiła sobie wyobrazić, jak zdoła on pokonać bardzo silnego przeciwnika, jakim był szpitalnik.

Musi przestać myśleć o tych wszystkich strasznych sprawach. Musi się skoncentrować na tej jedynej rzeczy, która pozwoli jej przetrwać do jutrzejszego rozstrzygnięcia - muzyce.

Leonor ogarnął żal, gdy przypominała sobie, jakim ciosem była dla hrabiego Rogera wiadomość o śmierci syna.

Zrobi wszystko, by ulżyć ojcu i macosze rozpaczającym po śmierci młodzieńca. Przypuszczała, że dwaj inni trubadurzy, Brian z Orkadów i Andreas, też się o to postarają.

W wejściu do wielkiej sali zamkowej Leonor spotkała Andreama.

- Pani - odezwał się, składając pełen galanterii ukłon - witaj w naszym gronie i pozwól za mną.

Odebrał harfę z rąk Leonor i zaprowadził ją do bocznego stołu, przy którym siedział już drugi z trubadurów, Brian z Orkadów.

- Brian i ja zarezerwowaliśmy dla ciebie miejsce wśród nas - wyjaśnił Andreas.

- Pani, jestem szczęśliwy, że dołączysz do nas dzisiejszego wieczoru - oznajmił Brian z Orkadów. - Razem utkamy piękny wzór naszą muzyką. Kto dziś wystąpi jako pierwszy, Andreasie?

Korpulentny trubadur wydawał się zaskoczony, ale natychmiast odzyskał kontenance.

- Pierwsza powinna zagrać pani Leonor, po niej zaś ty, mistrzu Brianie.

Leonor rozbawiła ich galanteria. Zaplanowali to czy zachowali się tak przez przypadek, w każdym razie swoim zachowaniem dodali jej ducha. Co ma być, to będzie, ale do tej pory ona jest jeszcze niepokonana.

Kiedy wreszcie biesiadnicy uciszyli się, Jannet dała znak skinieniem głowy i Leonor sięgnęła po harfę. Zagrała rzewną francuską pieśń, która mogła, jak się spodziewała, utulić żal zrozpaczonego hrabiego Rogera, osieroconego ojca.

Grając, zauważyła kątem oka małego paza, który przemknął obok niej. W pełnej uszanowania postawie zbliżył się do stołu, przy którym zasiadał hrabia, i szepnął mu parę słów do ucha.

Hrabia uniósł ociężałą postać, ucałował żonę i opuścił salę biesiadną. Leonor westchnęła. Taki jest los pana zamku. Hrabia nie mógł sobie pozwolić nawet na krótką chwilę wytchnienia od swoich obowiązków. W roztargnieniu Leonor opuściła dwie zwrotki i skończyła pieśń wcześniej, niż planowała.

Zbliżała się już do końca drugiej pieśni o zaczarowanym słowiku, a hrabia Roger wciąż nie wracał. Cokolwiek go zatrzymało, musiało być sprawą niezwykle ważną, nie opuściłby występu, o który w jego imieniu prosiła Jannet.

Leonor struchlała. A może chodzi o jutrzejszą walkę? Nie powinna o tym myśleć, musi spokojnie dokończyć występ. Dograła do końca refren, ozdabiając ostatnie dźwięki efektownym *arpeggio*.

Po niej wystąpili Brian z Orkadów i Andreas, ale Leonor nie mogła się skupić na ich pieśniach. Przestało jej zależeć na tym, kto okaże się zwycięzcą rywalizacji.

Po występie Andreasa Leonor wstała, żeby pójść do siebie, na górę, ale Jannet dała jej znak, by się do niej zbliżyła.

- Wybacz Rogerowi jego nieobecność - młoda hrabina zniżyła głos, żeby tylko Leonor mogła ją usłyszeć - został odwołany do zbrojowni w związku z jutrzejszym turniejem.

Leonor ledwo zrozumiała. Znowu nawiedziły ją czarne myśli na temat jutrzejszych wydarzeń. Przypomniała sobie, że chciała porozmawiać z Baudoinem z Béziers. Rozejrzała się.

- Mój panie? - Lekko dotknęła jego ramienia, gdy go znalazła.

Rycerz zerwał się z ławy i pochylił nad jej dłonią.

- Pani Leonor, dobry wieczór.

- Przyszłam życzyć ci, panie, pomyślności w jutrzejszych walkach, a także w późniejszej próbie prawdy. - Nie zdołała wydobyć z siebie więcej.

- Nie obawiaj się, pani - rzekł. - Prawda zwycięży. Będę walczył do ostatniej kropli krwi o twój honor.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jesteś, panie, szlachetnym człowiekiem, nie chciałabym opłakiwać twojej straty.

Baudoin z Béziars zakaszłał. Leonor dostrzegła łzy w jego oczach. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Leonor uścisnęła jego sękatą dłoń i pobięła na górę. W swoim pokoiku zastała Benjamina.

- No, moja mała, przestań płakać i mów... - Stary nauczyciel nieporadnie ocierał Leonor łzy wielką jedwabną chustką do nosa.

- Ja tego nie zniosę, Benjaminie. Jeśli będę musiała umrzeć...

- Cicho, cicho, nie umrzesz, Lea.

- Nie boję się samej śmierci, tylko chodzi o to, że... już nigdy nie zobaczę Reynauda i... i - zająknęła się - i nie chcę umierać w bólu.

- Nie umrzesz - zapewnił Benjamin. - Nie umrzesz z nieodwzajemnionej miłości ani też na stosie za zabójstwo, którego nie popełniłaś. Twój rycerz, Béziars, jest zaprawiony w bojach i silny. Co z tego, że nie jest młody. Nie wszyscy starsi ludzie są tacy bezsilni jak ja w tej chwili.

Leonor ucałowała starego w policzek.

- Dzięki, że jesteś ze mną, Benjaminie. Jestem naprawdę przerażona.

- Wierzę ci, bo masz powód, by się bać, moje małe, dzielne serduszko.

Leonor wślizgnęła się do pawilonu dla widzów i usiadła na drewnianej ławie obok Jannet. Młoda hrabina ścisnęła jej lodowatą dłoń.

- Modłę się o to, by wszystko poszło dzisiaj dla ciebie pomyślnie - rzekła pocieszająco.

- Ja też - odpowiedziała Leonor.

Dzień był gorący i bezchmurny. Słońce prażyło niemiłosiernie z rozpalonego nieba. Leonor była szczęśliwa, że nad głowami widzów rozpięto wielokolorowe, jedwabne zadaszenie, które dawało miły cień. Jaskółki szczebiotały w koronach platanów okalających plac turniejowy. Paziowie roznosili chłodzone wino wśród szlachejnych dam, które wyginały szyje, by dostrzec tego czy innego rycerza.

Poprzez ogólny harmider przebijał się odległy głos piszczałki wędrownego kuglarza. W innych okolicznościach oczekiwanie byłoby nawet podniecające. Ale nie w obecnej sytuacji. Popijała drobnymi łyżkami chłodne, korzenne wino i usiłowała zebrać myśli.

Za godzinę o jej losie - o jej życiu - rozstrzygnie walka dwóch rycerzy na placu turniejowym. Umiejętności obu rycerzy nie mają nic wspólnego z jej winą lub niewinnością. Leonor wiedziała, że musi podporządkować się regułom tego rodzaju rozstrzygnięcia, takie były bowiem zwyczaje wśród chrześcijan, którzy panowali w tym kraju. Jakże inaczej było w Grenadzie, gdzie rządziło prawo. Gdyby nie chodziło o Reynauda, z całego serca wołałaby błędzić po górach swojej ojczyzny zamiast po pagórkach tego obcego świata.

Ale jej chodziło o Reynauda.

Uniosła wzrok ponad plac turniejowy, ku złotobrazowym wzgórzom na horyzoncie. Jeśli Reynaud został zabity, ona też chce za nim podążać ku śmierci. Życie bez niego byłoby pozbawione wszelkiego uroku.

Hrabia Roger, usadowiony w wielkim fotelu z drugiej strony Jannet, dał znak odzianemu z szkarłat heroldowi, by zaczynał.

Herold zadał w trąbę.

## Rozdział dwudziesty drugi

Leonor siedziała nieruchomo ze splecionymi na piersiach ramionami. Czekwała na pojawienie się jej rycerza. W końcu Baudoin z Béziars wjechał klusem na plac. Bernard z Rodez popijał wino z kielicha, który podał mu jego giermek.

- Béziars jest dzielnym rycerzem - zauważył hrabia Roger do Jannet. - Niestety, starzeje się. Zna się na wojennym rzemiośle, jednak...

Leonor wzdrygnęła się. Baudoin miał małe szanse w starciu z Rodezem. Zaszło jej w gardle. Jeśli jej obrońca przegra, wywloką ją stąd i...?

Wyobraziła sobie, jak płomienie liżą jej nogi. Nie, nie będzie o tym myśleć. W Bogu nadzieja, że do tego nie dojdzie. Skupiła się na obserwacji przygotowań do walki.

Jakaś zakapturzona postać, mnich, sądząc po grubym brązowym habicie, przedzie-  
rała się przez tłum widzów, dopóki nie dotarła do płotu otaczającego plac turniejowy.

Powietrze wypełnił kolejny hejnał trąbki.

- Jeden na jednego - wykrzyknął herold. - Baudoin z Béziars rzuca rękawicę Bernardowi z Rodez w związku z oskarżeniem przeciwko pani Leonor z Grenady.

Leonor zacisnęła kurczowo dłonie, aż zabolęły. Jannet otoczyła ją ramieniem i przytuliła do siebie, by jej dodać odwagi. Leonor wstrzymała oddech, czuła, że jej serce niemal zamiera w piersi.

Szpitalnik dosiadł wierzchowca, pochylił się, by odebrać od giermka hełm. Skierował konia na plac pokryty ubitym piaskiem, po drodze opuścił przyłbicę.

Baudoin z Béziars już czekał. Na czubku jego hełmu powiewał cienki welon bordowego koloru, który dała mu Leonor. Na znak dany przez rycerza dwaj trębacze unieśli instrumenty do ust.

Zanim zdążyli zadać, na odległym końcu placu pojawił się samotny jeździec, który zważo zbliżał się ku widowni. Był na czarnym koniu, nad szerokimi barami wznosił się czarny szyszak z matowej stali, pozbawiony wszelkich ozdób czarny płaszcz spływał z czarnej kolczugi. Nawet jego tarcza była pomalowana na czarno, na wypolerowanym drewnie nie było żadnego herbu.

Herold wyszedł naprzeciwko dziwnemu rycerzowi. Dwaj mężczyźni rozmawiali krótko, ale nie można było usłyszeć, o czym mówili, gdyż zagłuszał ich szmer zaciekawionej widowni. Wreszcie herold skinął głową na zgodę i spojrzał w stronę hrabiego Rogera, a następnie wyszedł na środek placu i uniósł rękę.

- Czy Baudoin z Béziars ustąpi Czarnemu Rycerzowi?

Baudoin nie wiedział, co zrobić. Podjechał pod pawilon, w którym siedziała Leonor. Zniżył kopię przed hrabią Rogerem, zdjął hełm i przemówił do Leonor.

- Wielkim zaszczytem jest dla mnie obrona twojego honoru, pani, ale ktoś inny domaga się tego przywileju. - Skłonił głowę. - Ustąpię wtedy, jeśli takie będzie twoje życzenie.

Leonor napłynęły łzy do oczu, gdy usłyszała pełne galanterii słowa rycerza. Baudoin chciał walczyć i - najprawdopodobniej - umrzeć dla niej, choć jej nie znał. Ona wiedziała, że jest niewinna, że oskarżenie Rodeza jest bezpodstawne. Ale skąd on mógł mieć tę pewność? Z drugiej strony, w głębi serca czuła, że jej starzejący się obrońca, chociaż nie brakowało mu męstwa, nie był przeciwnikiem godnym szpitalnika.

- Ustąp obcemu rycerzowi, panie, skoro o to prosi. Moje życie jest w rękach Boga. Jeśli ktoś ma za mnie umierać, wolę, by umarł raczej nieznany rycerz niż ty, którego znam i szanuję.

Béziars opuścił kopię na znak uszanowania dla Leonor i hrabiego Rogera i zawrócił konia ku swojemu błękitnemu namiotowi rozstawionemu na skraju placu.

Tajemniczy Czarny Rycerz wjechał na środek. Ciemny bojowy rumak, czarne siodło z wysokimi łękami i pozbawiona wszelkich ozdób tarcza były kompletnie nieznane Leonor. Zapewne również Jannet, sądząc z wyrazu jej twarzy.

Hrabia Roger nie zwracał uwagi na Leonor. Wydawał się mocno zamyślony. Popijał wino z kielicha, a wolną ręką gładził dłoń żony.

- To będzie bardzo interesujące widowisko, moja droga - rzekł.

- Interesujące! - Jannet była zbulwersowana. - Typowo męskie zachowanie - szepnęła do Leonor. - Dla ciebie to kwestia życia lub śmierci, dla mężczyzny tylko „interesujące widowisko”.

Leonor była tak spięta, że nie zdołała nic odpowiedzieć. W tej walce rzeczywiście stawką było życie lub śmierć. Jej życie lub jej śmierć. Zastanawiała się, jakie podejście reprezentował nieznajomy obrońca. Czy dla niego walka, którą miał stoczyć, też była tylko „interesującym widowiskiem”? Złożył u jej stóp swój honor, a nawet los. Czy również dla niego stawką w tej walce nie było jego własne życie i własna śmierć?

Przypatrywała się z ciekawością jeźdźcowi na pysznym rumaku w czarnej uprzęży i nie dostrzegała w nim żadnych objawów strachu czy nawet zdenerwowania. Siedział wyprostowany, nieruchomy jak posąg, nie poruszał nawet wodzami. Czekał.

Na ułamek sekundy czarny hełm odwrócił się w jej stronę, w wąskiej szparze na oczy Leonor dostrzegła jakiś ruch. Rycerz uniósł zakutą w żelazo rękę, zasalutował jej i odjechał na koniec placu.

Na plac wjechał Bernard z Rodez. Jaskrawo czerwony, paradny czaprak jego konia kontrastował z czarnym płaszczem, na którym był naszyty biały krzyż zakonu szpitalników. Jego giermek, niski i gruby chłopak w zgrzebnej tunice przepasanej szerokim pasem, niemal zawisł na drewnianym płocie okalającym plac turniejowy, żeby nie utracić żadnych szczegółów z szykującego się widowiska.

Rozdzierający uszy dźwięk trąbek rozległ się w powietrzu. Zanim wybrzmiał, pod ogrodzeniem precyzyjnie się mały paź, który podbiegł do Czarnego Rycerza i coś mu podał do ręki.

Baudoin przekazał tajemniczemu rycerzowi welon Leonor. Niech mu Bóg błogosławi za ten rycerski gest. Oby przyniósł nieznajomemu szczęście!

Czarny Rycerz zdjął rękawicę i przymocował kawałek przezroczystego materiału do hełmu. Leonor uzmysłowiła sobie, że obrońca jej honoru nie miał własnego giermka do asysty. Czy był kimś wyjętym spod prawa? A może najemnikiem, który walczył nie o honor, lecz o okup?

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Ten człowiek nawet jej nie znał. Możliwe, że było mu obojętne, czy w wyniku jego walki ona zostanie uznana za winną lub niewinną. Może walczył tylko o konie, bogatą uprzęż, broń i pieniądze z okupu. Przez moment pożałowała, że jej poprzedni obrońca, Baudoin z Béziers, nie wróci w szranki.



Nierozsądna myśl. Jej szanse będą większe, gdy do walki stanie Czarny Rycerz, bez względu na to, kim jest, i jakie kierują nim motywy. Obdarzony szlachetnym sercem, ale starzejący się Baudoin z Béziers miał mniejsze szanse na zwycięstwo. Wzięła głęboki oddech i zacisnęła palce na dłoni Jannet.

- Masz rację, droga przyjaciółko. To męska gra i męski świat. Moje życie jest w tej grze chyba mało ważne.

- Wiem, że się boisz - odwzajemniła uścisk dłoni Jannet - ale nie trać ducha. Roger bardzo cię polubił. Jestem pewna, że nie będzie igrał twoim losem.

Leonor nie była wcale tego taka pewna. Wiedziała, że mężczyźni potrafią być bardzo pragmatyczni. Robią, co nakazuje im polityczna konieczność, i potrafią żyć z konsekwencjami swoich decyzji.

A Bernard z Rodez? Był podstępny jak wąż.

Dlaczego zatem miałyby pokładać nadzieję w bezimiennym rycerzu?

Bo nie miała wyboru. Była tylko kobietą, nad którą zawisło straszliwe oskarżenie.

Los kobiet był w rękach... mężczyzn.

Jednym z nich był hrabia Roger. Popatrzyła na niego. Ich oczy się spotkały. Był przybity wiadomością o śmierci syna. Jego strata była niewyobrażalna, a ona była oskarżona o wyrządzenie mu wielkiej krzywdy, największej z możliwych. Choć hrabia to szlachetny człowiek, czy mogła mieć pewność, że on nie pozwoli jej umrzeć za niepełnione winy?

Hrabia Roger odwrócił wzrok w stronę placu turniejowego.

Czy pozwoli jej umrzeć?

Znowu zagrały fanfary.

- Czarny Rycerz rzuca wyzwanie Bernardowi z Rodez! - wykrzyknął herold.

Odwrócił się jeszcze trzy razy, powtarzając swój komunikat, by mogli go usłyszeć wszyscy obecni.

Leonor również skupiła się na obserwacji placu turniejowego.

Zauważyła ciekawe zachowanie wysokiego mnicha, którego obecność już wcześniej zwróciła jej uwagę. Mnich opuścił rzędy przeznaczone dla widowni i wolno torował sobie drogę przez tłum w stronę odgradzonej części placu, przeznaczonej dla asystujących

cych potykającym się w czasie turnieju rycerzom giermków i wszelkiej czeladzi. Zajął pozycję tuż obok pazia Bernarda z Rodez. Osłonił starannie twarz kapturem i skupił zainteresowanie na aktywności na placu.

Bernard z Rodez ustawił wierzchowca na pozycji. Po drugiej stronie drewnianej bariery Czarny Rycerz siedział w siodle bez ruchu, trzymając kopię pod ramieniem.

Hrabia Roger podniósł rękę. Trąbka wygrała sygnał do szarży. Leonor wstrzymała oddech.

Czarny Rycerz cwałował z przeciwnej strony z podniesioną kopią. W ostatniej chwili wycelował jej ostrze w hełm szpitalnika.

Kopia Czarnego Rycerza skruszyła się. Rodez przemknął obok niego jak burza. Czarny Rycerz zawrócił konia i szybko ponownie ustawił się na pozycji. Tym razem jednak był bez broni.

Leonor zamarła. Nie mając giermka, nie mogąc spodziewać się niczyjej pomocy, Czarny Rycerz nie zaopatrzył się w nową broń.

Ale cóż to! Z boku podjechał jakiś inny rycerz i zaofiarował mu swoją kopię. Rozpoznała go. To Baudoin z Béziers.

Trąbka zagrała na kolejną szarżę. Przeciwnicy popędzili konie.

Tym razem Czarny Rycerz uderzył w tarczę Rodeza z taką siłą, że Rodez zachwiał się w siodle.

Hrabia Roger, który cały czas spokojnie popijał wino, mruknął do Jannet:

- Jeden do jednego! Ten zna się na wojennym rzemiośle.

- O którym z nich mówisz, mężu?

Hrabia nie odpowiedział.

Jannet spojrzała wymownie na Leonor i wzniosła oczy ku niebu.

- *Les hommes! Quel mal de tête!* - poruszała ustami, mówiąc niemal bezgłośnie.

Obaj rycerze znowu ustawili się na pozycjach i zaszykalizowali gotowość do kolejnej szarży. Trębacze unieśli instrumenty. Leonor zamknęła oczy.

Boże, nie dopuść, by obcy rycerz przegrał!

Usłyszała, jak się starli. Uniosła powieki.

Obie kopie skruszyły się. De Rodez zeskokczył z konia i ruszył ku swojemu giermkowi. Chłopak wyszedł mu naprzeciw z wielkim obosiecznym mieczem.

Wstrzymała oddech. Czarny Rycerz nie miał miecza i nie miał giermka, który mógłby mu broń podać. Zawrócił konia ku widowni, uniósł w górę obie ręce, chcąc pokazać, że są puste. Następnie zsiadł i podążył w stronę giermka Bernarda z Rodez.

Nie! W stronę wysokiego mnicha!

Zakapturzony mnich wyciągnął spod habitu piękny miecz z rękojeścią skrzącą się od czerwonych drogich kamieni. Nieznajomy rycerz wziął broń z rąk mnicha.

Szmer przebiegł przez widownię. Czyżby jej części ów miecz był znajomy? Leonor nigdy w życiu nie widziała podobnego.

Najbardziej poruszeni widokiem miecza wydawali się rycerze z Tuluzy, skupieni w jednym miejscu na widowni. Najwyraźniej rozpoznawali go. Więc obrońca jej honoru był jednym z nich? Rycerzem z Tuluzy?

Nie mogła sobie przypomnieć, czy widziała wśród nich kogoś przypominającego posturą Czarnego Rycerza.

Herold wzniosł w górę ramię, prosząc o ciszę.

- Walka będzie kontynuowana na miecze - oznajmił. - A że stanowi próbę prawdy, będzie się toczyła do śmierci jednego z uczestników. - Mówiąc to, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z hrabią Rogerem.

Po słowach herolda na trybunie zapanował tumult. Jannet złapała męża za ramię.

- Rogerze, nie pozwól na to. Nie możesz...

Hrabia zwrócił niewzruszoną twarz ku żonie.

- Oko za oko - powiedział cicho.

Leonor zamarła. Nie mogła uwierzyć. Śmierć, choćby własnego syna, nie powinna aż tak znieczulić serca hrabiego.

Najwyraźniej tak było. Hrabia miał żądzę zemsty wypisaną na twarzy. Leonor zrobiło się niedobrze. Pamiętała scenę z pierwszego dnia turnieju, gdy Bernard z Rodez z widoczną przyjemnością wbijał miecz w gardło biednego Jeana z Clary.

Rodez upajał się zadawaniem śmierci! On nie walczył jak inni. On walczył jak ktoś opętany przez demona. Leonor struchlała. Jeśli Rodez zabije Czarnego Księcia, ona też umrze.

Z zaciśniętymi kurczowo dłońmi, jak urzeczona, patrzyła na plac turniejowy. Bernard z Rodez z impetem runął na nieznanego rycerza, tnąc jego czarny płaszcz na strzępy. Miecz zazgrzytał o metalową kolczugę.

Czarny Rycerz usunął się w bok, unikając drugiego ataku, i sam błyskawicznie wznosił miecz. Cios odbił się od tarczy szpitalnika. Obaj walczący zaczęli się okrażać na przykurczonych kolanach, szukając luki w obronie przeciwnika.

Pierwszy zaatakował Czarny Rycerz. Cios odrzucił Rodeza w tył, ale on szybko odzyskał równowagę. Cisnął tarczę na ziemię, chwycił rękojeść miecza oburącz i niemal z nadludzką siłą machnął ostrzem w bok.

Nieznajomy odskoczył, ale nie dość wcześnie. Miecz ciął w przestrzeń między metalowymi ogniwami pod jego lewym ramieniem.

Leonor skrzywiła się. Cięcie musiało zboleć, bo nieznajomy się skulił, ale nie wydał żadnego dźwięku. Usunął się na bok i sam ruszył do natarcia z mieczem w obu dłoniach.

Teraz żaden z walczących nie miał tarczy. Pojedynek nie mógł potrwać długo. Leonor nie mogła oderwać wzroku od zmagających się rycerzy.

Czarny Rycerz obracał w powietrzu mieczem tak szybko, że ten ruch wywoływał głośny świst. Koniec miecza przeciął kolczugę nad piersią szpitalnika, który zaczął chrapliwie i nierówno oddychać.

Leonor wbiła paznokcie w zaciśnięte dłonie. Rodez słabł.

Ale nie zanadto. Był silnym, doświadczonym wojownikiem. Pokonać go nie było łatwo. A cóż dopiero zabić... Leonor od początku turnieju nie spotkała nikogo, kto mógłby być do tego zdolny. Teraz też zebrał siły, odparował uderzenie przeciwnika i zręcznie usunął się z zasięgu jego broni.

Obaj walczący byli zmęczeni. Ciężko oddychali. Powietrze ze świstem wydobywało się z ich metalowych hełmów. W szczelinie hełmu Bernarda Leonor dostrzegła zimny błysk jego oczu i jej samej zrobiło się zimno.

Nagle Czarny Rycerz uniósł miecz w górę, strącając Rodezowi hełm z głowy. Rodez upadł na plecy, hełm potoczył się po ziemi. Czarny Rycerz stanął nad nim okrzykiem i skierował koniec miecza ku jego szyi.

- Poddaj się - zażądał.

- Nigdy! - krzyknął de Rodez.

Uderzył płazem miecza w tył kolana stojącego nad nim Czarnego Rycerza. Ten stracił równowagę.

- Rodez nie szanuje żadnych zasad, oprócz własnych - rzucił zniecierpliwiony hrabia Roger.

Rodez wykorzystał sytuację, kopnął przeciwnika w krocze, a gdy ten zwinął się z bólu, zerwał się na nogi.

W zgromadzonym tłumie zawrzało jak w gnieździe rozdrażnionych os.

- Walczcie po rycersku! - krzyknął ktoś.

Nieznajomy rycerz zdążył ochłonąć. Teraz obaj okrążali pole, pozorując ataki, wykonując uniki, niekiedy trafiając przeciwnika końcem miecza. Obaj krwawili i ciężko dyszeli.

W pewnej chwili Rodezowi udało się powalić Czarnego Rycerza na kolana. W następnej sekundzie miecz Rodeza zadzwonił o hełm Czarnego Rycerza. Rycerz padł na twarz, jego hełm uderzył o ziemię. Rodez uniósł miecz w obu dłoniach i wymierzył go pionowo w dół, w nieosłonięty kark leżącego.

Leonor krzyknęła z niedowierzania. Wprawdzie była to walka na śmierć i życie, ale czy jej przebieg musiał urągać wszelkim zasadom honoru? Zrobiło się jej niedobrze, czuła, że za chwilę zwymiotuje.

Szpitalnik opuścił miecz. Tłum zawył.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Na trybunie rozległy się wiwaty. Leonor ośmieliła się spojrzeć na plac turniejowy. Czarny Rycerz w ostatniej chwili sturlał się na bok. Pochwycił miecz i uniósł nieosłoniętą hełmem głowę.

Reynaud!

Oczy Leonor zaszły mgłą. To chyba sen.

Reynaud wstał, słaniając się.

- Templariuszu - chrapliwie odezwał się Bernard z Rodez - znowu się spotykamy.

Aby oszczędzać siły, Reynaud nie odpowiedział. Bacznie obserwował krążącego wokół siebie szpitalnika. Wypatrywał momentu jego słabości lub fałszywego kroku. Rodez był masywny jak odyniec, ale i zwinny. Jego czujne oczy nie pomijały niczego. Każdy ruch Reynauda był dostrzeżony, oceniony i wywoływał stosowną reakcję. Reynaud zauważył jednak pewną arogancję Rodeza. Ten pyszałek zwykł zwyciężać.

Dostrzegł lukę w obronnej postawie Rodeza, jego ostrze błysnęło w powietrzu. Rodez wykonał obrót i miecz ześlizgnął się po jego pokrytym kolczugą ramieniu. Teraz on uzyskał dostęp do niechronionej lewej strony Reynauda, jednakże ten zdołał na czas odskoczyć na bezpieczną odległość.

- Nikt mnie jeszcze nie przechytrzył, templariuszu! - wrzasnął ze złością Rodez. - Nikt!

Reynaud roześmiał mu się w twarz.

- To się okaże.

Uderzył lekko końcem miecza w czubek łokcia Rodeza. Była to sprawdzona sztuczka stosowana przez Saracenów. W mimowolnym odruchu joannita otworzył palce i miecz wypadł mu z dłoni na ziemię.

Reynaud schylił się, by go podnieść. Przez widownię przeleciał okrzyk zdziwienia. Reynaud obserwował przeciwnika i czekał.

Oczy szpitalnika zwięzły się w szparki. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Reynaud uśmiechnął się ponownie. To był klucz do wygranej. Słabością Rodeza była jego niepohamowana złość. Reynaud postąpił krok do przodu i wyciągnął miecz do Rodeza, rękojeścią w jego stronę.

- Bierz. Nie mogę cię zabić bezbronnego.

Rodez wydał dźwięk przypominający warknięcie, ale nie ruszył się.

- Nie proszę cię, byś błagał - powiedział Reynaud ze spokojem. - Dlaczego się wahasz?

Wiedział dlaczego. Co innego być pobitym w polu w honorowej walce, a co innego być poniżonym w oczach równych sobie. Nienawistne spojrzenie szpitalnika mówiło, że Reynaudowi udało mu się nie tylko rozbroić przeciwnika, ale go również upokorzyć. Teraz, kierowany ślepą furją, Rodez będzie walczył jak zapędzone w matnię zwierzę.

I, o co modlił się Reynaud, będzie popełniał błędy.

Rodez złapał miecz i bez namysłu rzucił się do przodu, wywijając nim z wściekłością. Reynaud uskakiwał na boki, uchylał się, wykręcał to w lewo, to w prawo. Wreszcie szpitalnik zatrzymał się na moment dla złapania oddechu i Reynaud dostrzegł swoją szansę.

Ostrze trafiło Rodeza pod pachę.

Ranny ryknął z wściekłości i rzucił się do przodu, wywijając mieczem jak szalony. Jeden z ciosów trafił Reynauda w bark. Metalowe ogniwa kolczugi przebiły watowany kaftan i wbiły się w ciało. Zranione miejsce piekło z bólu. Ubranie pod kolczugą nasiąkało krwią. Jutro będę mocno pokiereszowany, pomyślał Reynaud.

Jeśli Bóg pozwoli mu dożyć jutra. Był ranny w szyję i bark, nie wiedział wszakże, jak głębokie są rany. I jak długo jeszcze wytrwa?

To nie była walka o honorowe zwycięstwo ani nawet o potwierdzenie zarzutu pod adresem Leonor. Rodez był ogarnięty szałem. Wciąż parł do przodu z instynktowną przebiegłością drapieżnika.

Reynaud zrozumiał, że będzie musiał go w końcu zabić.

Pozwolił, by Rodez powoli wypierał go do tyłu, w stronę płotu, cały czas czekając na okazję do ataku. Poruszał się bardzo powoli, zbierał siły do zadania decydującego ciosu, którym obali przeciwnika.

Joannita zaatakował z furją i chybił. Reynaud uznał, że nastał moment, na który czekał. Uniósł omdlewające już niemal ramię z mieczem i uderzył w pierś szpitalnika. Ten upadł na plecy. Reynaud błyskawicznie stanął nad nim i nacisnął końcem miecza jego odsłoniętą szyję.

- Poddaj się.

- Nigdy - wycharczał Rodez.

- A więc umrzesz, żeby dowieść to, o czym już wiesz. - Naciął skórę końcem miecza. - Pani Leonor jest niewinna popełnienia zabójstwa. Powiedz to.

Rodez patrzył i nic nie mówił. Jego oczy wyglądały jak dwa czarne kamyki.

Reynaud pozwolił, by miecz lekko zagłębił się pod swoim ciężarem w rozcięciu skóry.

- Powiedz, że jest niewinna, a oszczędzę cię.

Rodez wciągnął dużą porcję gęstego od kurzu powietrza.

- Będę żył?

Reynaud zaśmiał się.

- Powiedz tak, żeby wszyscy usłyszeli: Leonor jest niewinna. No, mów! - Szturchnął szpitalnika czubkiem buta.

Pokonany otworzył usta.

- Jest... niewinna - wycharczał. - Niewinna.

Pod Leonor ugięły się kolana. Opadła na ławkę. Jannet wyjęła z rąk męża kielich z winem i podała go przyjaciółce.

- Wypij. Jest nierozcieńczone. Wzmocni cię. Jesteś biała jak chusta.

Leonor z wdzięcznością wzięła kielich i wypła solidny łyk. Potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i oddała opróżniony puchar hrabiemu Rogerowi.

Ręce hrabiego drżały tak mocno, że nie mógł go utrzymać.

- Pani, bardzo proszę. - Leonor ciągnął za suknię mały paż w zielonej tunice. - Czarny Rycerz życzy sobie z tobą porozmawiać. Będzie czekał w tamtym namiocie. - Chłopiec wskazał ciemnoniebieski namiot, nad którym powiewała czerwona flaga. Namiot Baudoina z Béziers.



Leonor podążyła za chłopcem. Wejścia do namiotu strzegło kilku zbrojnych. W środku panował półmrok. Powietrze było przesycone zapachem potu i kamfory.

- Gdzie on jest?

- Tutaj - zawołał chropawy głos zza zasłony.

Baudoin z Béziers odciągnął ją na bok.

Reynaud leżał na polowym łóżku. Jego twarz była kredowobiała. Nad nim pochylał się Benjamin z nasiąkniętym krwią tamponem w ręku.

- Nic nie mów! - rzucił, przytykając świeży tampon do szyi rannego.

- Muszę - powiedział Reynaud.

Mówił z trudem. Leonor stanęła przy nim i położyła mu palec na wargach. Benjamin zmienił czerwoną od krwi chustę na nową. Reynaud wykrzywił usta z bólu.

- Nic nie mów. Leż spokojnie - poprosiła Leonor.

- Nie mogę zatamować krwawienia - narzekał Benjamin.

Reynaud zamrugnął powiekami.

- Więc umrę?

- Nie! - pospieszyła z odpowiedzią Leonor. - Słyszysz mnie? Nie umrzesz!

- Może - mruknął Benjamin. - Niech on leży spokojnie i nic nie mówi, bo teraz będę zszywał ranę. Ten cios minął tętnicę o włos.

Starzec pokazał Leonor, jak naciskać tamponem ranę na szyi Reynauda, po czym zaczął grzebać w torbie z przyborami w poszukiwaniu igły i jedwabnych nici.

- Muszę coś powiedzieć, bo robi mi się ciemno przed oczami - odezwał się Reynaud.

- Każ mu się zamknąć! - rozkazał Benjamin.

Przeszył srebrną igłą krawędzie rany i zawiązał ciasny supełek z jedwabiu.

Reynaud syknął z bólu, ale nie poruszył się.

Przy trzecim supełku Reynaud nie wytrzymał.

- Wina! - zacharczał.

- I wywaru z maku - dodał Benjamin. - Jest w tamtej fiołce - pokazał.

Baudoin z Béziers powiedział kilka słów do służącego i zaraz przyniesiono kielich z ciemnym winem. Leonor wlała do niego zawartość fiołki.

- On nie może podnieść głowy, by to wypić - oznajmił Benjamin. - Wlej mu to do ust, jeśli znajdziesz jakiś sposób.

Leonor uniosła adamaszkową suknię, oderwała kawałek lnianej koszuli. Béziers podszedł z drugim kielichem wina.

- To dla ciebie, pani. Też musisz się wzmocnić. - Postawił kielich na stole obok czarnej, skórzanej torby Benjamina. Z troską spojrzął na stos zakrwawionych chust na podłodze namiotu i krzyknął na służącego.

Leonor zanurzyła lnianą szmatkę w winie zmieszonym z wywarem z maku, a kiedy dobrze nasiąkła, wykręciła ją nad otwartymi ustami Reynauda.

- Więcej - nakazał Benjamin, ciągle zajęty zszywaniem rany.

Leonor przełknęła trochę przeznaczonego dla niej trunku, z wdzięcznością kiwając głową do Béziersa, nakapała więcej zaprawionego lekarstwem wina do ust Reynauda.

Po pewnym czasie jego oddech wyrównał się. Przełknął jeszcze jedną porcję dobroczynnej mieszanki i wtedy zaskoczył ją pytaniem:

- No i co teraz myślisz o świecie poza Grenadą?

Leonor już wiedziała, jak dziecinnie naiwne były jej wyobrażenia, i rozumiała, dlaczego Reynaud był przeciwny jej wyjazdowi.

- Przekroczył moje oczekiwania. Jest dziwniejszy, niż myślałam... i ciekawszy. A także bardziej brutalny i przerażający, niż mogłam sobie wyobrazić.

Z gardła Reynauda wydobył się śmiech. Benjamin uniósł igłę i zaklął pod nosem.

Leonor popatrzyła w zielone jak woda morska oczy ukochanego. Widziała w nich ból i zmęczenie.

- I piękniejszy, niż myślałam - dodała szeptem.

Położyła dłoń na obnażonej piersi Reynauda. Pod palcami czuła nierówne bicie jego serca. Delikatnie przykrył jej dłoń swoją dłonią.

- Taka edukacja drogo kosztuje - odpowiedział również szeptem. - I może się zdarzyć, że twoją duszę ogarnie ciemność, w której nigdy nie znajdziesz drogi powrotu.

- To już wiem - powiedziała - i nigdy o tym nie zapomnę.

Benjamin odchrząknął i zabrał się do zakładania kolejnego szwu. Reynaud skrzywił się z bólu, po czym uniósł rękę, pragnąc dotknąć twarzy Leonor.

- Przy mnie będziesz bezpieczna. Uchronię cię od wszelkiego zła.

- Wiesz dobrze, że nie możesz bez ustanku być przy mnie. Muszę się nauczyć sama dbać o swoje bezpieczeństwo.

- Wiedziałem, że tak powiesz.

- Pomyśl o sobie. Musisz znaleźć jakąś radość na tym świecie, która pocieszy cię w niedoli.

Reynaud wahał się, czy jej powiedzieć, że już znalazł radość. Czerpał ją z przebywania przy Leonor, podziwiania jej mądrości i odwagi, a nawet upor. Oczywiście także słuchania, jak śpiewa tęskne, chwytające za serce melodie, które poruszają go do głębi. Żywił nadzieję na spełnienie głęboko ukrytego na dnie serca pragnienia złączenia się z nią w miłosnym uścisku.

- Radość czerpię ze służby Bogu - powiedział. - Z walki o to, co uważam za dobre i sprawiedliwe. Z należytego wykonania obowiązków wobec moich współbraci templariuszy.

Leonor pochyliła się nad Reynaudem. Poczul jej gorący oddech na skórze.

- Jest jeszcze miejsce na coś ponadto?

- Tak.

- A pragniesz tego?

- Tak.

Benjamin zawiązał ostatni supełek i Reynaud skrzywił się z bólu.

- Ślubowałem oddać swoje życie templariuszom, ale to było przed powrotem do Grenady. Przed tym, nim znowu cię zobaczyłem. Zanim zrozumiałem, za czym od zawsze tęskniłem.

- Powiedz mi o tym.

- Chcę być... z inną istotą ludzką. Chcę być z tobą, Lea. Ty jesteś jedyną muzyką, jaka zawsze gościła w moim sercu.

Benjamin skończył wreszcie zszywanie i sięgnął po kielich wina przyniesiony dla Leonor. Opróżnił go trzema łykami.

- Możesz rozmawiać - rzekł do Reynauda - ale jeśli ruszysz choćby jednym palcem, zniszczysz moją robotę. Rozumiesz?

Reynaud milczał. Leonor uniosła głowę.

- On rozumie, Benjaminie. On rozumie... wszystko.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Podczas wieczerzy Leonor przyjęła złożone z uroczystą miną zaproszenie Baudoina z Béziers, by usiadła obok niego przy długim, rozstawionym na kozłach stole. Odpowiadało jej towarzystwo milczącego rycerza. Reynaud dochodził do siebie w jego namiocie, a ona nie miała ochoty na beztrioskie pogawędki. Na wspomnienie walki na śmierć i życie na nowo ogarniało ją przerażenie, a jednocześnie przepelniała ją euforia, gdy przypominała sobie wyznanie ukochanego: „Jesteś jedyną muzyką, jaka zawsze gościła w moim sercu”.

Baudoin bez słowa napełnił winem jej kielich i odkroił porcję kapłona z półmiska. Być może rozumiał, że wołała milczeć po tak burzliwym dniu. Rozejrzała się po sali wypełnionej biesiadnikami. Zauważyła odzianego w zielony płaszcz Bernarda z Rodez, który posłał jej nienawistne spojrzenie. Lodowaty dreszcz przeszył Leonor.

- Boję się go nawet teraz - szepnęła do Baudoina.

- I słusznie. Wciąż pieką go odniesione rany, a co ważniejsze, zmaza na honorze. Powinnaś, pani, mieć się na baczności. Mam nadzieję, że jest nieuzbrojony. Hrabia Roger zabrania noszenia mieczy przy stole.

- On jest niebezpieczny i bez miecza.

- Owszem. Reynaud powinien uważać.

Leonor drgnęła. Nóż, którym kroїła kapłona, zadźwięczał o talerz.

- Templariusz jest dobrze strzeżony w moim namiocie - dodał Baudoin, widząc jej reakcję na poprzednią uwagę. - Opiekuje się nim ten medyk, Benjamin.

Baudoin odkroił kolejny kawałek kapłona i położył na talerzu Leonor.

- Jedz, pani. To może być długa noc.

Leonor obrzuciła oblicze Baudoina bacznyim spojrzeniem. Zrozumiała, że wiedział więcej, niż mówił.

- Wezmę to pod rozwagę - obiecała. - Będę jadła, jak każesz, panie.

- Jesteś, pani, niezwykle posłuszna. Rzadka cecha u kogoś tak... - nie dokończył.

- Prawdę powiedziawszy, wcale nie jestem posłuszna - szepnęła. - To moja największa wada. Jem, ponieważ tak nakazuje mi rozsądek.

To wyznanie rozbawiło rycerza.

- Dzisiaj wieczorem - dodała - wszyscy troje, to znaczy Andreas, Brian z Orkadów i ja, po raz ostatni staniemy do rywalizacji. Nie mogę śpiewać o pustym żołądku.

- Racja - potaknął Baudoin.

- Co prawda, oni nie zawsze bywają najedzeni. Jak mi mówili, życie trubadura jest nieustabilizowane. Zazwyczaj najpierw zjadają słodczyce, jak zauważyłam.

Poważny Baudoin z Béziers nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Nie tylko jesteś, pani, piękna, lecz także spostrzegawcza. - Zaczerwienił się, speszony własną śmiałością.

Leonor oparła się pokusie, by trochę pożartować z rycerskiego starszego człowieka. Nie chciała go jednak wpędzać w jeszcze większe zakłopotanie.

- Dożyłam dzisiejszego wieczoru, szlachetny panie Baudoinie, i dlatego dostrzegam i doceniam każdą rzecz, nawet najmniejszą. Dziękuję Bogu, że mam otwarte oczy i że moje ciało domaga się pożywienia, aby żyć. A także - dodała drżącym ze wzruszenia głosem - że ty, panie, przemówiłeś w obronie mojej czci.

- Ja przemówiłem, ale walczył templariusz.

- Mimo to jestem ci ogromnie wdzięczna. Pieśń, którą zaśpiewam, będzie przeznaczona dla ciebie.

Leonor dostrzegła łzy w oczach rycerza.

- Na starość człek wiele traci - odparł, unosząc jej dłoń do ust.

Serce Leonor ścisnęło się ze współczucia. Dzięki Baudoinowi była żywa i pełna radości życia. Miała nadzieję, że również Baudoin w latach młodości kogoś kochał. Nie powinno się odchodzić z tego świata, nie doświadczwszy chociaż raz tej szczególnej więzi duchowej z inną istotą. Zaśpiewa dla Baudoina, ale to Reynauda pragnie i kocha. Boże, pozwól mu wydobrzeć, poprosiła w duchu. Moje życie bez niego utraciłoby sens.

Później oparła harfę na ramieniu i pozwoliła, by jej głos wzniósł się pod sklepienie wielkiej sali. Śpiewała dla Baudoina z Béziers i jego utraconej młodości. Dla hrabiego

Rogera oplakującego stratę syna. Przede wszystkim jednak dla Reynauda. W pewnym momencie czyjaś dłoń uchwyciła ją za ramię z taką siłą, że harfa omal nie spadła jej z kolan.

- Przestań! - usłyszała chrapliwy głos Bernarda z Rodez.

Był purpurowy z wściekłości, ciężko oddychał. Leonor skuliła się. Kątem oka zauważyła, że hrabia Roger uniósł się z fotela z pobladłą twarzą, od której odcinała się poczerwieniała linia starej blizny. Siedząca obok niego Jannet położyła dłoń na ramieniu męża i wstała, kierując się do kuchni.

- Nie zawodź tak tkliwie, pani - odezwał się ponuro Rodez. - Twój śpiew działa mi na nerwy. - Oczy błyszczały mu złowrogo, jak u sokoła wypatrującego zdobyczy.

Leonor poczuła się nieswojo. Machinalnie wykonała znak krzyża.

- Bóg ci nie pomoże. Za to, co zrobiłaś, będziesz się, pani, smażyła w piekle - zagroził.

- Nic złego nie uczyniłam. - Leonor starała się zachować spokój. - Potwierdziła to próba prawdy, jaką była stoczona walka. Nie jestem winna popełnienia zabójstwa, o które mnie oskarżasz. Miecz mojego obrońcy tego dowiódł.

- Jesteś kobietą - odparł z pogardą - a kobieta zawsze ma coś na sumieniu, bez względu na to, o czym zadecyduje miecz.

Ten podły człowiek jest nieobliczalny i niebezpieczny, uznała w duchu Leonor. Dlatego Baudoin ją przed nim ostrzegał. Powoli opuściła harfę na posadzkę i wstała, chociaż silna dłoń niemal miażdżyła jej ramię.

- To nie miecz zadecydował o mojej niewinności, lecz własne świadectwo i uczynki. Sam przyznałeś, że nie ciąży już na mnie żaden zarzut.

- To bez znaczenia, bo jeszcze z tobą nie skończyłem - zagroził. - Wkrótce się o tym przekonasz.

- Mylisz się, już skończyłeś - rozległ się głos z końca sali.

Benjamin! Co on tu robi? Dlaczego nie dogląda Reynauda?

Szpitalnik odwrócił się gwałtownie. Dobył ukrytego pod płaszczem miecza. Spowita w czerń postać Benjamina przesuwiała się ku środkowi sali.

- Nie możesz mnie zabić, zanim nie przemówię - odezwał się starzec.

- Mów! Pozwólcie mu mówić! - rozległo się wołanie z sali.

- Jesteś uzbrojony - zauważył Benjamin. - Myślałem, że hrabia Roger zabrania siadać do stołu z mieczem przy boku.

Na sali zawrzało.

- Ale - nad gwarem dominował głos Benjamina - może masz powód, by nie rozstawać się z mieczem?

Rodez wzruszył ramionami. Benjamin stanął tuż przy nim.

- Ja też na twoim miejscu nie rezygnowałbym z broni, wiedząc, jaka jest prawda.

- Prawda? - zachrypiał Joannita. - A ty, stary człeczko, wiesz, jaka ona jest?

- Owszem, wiem na przykład o Galeranie, synu hrabiego.

Na wzmiankę o synu hrabia Roger wydał stłumiony jęk i ruszył ku Rodezowi.

- Co ma z tym wspólnego mój syn? - zapytał.

Benjamin przeniósł spojrzenie na hrabiego.

- Galerana nie widziano w zamku w Moyanne przez wiele dni. Myśleliśmy, że uciekł do Carcassonne, do ciebie, panie. Jednak co innego się wydarzyło. Bernardzie z Rodez, może nam powiesz co.

Joannita milczał.

- Powiesz? - naciskał Benjamin.

Leonor struchlała. Niech on przestanie! Rodez go zabije!

- Oskarżyłeś Leonor de Balenguer y Hassam o zabójstwo - mówił dalej Benjamin. - Twierdziłeś, że ciało chłopca zostało ukryte pod stertą liści za stajniami.

Ramię Bernarda z Rodez wsparte na mieczu drgało niebezpiecznie.

Benjamin stanął między szpitalnikiem a Leonor.

- Skąd o tym wiedziałeś?

Rodez milczał.

- To akurat jest prawda - ciągnął Benjamin, zwracając się do hrabiego Rogera. - Świadek to potwierdził.

Okrzyki zgrozy rozległy się ze strony osłupiałych z wrażenia słuchaczy.

- Nie było żadnego świadka! - warknął Rodez.

- Był. Odkryłem to dopiero dzisiaj, gdy toczyła się walka, mająca rozstrzygnąć o winie lub niewinności Leonor.

- A gdzie podział się ten świadek? - spytał Rodez.

- Jest z nami, w Carcassonne - oznajmił Benjamin.

Uwagę Leonor zwrócił stłumiony jęk dochodzący spod kamiennej ściany. Stała tam drobna, zakapturzona postać.

Głos Benjamin przedarł się przez rosnący na sali gwar.

- Niech przemówi świadek.

TLR



## Rozdział dwudziesty piąty

- Powiedz im - zawołał przez ramię Benjamin - co się wydarzyło w zamku w Moyanne.

Zapytany milczał. Benjamin nie spuszczał wzroku z Rodeza.

- Podejdź tu i opowiedz, co wiesz o człowieku, którego zwaą Bernardem z Rodez.

Zachęta nie okazała się skuteczna.

- Chodź - ponaglił Benjamin. - Powtórz wszystko, co mi opowiadałeś dzisiaj po południu.

W migotliwym świetle świec umieszczonych w przymocowanych do ścian lichtarzach wyłoniła się spod kaptura drobna twarz. Galeran! Hrabia Roger rzucił się w kierunku syna i przygarnął go do piersi.

Benjamin podniósł głos.

- Galeranie, wiem, że się boisz Bernarda z Rodez. Lękasz się, że użyje miecza, jeśli wyjawisz, co wiesz. Jeśli nie zaczniesz mówić, i to szybko, to, jak mi Bóg miły, oszczędzę szpitalnikowi fatygi i sam ci przyłożę.

- Ale co mam powiedzieć, mistrzu Benjaminie? O tym rowie? - spytał Galeran, tułac się do szerokiej piersi ojca.

- O tym, co ci zrobił Bernard z Rodez.

Giermek milczał tak długo, że Leonor miała ochotę krzyczeć. Benjamin podszedł jeszcze o krok bliżej do Rodeza. Znajdował się teraz w zasięgu jego miecza, ale za blisko, by potężnie zbudowany rycerz mógł wyprowadzić cios. Szpitalnik trzymał miecz w trzęsących się dłoniach.

- On... - zaczął Galeran cienkim, płaczkliwym głosem - on... to znaczy ten człowiek zacisnął dłonie na mojej szyi i ścisnął tak długo, aż przestałem oddychać, a potem ujrzałem ciemność. Obudziłem się pod stosem liści w rowie za stajniami.

- Chłopak kłamie! - wykrzyknął Rodez. - Ten półgłówek plecie głupstwa. Zabiję każdego, kto ośmieli się twierdzić, że jest inaczej.

Leonor wystąpiła do przodu.

- Będziesz musiał zabić również i mnie, ponieważ oskarżyłeś mnie fałszywie o zbrodnię. Opisałeś miejsce, gdzie spoczął rzekomo martwy Galeran. Tylko ktoś, kto sam go tam ukrył, mógł znać to miejsce, rycerzu z Rodez. Zdradziłeś się.

- On to zrobił. Ten Żyd.

- Nie, on tego nie zrobił - zaprzeczyła Leonor. - Ty chciałeś zabić Galerana i prawie ci się to udało.

Biesiadnicy zaczęli się tłoczyć wokoło. Inni ruszyli zdejmować broń pozostawioną na wbitych w ściany hakach. Baudoin z Béziers przypasał miecz. Rycerze z Tuluzy zgromadzeni w jednym końcu sali naradzali się, co robić. Jeden po drugim zaczęli się zwracać przeciwko Bernardowi z Rodez.

Zanosilo się na rozlew krwi. Leonor rzuciła okiem na Benjamina. Ledwo dostrzeżalnym ruchem głowy dał jej do zrozumienia to, co chciała wiedzieć. Dążąc do ujawnienia prawdy, nie będzie narażał bezpieczeństwa Galerana.

W sali zapanowała złowroga cisza. Napięcie było do zniesienia.

W desperacji Leonor spojrzała na hrabiego Rogera. Nie mogła wyczytać niczego z jego udreżonej, bladej jak płótno twarzy. Minęła chwila, dwie. Nikt się nie poruszył, jakby na wszystkich został rzucony czar. Bernard z Rodez wbił w nią wzrok. Miał rozszerzone źrenice, potężną dłoń zacisnął na rękojeści miecza.

- Zniszczę każdego, kto przemówi przeciwko mnie. Nawet ciebie, pani.

Leonor zmobilizowała całą swoją odwagę.

- Prawdy nie da się zniszczyć. Będziesz musiał z nią żyć, a w chwili śmierci będzie płamiła twoją duszę - powiedziała.

- Tak się nie stanie! - wykrzyknął.

Złapał ją za nadgarstek i, wykręcając jej rękę do tyłu, odwrócił Leonor tak gwałtownie, że poczuła silny ból w łopatce. Szpitalnik zaczął przesuwać się do przodu, zasłaniając się Leonor jak tarczą. W prawej ręce trzymał miecz, którym wymachiwał przed nią, by nikt nie zastąpił mu drogi. Na co liczył w sali wypełnionej uzbrojonymi rycerzami? Leonor potknęła się o nierówną deskę podłogi. Rodez szarpnął ją, by nie upadła, i tym razem nie zdołała powstrzymać okrzyku bólu.

Wtedy z otaczającego ich kręgu wystąpił ktoś z mieczem gotowym do zadania ciosu.

- Puść ją!

Reynaud! Miał opatrunek wokół szyi i na ramieniu. Na tunice widoczne były plamy zaschniętej krwi. W świetle świec lśniły krwiste granaty, którymi była wysadzana rękojeść jego miecza. Po sali przeleciał szmer jak szum przewianych na wietrze zeschniętych liści.

- Patrzcie na jego miecz! - wykrzyknął ktoś. - To miecz Arnauda z Tuluzy!

Leonor usłyszała inny głos z tyłu. Na drodze Bernarda stanął Benjamin z dobytym sztyletem.

- Bóg pomaga tym, którzy sami potrafią sobie pomóc! - zawołał do Reynauda.

Leonor wydała głośny jęk. Niewielki sztylet Benjamina był kompletnie bezużyteczny wobec ciężkiego, obosiecznego miecza Bernarda.

- Brawo! - odparł Reynaud.

Szpitalnik jeszcze boleśniej wykręcił ramię Leonor.

- Ruszaj się, przeklęta!

Wywichnięte ramię bolało nieznośnie, ale Leonor znalazła w sobie siłę, by zaprotestować.

- Nie zamierzam.

Reynaud zaszedł im drogę. Wypatrywał dogodnej chwili, żeby dosięgnąć mieczem Rodeza. Aby mu to ułatwić, Leonor instynktownie próbowała uchylić się w bok i odsłonić Rodeza, ten jednak odgadł, co się święci, i przytrzymał ją jeszcze silniej, tak że była bliska omdlenia z bólu.

- Puść ją! - polecił ostro Reynaud. - Miej odwagę, psie, stanąć do walki jak mężczyzna.

Rodez nie zamierzał jednak zrezygnować z osłony, jaką dawała mu Leonor. Przeciwnie, przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, niemal wyrywając jej ramię ze stawu. Leonor z krzykiem odchyliła się w prawo.

Skorzystał z tego Reynaud i zaatakował Rodeza, on wszakże zdążył zasłonić się mieczem, którym dosięgnął templariusza, tnąc go przez pierś. Na tunice wykwitła plama

świeżej krwi. Nie powstrzymało to Reynauda. Krawędzią usztywnionej dłoni uderzył przeciwnika w grdykę, w efekcie czego Rodez wypuścił Leonor. Reynaud pośpiesznie odciągnął ją z zasięgu miecza szpitalnika. Okrzyk wściekłości Rodeza nie zaalarmował na czas templariusza. Nie zdążył się odwrócić, żeby odparować furiacki cios, który ugodził go w bark raniony w walce stoczony poprzedniego dnia. Na sali rozległy się okrzyki oburzenia. Templariusz odepchnął Leonor jak najdalej od siebie i dopiero wtedy mógł się zwrócić przeciwko atakującemu, który znowu uniósł trzymany oburącz miecz nad głowę, rycząc przy tym niczym wściekłe zwierzę. Mierzył w szyję przeciwnika. Leonor powstrzymała okrzyk przerażenia. Takim ciosem Rodez mógł odciąć Reynaudowi głowę.

Templariusz przerzucił miecz do lewej ręki, gdyż prawa, wcześniej ranna, mogła go zawieść, i przypuścił atak na Rodeza. Ostrze jego miecza trafiło joannitę w szyję. Gulgocząc, padł na posadzkę i legł bez ruchu. Reynaud, ciężko oddychając, stanął nad jego nieruchomym ciałem. Po twarzy spływał mu pot i kapał na tunikę. Otarł rękawem czoło. W tym momencie na sali zapanował nieopisany tumult.

- Leonor - dał się słyszeć jego zdyszany głos. - Mój miecz został rozpoznany przez rycerzy z Tuluzy. Muszę uciekać.

- Jadę z tobą!

- Nie ma czasu.

Zbliżył się Baudoin z Béziers z mieczem w dłoni. Popchnął Reynauda do wyjścia.

- Zabieraj się stąd, templariuszu, zanim ci zarozumialcy z Tuluzy cię zarąbią. I twoją panią również.

Reynaud wiedział, że to prawda. Otaczało go co najmniej tuzin rozgniewanych rycerzy. Leonor rozumiała jego rozterkę. Musi ją porzucić, bo jeśli tego nie zrobi, zginie.

- Uciekaj, pani, z nim - doszedł ją głos Baudoina z Béziers. - Inaczej on zostanie. Osiodłane konie czekają na dziedzińcu. Szybko, czas nagli!

Błysnęło ostrze miecza. Baudoin zręcznie zablokował cios.

- Biegnij! - krzyknął do Leonor. - Schodami na górę. Tam jest przejście. On o tym wie.

Nie mógł się nią więcej zajmować, bo obiegło go trzech rycerzy w niebiesko-złotych barwach Tuluzy. W gąszczu obnażonych mieczów otwarła się ścieżka, ale

templariusz wciąż się wahał. Leonor rzuciła się w stronę schodów. Z bijącym sercem mierzyła odległość. Jeszcze dziesięć kroków. Jeszcze pięć. Słyszała za sobą oddech Reynauda. Biegł za nią.

Była już na pierwszym stopniu, gdy zatrzymał ją czyjś ochrypły okrzyk. Odwróciła się. Baudoin z Béziers padał na podłogę. Nie zastanawiając się, przemknęła obok Reynauda i wróciła do leżącego bez ruchu rycerza. Przed atakiem rozsierzonego tłumu osłonił ją swym wątlym ciałem Benjamin.

- Biegnij! - krzyknął jej do ucha i popchnął ją w stronę schodów. - Ratuj się!

Leonor rzuciła ostatnie spojrzenie na nieruchome ciało starego rycerza, chwyciła w dłoń suknię i wbiegła na schody. Reynaud tam już był.

Na ciemnym dziedzińcu niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę dwa osiodłane konie. Leonor rozpoznała siwego wierzchowca. Reynaud błyskawicznie wskoczył na siodło i wciągnął Leonor przed siebie. Złapał wodze drugiego zwierzęcia i ruszył z kopyta ku bramie zamkowej.

Dlaczego północnej? Według Leonor, powinni uciekać na zachód, do Moyanne. Nie zdążyła zapytać. Reynaud sam to wyjaśnił.

- Nie domyślą się, że uciekamy w kierunku Tuluzy. Wiedzą, że jestem tam znany i nie mam czego szukać.

Przemknęli z łoskotem przez bramę. Pochłoneła ich ciemność nocy. Usłyszeli za plecami, że na deskach zwodzonego mostu zastukały kopyta innego konia, który po wyjeździe z bramy skręcił w przeciwną stronę niż oni. Reynaud zaśmiał się cicho.

- Znam pewne miejsce - odezwał się, czytając w myślach Leonor. - To ukryta w górach warownia katarów\*.

\* Katarzy (katarowie) - ogólna nazwa sekt heretyckich XI-XIV w. w południowej Francji i północnych Włoszech (przyp. red.).

Biskup Pierre dał Reynaudowi klucze do tego zapomnianego schronienia heretyków. Przycisnął Leonor do piersi. Byli chwilowo bezpieczni dzięki dalekowzroczności Baudoina z Béziers, który wiedział o urazie, jaką żywili do templariusza rycerze z Tuluzy. Przed wieczerzą szlachetny stary rycerz pochował siodła ich wszystkich.

Reynaud czuł pulsowanie rany na łopatce, rana na piersi krwawiła. Zaczepnął pełną piersią wonnego powietrza i jeszcze mocniej przyciągnął do siebie Leonor. Zamknął oczy. W najbliższym czasie musi ostatecznie rozstrzygnąć dylemat, co jest dla niego ważniejsze: śluby zakonne czy miłość do kobiety, którą trzymał teraz w ramionach. Niczego nie mógł jej podarować oprócz siebie, rycerza bez ziemi, na dobitkę pochodzącego z nieprawego łoża. Skoro nie ma nic ani ojca, ani ziemi, ani nazwiska - to jedna noc z Leonor musi mu wystarczyć na resztę życia.

## Rozdział dwudziesty szósty

Montguy wyglądało jak przytulony do skalistego zbocza górskiego zamek z bajki. Szare, niemal czarne mury spływały z granitowego urwiska niczym kamienny wodospad.

Konie stuknęły kopytami po wiodącej w górę wąskiej, krętej ścieżce. Wyżej i wyżej. Wreszcie stanęły pod masywną, poczerniałą od deszczu, wiatru i słońca żelazną bramą. Wewnątrz fortecy nie było oznak życia. Nie świeciło się światło, żaden ruch nie zakłócał ciszy. Jakby miejsce to uspił potężny czarodziej.

Reynaud zatrzymał rumaka i siedział bez ruchu, nasłuchując. Księżyc zaszedł już dawno, w ciemnościach niewielkie nocne zwierzątka szeleściły pod sosnami, zarastającymi skalne zbocze. Zagwizdał cicho. Z zarośli odpowiedział mu słowik. Odetchnął z ulgą. Zamek był niezamieszkały.

Oddał wodze swojego wierzchowca Leonor i zeskoczył ostrożnie z siodła, by nie urazić zranionego barku. W drodze zatrzymali się, żeby się wykapać i opatrzyć jego rany, ale mimo wszystko bardzo go bolały.

Włożył przedziwnego kształtu żelazny klucz do zamka i dwiema rękami, nie bez wysiłku, przekręcił go w prawo. Brama otwarła się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów.

Nagromadzone w Leonor napięcie ustąpiło. Nagle poczuła się wyjątkowo dobrze. Czy to w porządku? Dzisiaj na jej oczach zginął człowiek, a ona nie odczuwa w obecnej chwili nic oprócz radości życia. Jej źródłem radości, poza ucieczką i faktem, że znaleźli bezpieczne schronienie w tej opuszczonej warowni, była bliskość Reynauda. Przez wiele

godzin w siodle czuła za plecami jego muskularne ciało, świadoma każdego jego ruchu i oddechu.

Wyciągnął po nią ramiona i objął ją w pasie. Przy akompaniamencie dziwnego dźwięku wydobywającego się z gardła postawił ją przed sobą na ziemi. Przez chwilę stał bez ruchu, jakby nad czymś się zastanawiał.

Leonor zadrzała. Wiedziała, że sam toczył ze sobą wewnętrzną walkę. Była dla niego owocem zakazanym, ale pożądanym. Ona też pragnęła znaleźć się w jego ramionach.

- A niech tam - podjął wreszcie decyzję Reynaud. - W życiu człowieka jest tak mało szczęścia. W końcu każdego czeka śmierć, ale ja nie chcę odchodzić z tego świata, nie zaznawszy twojej miłości.

- Myślę - zastanowiła się chwilę Leonor, szukając właściwych słów, które oddałyby to, co miała w sercu - że miłość jest podzielna. Można kochać Boga i Kościół oraz kobietę - dodała miękkiem głosem. - Dlaczego Bóg stworzył cię najpierw mężczyzną, a dopiero potem rycerzem zakonnym?

- Kocham ciebie, Leonor, a nie Kościół i zakon.

- Mylisz się. Uważam, że jedno drugiego nie wyklucza. Ziemia i niebo, dzień i noc, mężczyzna i kobieta - wszystko to jest tworem Boga. Stworzył świat i prowadzi nas, o ile podążamy za głosem serca.

- Mówisz, jakbyś należała do katarów - zauważył żartobliwie i otoczył ją ramieniem.

- Mówię jak kobieta, która cię kocha.

Zauważyła, że zadrzał.

- Pragnę cię, mimo że moje śluby zakazują mi tego.

- Więc mnie weź. Nie wiemy, co przyniesie jutro. Cokolwiek to będzie, przyjmę ze spokojem, jeśli dzisiejszej nocy będziemy razem.

- Jednej nocy nie starczy na to, czego ja chcę od ciebie.

Ujął jej dłoń i poprowadził ją przez bramę do wnętrza fortecy.

Leonor obudziła się zaniepokojona. Coś było nie w porządku. Pościel obok niej była jeszcze ciepła, ale Reynauda nie było. Zniknęło też jego ubranie. Buty leżały w kącie, tam, gdzie je w pośpiechu zrzucił wczorajszej nocy.

Ona też się wczoraj spieszyła. Pamiętała, co jej powiedział, gdy leżeli na pokrytym czerwonym adamaszkiem łożu, pachnącym wyschniętą lawendą, i co mu odpowiedziała. W tej chwili nie mogła się nadziwić swojej śmiałości.

- To nie będzie łatwe, bo to twój pierwszy raz.

- I ostatni. Dlatego nie chcę, żeby było łatwo. Chcę to zapamiętać do końca życia.

To było realne i nierealne zarazem. Była bardziej sobą niż kiedykolwiek wcześniej, a jednocześnie ze zdziwieniem odkrywała w sobie nieuświadomianą dotychczas moc i głębię doznań, których istnienia nie podejrzewała.

Święta Panienko, modliła się, wejrzyj na tę kobietę, twoją sługę, i pobłogosław jej szczęściu. Bo jest to szczęście nieporównywalne do żadnego innego na tej ziemi. To niemożliwe, by nie działało się tak za sprawą Boga.

Drzwi izby otworzyły się i stanął w nich Reynaud z na wpół odpakowanym zawiątkiem z chlebem i serem.

- Znalazłem to w jukach. Były tam też twoje spodnie do konnej jazdy i czysta tunika. Czuję w tym rękę żony hrabiego Rogera.

W całym wczorajszym rozgardiaszu Jannet zachowała tyle przytomności umysłu, by pomyśleć o praktycznych rzeczach. Leonor wyciągnęła rękę po ser.

- Och, jaki smaczny! Jestem dzisiaj wyjątkowo głodna.

Reynaud roześmiał się. Wiedział, skąd u niej ten apetyt. Musiał czuć to samo, co ona. Widziała to w jego szmaragdowych oczach, których od niej nie odrywał.

- Moglibyśmy...? - Zawiesiła głos.

- Nie mamy czasu. Musimy jak najszybciej dotrzeć do Moyanne. Powiniennem osobiście powiedzieć hrabiemu Henrykowi o śmierci syna. Ubieraj się, *jamiilah*. Przed nami długa droga.

Jechali trzy dni. Podróż była bardzo męcząca, ale noce były upojne. Napawali się samotnością we dwoje, niezmordowani w wynajdywaniu radości z obcowania ze sobą.



Reynaud popędzał konie, a Leonor nie wiedziała, czy spieszy mu się do celu ich podróży, czy tylko do następnego nocnego biwaku, żeby znowu mógł się z nią kochać. Byli jak w transie. Dla niej nie liczyło się nic oprócz bliskości ukochanego.

Zatrzymali zdrożone konie w cieniu prastarego dębu w zakolu rzeki Oloron. To będzie ich ostatnia wspólna noc.

Koniec musiał kiedyś nastąpić. Leonor o tym wiedziała. Czytała to z twarzy Reynauda, kiedy ją obejmował i całował. Był templariuszem, rycerzem zakonnym. Na pozycję w zakonie musiał zasłużyć walecznością na polu bitwy oraz zręcznością z wykonywaniu dyplomatycznych misji, powierzonych przez wielkiego mistrza. A ona była córką wezyra Grenady. Jutro wjadą w bramę zamku w Moyanne jako kuzyni, a nie kochankowie. Potem on ją opuści, by dalej służyć swojemu zakonowi. Jeśli na tym polega miłość do mężczyzny, to nic dziwnego, że czasami kobiety umierają ze złamanym sercem.

Uniósł ją z siodła i postawił przed sobą. Musnął ustami jej czoło. Zamknęła oczy i zapomniała o wszystkich zmartwieniach. Powoli zdjął z niej tunikę, potem rozwiązał węzeł sznura podtrzymującego spodnie. Opadły na ziemię wokół kostek. Leonor wyszła z nich, uwalniając jednocześnie stopy z poobcieranych od strzemienia skórzanych pantofli.

Uchwycił jej obnażoną nogę i uniósł wysoko, by kolaniem dotknęła zewnętrznej strony jego uda. Oddychał gwałtownie, lecz niespodziewanie ją puścił. Pobiegł w stronę rzeki, po drodze gubiąc ubranie. Jego pokryty potem tors lśnił w świetle zachodzącego słońca. Nie oglądając się za siebie, zanurkował.

Leonor zrozumiała nieme zaproszenie. Zeszła na brzeg, zanurzyła się w chłodnej, niebieskozielonej wodzie i, tnąc powierzchnię powolnymi ruchami ramion, popłynęła w stronę Reynauda. Stał na dnie, woda sięgała mu po pachy. Dopłynęła do niego, muskając piersiami jego muskularny tors.

Przyciągnął ją, a ona oplótła go udami. Zaśmiał się radośnie, a jego głos brzmiał młodo i beztrąsko. Niespodziewanie, ciągle unosząc ją w ramionach, zaczął brodzić w stronę brzegu. Tam posadził ją na materacu z gęstego tymianku i ukląkł obok. Ostry zapach ziela wypełnił nozdrza Leonor. Machinalnie zerwała gałązkę i roztarła ją między piersiami i na brzuchu. Nie zastanawiała się, co robi, ale gdy poczuła gorący, wilgotny

język Reynauda na swych piersiach i brzuchu, zrozumiała, że zrobiła coś jak najbardziej właściwego. Pomyślała, że zapamięta zapach tymianku do ostatnich dni swego życia.

Chciała rozkochać w sobie Reynauda, a jednocześnie chciała go posiadać. Jej ciało żyło własnym życiem. Zrozumiała, na czym to polega. W akcie miłości dwa niezależne byty - dusza i ciało - stapiają się w jedną całość.

Ta myśl podnieciła ją bardziej, niż mogła się spodziewać. Nie mogła się doczekać momentu, w którym ich ciała połączą się, rozumiała jednocześnie, że im dłużej odwlecze tę cudowną chwilę, tym ich zjednoczenie będzie pełniejsze.

Spojrzała mu przeciągle w oczy i uśmiechnęła się. Zrozumiał i położył się, oddając jej inicjatywę. Górowała nad nim. Rozpuściła włosy, które opadły na jego twarz i pierś. Słuchała bicia jego serca, oddychała jego oddechem.

Rozpierała ją dzika, nieposkromiona radość, jednak przyjmowała go wolniej i głębiej niż dotychczas. Bardziej świadomie. Wreszcie ta pożoga, której płomienie lizały jej ciało, rozgorzała pełnym blaskiem i eksplodowała. Reynaud przycisnął ją mocno do siebie, sam wstrząsany niekontrolowanymi spazmami.

Bóg niekiedy przemawia późno, myślał w zachwycie, ale wyjątkowo jasno. Wątek jego życia, tak długo poplątany, ułożył się w końcu w wyraźny wzór. W tej kobiecie, w tym akcie, odnajdywał tę część siebie, której poszukiwał aż do tej pory.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Hrabia Henryk pojaśniał na twarzy i wstał. Uchwycił wyciągniętą dłoń Reynauda.

- Witaj, rycerzu! Brakowało nam ciebie przez tych kilka tygodni. Ogromnie stęskniliśmy się za dźwiękiem harfy Leonor.

- Nie przywiozła harfy - powiedział z pewnym wahaniem Reynaud.

- Nie przywiozła? Dlaczego? - Hrabia uniósł krzaczaste brwi. Patrzące spod tych brwi życzliwe niebieskie oczy spoczęły na zakurzonej w podróży odzieniu Reynauda. - Musieliście się spieszyć.

- Panie, przywożę smutną wiadomość.

Reynaud wiedział, że musi przekazać hrabiemu wieść o śmierci Bernarda z Rodez, zanim zrobi to inny przybysz z Carcassonne.

- Zatem mów. - Hrabia nie tracił spokoju.

Reynaud poprosił go, by usiadł, sam przykląkł obok niego, patrząc wprost w jego ściągniętą bólem twarz. Ujął jego dłonie w swoje.

- Przysięgam, że chciałbym oszczędzić ci tego, hrabio Henryku, ale nie mogę. Twój syn, Bernard z Rodez, nie żyje.

Oczy hrabiego zaszkliły się, usta wykrzywiły, ale nie wydał głosu. Milczał przez dłuższą chwilę.

- Jak zginął? - spytał w końcu. - Podczas turnieju? Mój brat Roger lubuje się w urządzaniu takich widowisk.

- To nie stało się podczas turnieju. Ja z nim walczyłem. To była walka w obronie Leonor - wyjaśnił Reynaud.

- Leonor? - Krew odpłynęła z policzków hrabiego Henryka. - Cóż za niegodziwość popełnił tym razem?

Reynaud zawahał się.

- Uchybił jej. Poszły w ruch miecze. Musiałem ingerować, inaczej bardzo by ją skrzywdził.

Hrabia milczał, kiwając głową.

- Oczernił Leonor - kontynuował Reynaud. - Stoczyłem z nim walkę, by oczyścić ją z zarzutu. Ubolewam nad tym, ale to ja go zabiłem.

Hrabia przyjął wyznanie w milczeniu. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał tak, jakby dochodził z daleka.

- Może to dziwne, że nie jestem zaskoczony, bo też ten chłopak od najmłodszych lat był inny niż wszyscy, ale to mój jedyny syn, dziedzic nazwiska i majątku.

- Żałuję, że to uczyniłem, lecz nie miałem wyjścia. - Reynaud zapragnął utulić zboląłego hrabiego w ramionach.

- Powiedz mi resztę.

- Twój brat, hrabia Roger, pomógł nam uciec. Chciałem pierwszy donieść ci o tym smutnym zdarzeniu, wiedząc, jak cię to zboli.

Hrabia pogłaskał Reynauda po głowie.

- Nie rób sobie wyrzutów, rycerzu. Od dawna wiedziałem, że mój syn nie dożyje późnego wieku. Był zapalczywy, mściwy i chciwy. Wcześniej czy później ktoś musiał go zabić. Smutne, że to byłeś ty.

Reynaud zamrugał powiekami, żeby ukryć łzy. Wzruszyła go postawa hrabiego. Delikatna pieśczoła ręki poruszyła najgłębsze warstwy jego duszy. Jakże brakowało mu takiego dotknięcia, gdy był chłopcem! Przybrany ojciec, Hakim, nie był skłonny do okazywania uczuć. Tylko stryj Hassam od czasu do czasu zdobywał się na czulszy gest.

Obiecał sobie, że podczas pobytu w Moyanne, gdzie będzie oczekiwał na nowe rozkazy wielkiego mistrza, postara się w miarę możliwości ulżyć doli hrabiego. A potem... opuści Leonor i wróci do zakonnego życia.

Hrabia wstał i położył dłoń na ramieniu Reynauda.

- Pani Alais i ja oczekujemy cię na wieczerzy. Trochę mocnego gaskońskiego wina obu nam dobrze zrobi.

Trzy godziny później Reynaud maskował wesołość, słuchając po raz kolejny zachwyty pani Alais nad miotem jej charcicy. Ta kobieta utraciła wszelką miarę. Ktoś by pomyślał, że chodziło nie o szczeniaki, tylko o jej własne dzieci.

- Alais uwielbia małe stworzenia - usprawiedliwił żonę Henryk. - Teraz, po śmierci mojego syna...

Nie dokończył myśli. Reynaudowi krajało się serce na widok udęzionej twarzy hrabiego. Wychylił zawartość swojego kubka i przywołał podczaszego, by obu im nalał.

- Dzięki, rycerzu - rzekł z westchnieniem hrabia. - Rzadko piję tyle wina o tak późnej porze, dzisiaj wszakże chyba tego potrzebuję.

Reynaud stuknął swoim cynowym kubkiem wysadzonym drogimi kamieniami o puchar hrabiego.

- Będę ci więc towarzyszył, panie.

On też potrzebował pociechy. Musi przestać myśleć o Leonor, która siedziała przy tym samym stole na podwyższeniu. Jadła bez słowa, pozornie zasłuchana w opowieść ciotki Alais o tym, jak powiodło się odstawienie szczeniaków od suki.

Sąsiedztwo ukochanej, znajomy zapach jej włosów, a nade wszystko pamięć niedawnej intymnej bliskości były dla Reynauda istną torturą. Tej nocy nie będą razem, nie złączą się w miłosnym uścisku, nie dana im będzie upojna rozkosz. Ona będzie leżała samotnie w swojej izbie, on będzie do świtu przemierzał zamkowe mury od blanki do blanki.

- Pij, rycerzu. - Nachylił się do niego hrabia Henryk. - Wino ukoi smutek twojej duszy.

Reynaud zaśmiał się krótko. Czy rzeczywiście? Może zdoła uciszyć głos ciała, ale nie ukoi tęsknoty, nie wyciszy emocji. Egzystencja bez Leonor będzie szara i żałosna. Trudno, widocznie takie jest jego przeznaczenie. Napije się. Przynajmniej dotrzyma towarzystwa hrabiemu.

- Pani Alais jest dobrą żoną - powiedział ni stąd, ni zowąd hrabia. - Zawsze była.

Reynaud bąknął coś na potwierdzenie. Wciąż nie odrywał oczu od Leonor, ubranej w jasnożółte jedwabie, z włosami przewiązanymi złotym sznurem i przykrytymi przezroczystym welonem. Śledził każdą zmianę mimiki jej twarzy. Jego udęka stawała się nie do zniesienia. To, co przeżyli w ostatnich dniach, musi im wystarczyć do końca życia, ale Leonor wyjdzie kiedyś za mąż. Myśl o tym, że mogłaby się znaleźć w ramionach innego, doprowadzała go do rozpacz.

- Ach, te kobiety - kontynuował hrabia. - Każda jest inna, choć w gruncie rzeczy wszystkie jednakie. Nie zdołałem pokochać matki Bernarda. Myślałem, że z czasem mi się uda, ale tak się nigdy nie stało. Mimo wszystko brakowało mi jej, gdy zabiła ją gorączka. I owej wiosny, kiedy jechałem z Nawarry do Aragonii w odwiedziny do dziadka Leonor, zakochałem się po raz pierwszy w życiu.

Reynaud niespokojnie poruszył się na ławie. Nie chciał podejmować tematu miłości hrabiego czy kogokolwiek innego. Nie w sytuacji, gdy Leonor była tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Nie wtedy, gdy bał się nawet dotknąć jej dłoni, bo nie miał pewności, czy zdoła ukryć przed otoczeniem, co dzieje się w jego sercu.

- Od początku nasz związek był skazany na niepowodzenie - zwierzał się w dalszym ciągu hrabia. - Byłem znacznie starszy i w żałobie, a ona była prostą dziewczyną z ludu. Pokochała mnie, jak sądzę. Wniosła wiele radości w moje życie tamtej wiosny, uleczyła mnie z samotności, tak jak to tylko potrafi kobieta. Była dziewicą, kiedy została moją kochanką.

- Miałeś, panie, wielkie szczęście - bąknął Reynaud.

- To prawda. Gdyby nie chodziło o rodowe dziedzictwo, to bym ją poślubił. Musiałem jednak zważyć na swoje obowiązki, więc ożeniłem się z inną. - Hrabia wskazał głową panią Alais. - Nigdy jednak nie zapomniałem tamtego słodkiego dziewczęcia ani wspólnych szczęśliwych chwil.

- Wracasz do niej we wspomnieniach, panie? - zapytał wzruszony Reynaud.

- Bardzo często. Wolno zapytać, czy kochałeś kobietę?

Reynaud zeszywniał i dopiero po kilku głębokich oddechach opanował się. Hrabia przyglądał mu się uważnie.

- Jestem bastardem, panie, i templariuszem. Nie mam prawa pokochać żadnej kobiety.

- *Eh bien*. Jak to się stało, że wychowała cię arabska rodzina w Grenadzie?

- Tuż po urodzeniu przyniesiono mnie w wiklinowym koszyku do domu Hakima. Hakim, arabski stryj Leonor, został moim przybranym ojcem.

Hrabia Henryk popatrzył na Reynauda i orzekł:

- Wprawdzie takie małżeństwa należą do rzadkości, lecz to nie znaczy, że są zakazane czy niemożliwe. Tym bardziej że nie jesteś półkrwi Arabem, jak myślałem.

Reynaud uściskał dłoń hrabiego.

- Nie jestem. Chciałbym poznać swoje pochodzenie, ale na razie nic o nim nie wiem.

Po wieczerzy, przechadzając się po szczycie murów zamkowych, Reynaud wdychał łagodne, nocne powietrze, starając się uporządkować skłębione myśli. Polubił hrabiego, podziwiał jego łagodny, choć niepozbawiony autorytetu sposób, w jaki władał swoją domeną, a nawet zazdrościł mu żony. Gdyby kazano mu wybrać, kogo najbardziej szanuje poza stryjem Hassamem, wskazałby na Henryka, pana Moyanne.

Ojca nie można sobie wybrać, pomyślał z bólem Reynaud. Tak już jest, że on nigdzie nie przynależy, zawsze jest obcy. Do tej pory był przekonany, że w życiu mężczyzny na równi z dziedzictwem i pochodzeniem liczą się wyczyny na polu bitwy, można bowiem dzięki nim zyskać sławę, a nawet majątek. Obecnie uzmysłowił sobie, że to za mało. Takie sukcesy nie określają wartości mężczyzny.

Uchwycił się chropawej krawędzi kamienia, aż zaboląły go stawy palców. Zwrócił twarz ku niebu, na którego horyzoncie pokazały się pierwsze, pomarańczowe zwiastuny jutrzeńki.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Leonor przebudziła się z niespokojnego snu. Usiadła i spuściła nogi z wąskiego łóżka. Z dziedzińca dochodził stukot kopyt końskich i pokrzykiwania ludzi. Co się tam dzieje? Szybko podeszła do okna.

Miedziane promienie porannego słońca oświetlały wypełniony ludźmi dziedziniec. Przyjechali goście. Rycerz i jego dama w towarzystwie dwóch zakapturzonych mnichów i dwóch - nie, trzech duchownych. A także cały orszak zbrojnych. Leonor z ulgą stwierdziła, że wszyscy nosili szkarłatno-czarne barwy Carcassonne, nie zaś błękitne i złote Tuluzy. Zapewne hrabia Roger i Jannet, ucieszyła się.

Na końcu z wewnętrznej bramy wyjechała wysoka postać w czarnym ubraniu, dosiadająca muła. Benjamin! Leonor wciągnęła koszulę i pierwszą lepszą suknię, jaka się nawinęła, zbiegła po schodach i wypadła na dwór.

- Benjaminie!

- Leonor! Mój kwiatuszku! Każdego dnia tysiąc razy umierałem z niepokoju, gdy nie znajdowaliśmy żadnego śladu ani po tobie, ani po Reynaudzie. Bez wątpienia unikałście utartych szlaków.

- Zgadłeś.

Stary nauczyciel nigdy się nie dowie, dlaczego tak naprawdę zbaczali z głównych szlaków. Chociaż kto wie? Sądząc po iskierkach świecących w jego czarnych oczach, wszystkiego się domyślił.

- Moja kochana, jestem niemiłosiernie zdrożony. Oddam duszę za kąpiel i siennik w pobliżu kuchni.

Oddam duszę...

Leonor uświadomiła sobie, że jeszcze się nie wypowiedziała z grzechów popełnionych w drodze do Moyanne. Dziwne, lecz ani odrobinę nie czuła się istotą grzeszną. Piśmo Święte umiała na pamięć, zanim nauczyła się czytać, nie uważała jednak, by miłość do Reynauda była grzechem.

Ukochanego ujrzała dopiero podczas wieczerzy. Usiadł koło niej, ale nie podjął rozmowy.



- Nie było cię na mszy za duszę syna hrabiego - zauważyła Leonor, starając się mówić cicho, by nikt nie usłyszał.

- Nie spałem całą noc - wyjął. - Pojechałem konno do lasu, żeby zebrać myśli.

- Ja też mało spałam - szepnęła. - Trudno zasnąć bez ciebie.

- Trudno to mało powiedziane. To męczarnia.

Zrezygnowali z dalszej rozmowy, zadowolając się wzajemną bliskością przy stole. Musiało im to wystarczyć, lecz nie wystarczało. Leonor wyobrażała sobie, z jaką ochotą przytuliłaby się do umięśnionej piersi Reynauda. Jakże go pragnęła! Nie śmiała jednak nawet dotknąć jego dłoni.

- Co to za mnich - podjęła rozmowę, kiedy Reynaud podał jej napełniony kielich wina - który przybył z Carcassonne razem z Benjaminem?

- Mnich?

- Ten. - Wskazała nożem. - Siedzi przy końcu stołu.

Reynaud powędrował wzrokiem wzdłuż stołu. Zauważył osobę, o którą pytała Leonor, i odparł:

- To nie mnich.

- Odprawiał mszę za syna hrabiego. Chyba nie żaden przebieraniec.

- W pewnym sensie tak, chociaż nie w takim, jak myślisz - odrzekł z uśmiechem. - Nawet tobie nie mogę nic więcej o nim powiedzieć.

- Dlaczego?

- Są powody, dla których ktoś taki podróżuje w przebraniu. Możliwe, że jeszcze tego wieczoru je poznam. - Reynaud zainteresował się ustawionym przed nimi półmiskiem z pieczystym z dziczyzny. Odkroił dwa kawałki, jeden dla Leonor, drugi dla siebie. - Jest coś, czego jestem pewny - dodał.

- A mianowicie?

- Tym razem nie pojedziesz ze mną, Leonor.

- Wiem o tym.

- I jeszcze coś - dodał, patrząc jej prosto w oczy. - Kocham tylko ciebie.

- To także wiem.

Musnęła jego dłoń, po czym wycofała rękę, jakby z obawy, że nie powstrzyma się przed kolejną pieszczotą.

- Napij się wina, jest nierozcieńczone. Uśmierzy tęsknotę.

Leonor sięgnęła po kielich. Pod powiekami czuła nagromadzone łzy.

Świdrujące spojrzenie brązowych oczu mnicha spoczęło na Reynaudzie. Wpatrywał się w rycerza, gładząc palcami metalowy krzyż wiszący na piersi. W sercu Reynauda wzbierała niepewność. Tak ma wyglądać przywołanie go do porządku? Zrozumiał, że jego czas w Moyanne wkrótce się skończy.

Odwrócił wzrok pod ciężarem spojrzenia zakonnika. Sięgnął po dłoń Leonor, spoczywającą na jej kolanach. Jeszcze jej nie opuszcza. Będzie upajał się jej bliskością do ostatka. Resztę życia spędzi na rozpamiętywaniu każdego momentu, w którym był blisko niej. Bóg znał jego rozdarcie między obowiązkiem wobec zakonu a miłością do Leonor. Wiedział, że Reynaud cierpi katusze, nie tylko cielesne, ale i duchowe.

W tym momencie hrabia przedstawił brata Pierre'a. Mnich podniósł się z miejsca za stołem i ruszył w stronę podwyższenia, na którym siedział hrabia. Spuścił kaptur, zwracając kościstą twarz ku gościom.

- Nie jestem bratem Pierre'em, dostojny gospodarzu - odezwał się - lecz biskupem Pierre'em z Chalons, legatem papieża Aleksandra, przybywającym w niecierpiącej zwłoki sprawie. Czy mogę zabrać głos? - spytał, unosząc w górę żyłastą dłoń.

- Niech mówi! - rozległy się głosy biesiadników.

Hrabia dał mu znak ręką, by się zbliżył. Biskup wszedł na podwyższenie i odwrócił się ku sali. Czekał, aż ucichnie gwar rozmów, byстрыm wzrokiem lustrując zgromadzonych.

- Święty Kościół ogłasza nową krucjatę przeciwko niewiernym - oznajmił zaskakująco cienkim dyszkantem, gdy wśród kamiennych ścian zapadła cisza. - Frankońską krucjatę. - Odczekał chwilę, by ucichł szmer wywołany tą wiadomością. - Każdy mijający dzień - w miarę mówienia głos papieskiego wysłannika stawał się coraz bardziej piaskliwy - przynosi rosnące zagrożenie podbojem i rozlewem krwi. Musimy pierwsi zaatakować nieprzyjaciół Chrystusa i jego świętego Kościoła. Musimy bezzwłocznie odebrać Saracenom chrześcijańską ziemię.

Reynaud struchlał. Wiedział, o co chodzi temu szczwanemu lisowi. Król francuski Ludwik oraz chrześcijańscy władcy Aragonii i Kastylii chcieli ruszyć nie na Jerozolimę, lecz Hiszpanię. To nie miała być krucjata uwalniająca Ziemię Świętą, lecz militarna agresja w celu zdobycia nowych ziem. Wojna, której rezultatem miało być wypędzenie Arabów z Andaluzji znajdującej się pod ich panowaniem od pięciuset lat. Awantura dla zaspokojenia ambicji papieża.

Nie wytrzymał. Zerwał się z miejsca.

- Chrześcijańskie rycerstwo powinno skierować się do Jerozolimy, nie do Hiszpanii - powiedział dobitnie. - Zagrożenie ze strony Saracenów jest tylko w pieśniach trubadurów, nie w rzeczywistości. Oni nie zajmują się nami, tylko niesnaskami toczonymi między sobą.

Biskup zatrzymał na nim niewyrażające żadnych emocji spojrzenie.

- Ach, to ty, Reynaudzie. Zastanawiałem się, kiedy się znowu spotkamy. Przynoszę ci wiadomość od wielkiego mistrza, Bertranda de Blanqueforta.

Reynaud mógł tylko domyślić się treści wiadomości, lecz nie dał się zbić z tropu.

- Wasza Ekscelencjo, jest faktem ogólnie znanym, że Aragonia posiada ziemie w Gaskonii i Nawarze. Czy król Ludwik maszeruje przeciwko swoim braciom w Chrystusie w poszukiwaniu podbojów?

- W tej kwestii chodzi o zasadę, nie o ziemię.

- Jaką zasadę, Wasza Ekscelencjo? - naciskał Reynaud.

Biskup zaczynał tracić cierpliwość.

- Ziemie chrześcijańskiego królestwa nie mogą pozostawać we władaniu niewiernych.

- Ależ Saraceni nie są „niewierni” - zauważył ze spokojem Reynaud. - Oni mają własną Świętą Księgę, inną niż nasza. Dla Arabów to my jesteśmy niewierni.

- Zbyt długo przebywałeś w Ziemi Świętej, templariuszu. Widzisz niektóre sprawy ze zbyt wielu stron - oznajmił surowo biskup.

- To prawda - przyznał Reynaud. - Tak powinniśmy czynić wszyscy, jeśli chcemy być posłuszni boskim nakazom. Czyż Bóg nie mówi, że wszyscy ludzie są braćmi?

- Dosyć tego!

Nagle wszystko stało się przejrzyste niczym najcieńszy welon. Reynauda po prostu zemdliło na myśl o zabijaniu. W jednej chwili postanowił: nigdy więcej. Już nigdy nie będzie znosił okrucieństw na polu walki, patrzył na okaleczone ciała, gnijące bez pochówku pod murami fortec.

- Reynaudzie! - grzmiał biskup Pierre. - Bądź posłuszny Świętemu Kościołowi, inaczej nie dostąpisz łaski pańskiej.

- Już dostąpiłem tej łaski - stwierdził spokojnie Reynaud. - Ona jest tu, w moim sercu. Nie muszę zabijać, aby zasłużyć na boskie błogosławieństwo.

- To bluźnierstwo! - wykrzyknął biskup.

- To prawda.

Reynaud został hojnie obdarowany przez Boga. Tym cennym darem była miłość Leonor. To ona go oświeciła i pomogła odnaleźć drogę do siebie. Uchwycił spojrzenie Henryka. Stary hrabia powoli wstał i uniósł rękę wymownym gestem.

- Odpowiedz na głos Boga, rycerzu. Przyjmij wyzwanie, jakie ci ofiaruje.

Ciarki przeszły Reynaudowi po plecach.

W sali zapadła cisza jak makiem zasiał, po której wybuchł gwar. Reynaud pochylił się nad wzniesioną ku niemu głową Leonor.

- Znów zostałem wyzwany - szepnął jej do ucha. - To bez znaczenia. Wyrzekłem się wszystkiego, aby się odnaleźć, nawet ślubów zakonnych. Dowiedziałem się, kim jestem, i muszę bronić swoich przekonań.

Jeszcze miesiąc temu był przede wszystkim templariuszem, zakonnikiem i zarazem rycerzem. Teraz przede wszystkim był mężczyzną. Biskup Pierre nigdy tego nie zrozumie. Nie ma odwrotu. Boże, dopomóż, poprosił w duchu.

Poczuł się bardzo osamotniony.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Benjamin zauważył, że podczas gdy on wiódł spór z biskupem, Leonor udała się na górę. Jej drobna postać z wysoko uniesioną głową zniknęła na zakręcie schodów w odległym końcu sali biesiadnej. Ukochana mała ptaszyna. Benjamin otarł rękawem łzę spływającą po policzku. Reynaud nie zrezygnuje ze swojego powołania, a ona, choć ze złamanym sercem, będzie szła przez życie z dumnie uniesioną głową.

Zapewne zimę spędzi u ciotki w Nawarze w tymi dwoma cudakami, którzy przyjechali za nią z Carcassonne. Stary Benjamin był przekonany, że jego pupilka zdobędzie publiczne uznanie jako kobieta trubadur. Hałaśliwie wydmuchał nos w haftowaną lnianą chusteczkę, którą dostał na drogę od wdowy po piekarzu w Carcassonne. Będzie mu bardzo brakowało ukochanej wychowanki. Miłość często wiąże się z cierpieniem, pomyślał.

Reynaud stanął przed obliczem dwóch ponuro weń wpatrzonych mężczyzn. Zacisnął spuszczone wzdłuż boków dłonie. Biskup Pierre z Chalons i hrabia Henryk mierzyli go ciężkimi spojrzeniami. Czy miał coś jeszcze do powiedzenia dostojnikowi kościelnemu i hrabiemu? Przecież wszystko wyjaśnił. Nie posłucha rozkazów wielkiego mistrza, bez względu na czekające go konsekwencje.

- Siadaj, człowiecze. - Hrabia wskazał mu gestem miejsce po swojej lewicy. - Jesteś ledwo żywy.

Reynaud bacznie obserwował wyraz twarzy Henryka.

- Postoję.

- Założę się - wtrącił biskup - że usiądzie przed zakończeniem. Nie nalegajcie, hrabio.

Przed zakończeniem? Czego?

Reynaud poczuł się nieswojo. Zostanie wygnany z Nawarry? Skazany na banicję? A może zmuszony do wstąpienia do klasztoru za złamanie dyscypliny zakonnej? Chyba na tym się skończy. Nie wydała go z zakonu, zmuszą jedynie do zamknięcia się na resztę życia w klasztorze.

- Reynaudzie - zagaił biskup Pierre - zastanawiam się, czy ktoś taki jak ty nadaje się do tego, co zamierzamy uczynić?

- My, ekscelencjo? Co to znaczy „my”?

Biskup spojrział przeciągle na Reynauda.

- My, to znaczy ci, których masz w tej chwili przed sobą: twój biskup oraz twój gospodarz. Ponadto Bertrand de Blanquefort i papież Aleksander, a także król Aragonii... Może i król Ludwik również.

Serce zamarło w piersi Reynauda. Służył tym panom najlepiej, jak potrafił, zarówno na pokrytych pyłem bitewnym polach walki, jak i w okazałych salach audiencyjnych, wypełnionych balsamicznym zapachem kadzideł, a nie potu i końskiego łajna. To okrutne karać człowieka za jeden błąd po latach wiernej służby. Postanowił zachować się godnie w obliczu oskarżycieli.

- Jestem gotowy wysłuchać wyroku - powiedział.

Biskup Pierre wstał i podszedł do Reynauda.

- Posłuchaj bacznie. Uważamy, że negocjacje i traktat, który położy kres rozlewowi krwi w związku z panowaniem arabskim nad ziemiami chrześcijan, przyniesie nam więcej korzyści niż wojna. Masz doświadczenie w misjach dyplomatycznych, znasz język Saracenów, wprawnie operujesz i mieczem, i słowem. Z powodu poprzednich dokonań jesteś znany i szanowany zarówno przez Arabów, jak i chrześcijan. A poza tym jesteś coś winien templariuszom. Pokutę, tak to nazwijmy.

Czy dobrze słyszy? Nie ześlą go do klasztoru? Potrzebują go?

Zdusił śmiech narastający w gardle. Do diabła z pokutą! Oni są w desperacji. Tylko obawa przed przyparciem do muru mogła ich skłonić do wysunięcia takiej propozycji. Jeszcze trochę, a wybuchnie głośnym śmiechem.

- Co dostanę w zamian, jeśli się zgodzę?

- A o co prosisz? - spytał biskup.

Reynaud zwlekał tak długo, że hrabia ukradkiem pociągnął za habit biskupa.

- O honorowe zwolnienie mnie ze ślubów zakonnych - wypalił wreszcie.

- Masz je - odparł natychmiast biskup. - Jeszcze coś?

Jeszcze? Zawahał się. Czy ośmieli się poprosić o coś, na czym zależy mu najbardziej?

Biskup zmierzył go beznamiętnym spojrzeniem czarnych oczu. Reynaud otworzył usta i wyrzekł słowa, które, jak się obawiał, nie przejdą mu przez gardło:

- Chciałbym poślubić Leonor.

Leonor stała w oknie i machała na pożegnanie Benjaminowi. Wpatrywała się w czarno ubraną postać dopóty, dopóki oczy nie zaszyły jej łzami. Stary nauczyciel wracał do Grenady. Oparła czoło o framugę i się rozplakała: Co zostało jej z życia? Pustka. Udręczone ciało, którego nie może oddać ukochanemu mężczyźnie, talent muzyczny, kiedy przestała mieć serce do muzyki? Jakże daleko było miejsce, w którym się urodziła. Jaki szmat czasu dzieli ją od dni, kiedy czuła się młoda i beztroska.

Nie chciała wracać do Grenady. Woląca zostać w Moyanne. Nauczy się nowych pieśni od Briana z Orkadów i Andreasa, będzie wiodła życie, o jakim marzyła, życie kobiety trubadura. Może dzięki temu rana w jej sercu się zablizni.

Nigdy już nie poczuje się spełniona jak wtedy, gdy była z Reynaudem. Może jej pieśni zyskają głębię, jakiej nie miały wcześniej, wzbogacone o przeżycia sięgające samej istoty kobiecego jestestwa. Czy miłość musi kosztować tak drogo? Zaiste, niełatwo być kobietą.

Delikatne pukanie do drzwi wyrwało Leonor z rozmyślań.

- Pani, jesteś proszona na pokoje hrabiego.

- Proszona? - Leonor otarła oczy rękawem. - W jakim celu?

- Nie wiem, pani - odrzekła młoda służka. - Powiedziano tylko, byś ubrała suknię - dziewczyna zerknęła wymownie na pomiętą tunikę Leonor - i żebyś przyszła bez zwłoki. Jest tam również templariusz Reynaud.

Leonor włożyła jasnoniebieską jedwabną suknię z rękawami obszytymi rdzawym szlakiem i przepasała się w talii złotym łańcuchem. Ruszyła na pokoje hrabiego wyprostowana jak struna. Zza solidnych dębowych drzwi dobiegł ją śmiech. Śmiali się mężczyźni. Leonor zebrała się w sobie i weszła do środka. Ktoś podał jej kielich z winem. Umoczyła wargi w aromatycznym trunku.

- Wyjdiesz za mąż - poinformowała ją łagodnym głosem ciotka Alais.

Za mąż! Leonor zabrakło tchu. Hrabia zaręczył ją z jakimś rycerzem lub arystokratą? Kimkolwiek on jest, nie poślubi go. Ciałem i duszą należy do Reynauda, i tylko do niego. Żaden inny mężczyzna nie będzie trzymał jej w ramionach. Wykluczone!

Powoli przeniosła spojrzenie na Reynauda stojącego pod ścianą obok hrabiego. Podszedł i uniósł jej dłoń do ust. Oczy takie, jakie zapamiętała - zielone niczym woda morską - były w nią wpatrzone z taką intensywnością, że Leonor zadrżała.

- Czy powinniśmy wysłać posłańca, by zawrócił z drogi Benjaminą? - zapytał. - Mogłoby zawieźć wiadomość do twojego ojca.

Leonor zawahała się, po czym powiedziała:

- Lepiej nie.

- A to dlaczego?

- Bo... wysłałam z Benjaminem zawiniętego w lnianą ściereczkę jednego szczeniaka Alais. Wymościłam mu gniazdko za tylnym łękiem siodła. Tyle że Benjamin jeszcze o tym nie wie.

- On lubi małe stworzonka, a taki pies potrzebuje dobrego pana. Dlaczego nie chcesz go zawrócić?

- Drugiego szczeniaka ukryłam w jukach.

Reynaud roześmiał się głośno.

- Życie z tobą, moja Leonor, będzie pełne niespodzianek.

Życie z nią? O czym on mówi? Nagle poszczególne głosy w pomieszczeniu zlały się w kakofonię nieartykułowanych dźwięków.

Reynaud wyjął z ręki Leonor kielich z winem i odstawił go na boczny stół. Nic nie mówiąc, wyprowadził ją na zewnątrz, z dala od zasięgu wzroku hrabiego.

- Zostań moją żoną - rzekł po prostu, ujmując jej dłonie w swoje.

Leonor nie wierzyła własnym uszom. Uniosła wzrok i napotkała poważne spojrzenie zielonych oczu. Czowała, jak serce bije przyspieszonym rytmem.

- Jak to mogłoby być możliwe? - wyszeptała.

Pocałował ją i przygarnął do piersi.

- Mogłoby, bo cię kocham, a ty mnie kochasz.



- To prawda. Oboje zamilkli.

Gorące promienie słoneczne oświetlały dwie postacie na tle jasnego kamiennego muru, kobietę i mężczyznę.

Po chwili owe dwie postacie zlały się w jedną.

TLR

# Posłowie

Bardzo szybko po utworzeniu zakonu templariuszy w 1118 roku, tuż po pierwszej wyprawie krzyżowej, jego członkowie zaskarbili sobie poszanowanie zarówno wśród chrześcijan, jak i muzułmanów jako bankierzy, negocjatorzy i wysłannicy dyplomatyczni.

Po rozwiązaniu zakonu z rozkazu króla Francji, Filipa IV Pięknego, zaginął skarbiec templariuszy. Niektórzy twierdzą, że zakon szpitalników przejął fundusze templariuszy i przechowywał je na Malcie. Inni są przekonani, że znalazły one tajną kryjówkę w miejscu zwanym Rennes-le-Château w okolicy Carcassonne w południowej Francji.

Nikt nie wpadł na ślad skarbcza.

W dwunastowiecznej francuskiej Langwedocji, południowej krainie, w której mówiono południową odmianą języka francuskiego, kwitła twórczość trubadurów, wspierana przez Guillaume'a, księcia Akwitanii, dziadka Eleonory Akwitańskiej, czerpiąca obficie ze skarbnicy muzyki i poezji Maurów hiszpańskich. Na dworach Eleonory i jej córki Marii kultywowano ideały dworskiej miłości spopularyzowane przez tradycję muzyczną wywodzącą się z tego kręgu kulturalnego.

Najsłynniejszym trubadurem owych czasów był Bernat de Ventadour. Kobiety rzadko bywały trubadurami - nazywano je *trobairitz* - ale autorka niniejszej książki pragnie żyć w przekonaniu, że Leonor z Moyanne mogła być jedną z nich.

